

**POLSKA–UKRAINA:
SKAŁA ROZŁAMU**

**STUDIA DROGIE
JAK NIGDY**

**ZAKONNICE
CHCĄ WOLNOŚCI**

**KOLORY
NA DZIŚ**

Kraków 27 września – 3 października 2023 nr 40 (3873) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Wybory: zdecydują niezdecydowani

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



**STRONY SPECJALNE
WŁÓCZYKIJ KULTURALNY
MUZEUM HISTORII POLSKI: OTWARCIE**

PIERWSZA BIOGRAFIA SŁAWOMIRA MROŻKA



„Niby outsiderów łatwo opisać, bo są właśnie osobni i można ich przyłapywać na nietypowościach, ale nawet w tym Mroźek bywa niekonsekwentny i zmyłkowy. Co to za outsider, którego teksty i obyczaje wchodzi do języka ulicy, a on sam staje się bohaterem niemalże kultury popularnej... Skrajny neurotyk, który pisze sztuki czyste i zwarte, o mocy żelaznych konstrukcji, a w dziennikach daje upust ciemnym paranojom godnym Strindberga... Nasiłowska miała więc zadanie karkołomne. I tu chapeau bas! Z tych zmagających wyszła wygrana, bo tak głęboko wypatroszonego Mroźka dotąd nie pokazał nikt” - Tadeusz Nyczek

KS. ADAM

Boniecki: Co jest w archiwach

Otwarcie archiwów Piusa XII – nie pierwsze zresztą – prowokuje do domysłów i hipotez na temat tego, co w tym ogromnym zbiorze może być jeszcze znalezione. Píše o tym Edward Augustyn w tekście „Co wiedział Pius XII”. Jestem w tym temacie umiarkowanym optymistą – nie spodziewam się niczego, co mogłoby pogрузić zmarłego przed 65 laty papieża w oczach opinii publicznej. Jak wiadomo, jego dobre imię zostało zakwestionowane przez przemyślaną operację, której pierwszym etapem było napisanie przez Rolfa Hochhutha sztuki „Namiestnik, tragedia chrześcijańska” (1963), przedstawiającej Piusa XII jako współpracownika nazistowskich Niemiec. Jest to – jak sądzę na podstawie dotychczasowych publikacji i badań – bzdura, której jednak nie obalą tak łatwo kolejne badania dokumentów. Problem nie jest w tym, co papież Pacelli wiedział, lecz w tym, co zrobił – jaką przyjął metodę działania i dlaczego. Uważał, że formułowanie oskarżeń wobec hitlerowskich Niemiec nic nie da, a wprost przeciwnie – spowoduje ostrzejsze represje, a za jednoznaczność jego wypowiedzi wiele osób zapłaci najwyższą cenę.

Mówił więc dyplomatycznie, w sposób nie zawsze jasny. Ale działał jednoznacznie. Klasztory rzymskie ratowały – jak się można domyślać za sugestią Piusa XII – mnóstwo ludzi. Nawet jeśli hitlerowcy i tak robili swoje, często na przekór papieżowi. Tak należy rozumieć zabiegi Piusa XII, niestety nieskuteczne, by uratować skazanych na śmierć (w tym Żydów) w Grotach Ardeatyńskich, na przedmieściach Rzymu.

Pius XII znał Niemców, co więcej, miał o nich dobre wyobrażenie, choć Hitlera uważał za człowieka pozostającego we władzy szatana. Kanclerz III Rzeszy miał zresztą o Piusie XII również jak najgorsze zdanie i przemyślał ewentualne porwanie go i osadzenie w miejscu odosobnienia. Encyklika „Mit brennender Sorge” z 1937 r., będąca protestem przeciw filozofii nazistowskiej, powstała przy



walnym udziale kard. Pacellego, gdyż papież Pius XII, nominalnie jej autor, był już wtedy bardzo chory. Późniejsze wypowiedzi Piusa XII, choć nie zawsze jednoznaczne i klarowne, dla Hitlera były oczywiste. Tylko my chcieliśmy większej jednoznaczności. Przykładem choćby krytyczna opinia o Józefa M. Bocheńskiego o papieskim przemówieniu do polskich żołnierzy po bitwie na Monte Cassino. O Bocheński zwrócił papieżowi uwagę na dwuznaczność jego słów, ale Pius XII nie uznał tej krytyki i polskiego dominikanina więcej już o zdanie nie pytał.

Jest jasne, że papież miał ograniczone możliwości. Niemniej uratował – wykorzystując do tego rzymskie klasztory – bardzo wiele osób. Wśród licznych znaków wdzięczności okazywanych mu po wojnie przez rząd był także rzymski budynek, w którym do dziś mieści się watykańska ambasada we Włoszech.

Pozostaje jeszcze sprawa umożliwiania ucieczki z Europy różnych faszystowskich (hitlerowskich) osobistości. Jak wiadomo, wielu z nich ukryło się pod zmienionym nazwiskiem na innych kontynentach dzięki watykańskim paszportom. Dziś wiadomo, że umożliwił im to pracujący w Watykanie austriacki biskup Alois Hudal. Pius XII prawdopodobnie o całej sprawie dowiedział się, gdy była już załatwiona. Choć oczywiście wciąż są ludzie, którzy twierdzą, że ucieczka zbrodniarzy była osłaniana przez samego papieża, i szukają na to dowodów. Na tym zresztą polega badanie hipotez i dochodzenie do prawdy historycznej.

Kościół, jak każda złożona z ludzi instytucja, nie może się ustrzec w swoim personelu ludzi złych (wśród wielu dobrych, oczywiście). Taki jest los wszystkich instytucji. Z czego płyną dwa wnioski. Pierwszy, by nie dziwić się obecnością słabych czy po prostu złych osób w miejscu, gdzie odruchowo spodziewalibyśmy się samego dobra. I drugi: że należy wierzyć w dobroć człowieka, ale nie zapominać, że zło może go pociągać dużo bardziej niż dobro. ©P

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Wspieraj dojrzałe,
wysokiej jakości dziennikarstwo,
zostając mecenasem
„Tygodnika Powszechnego”**

Szczegóły na stronie powszech.net/mecenat

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT Z OKŁADKI



20 Dziewiąta Rzeczpospolita

JAROSŁAW FLIS

Paradoksem zbliżających się wyborów jest to, że możliwość zmiany zależy od niezdecydowanego elektoratu zachowawczego.



32 Fasada

ROZMOWA
Z MONIKĄ
BIAŁKOWSKĄ,
TEOLOŻKĄ:

System tłamszenia w zakonie buduje się sam – na zasadzie małych kroczków. Zakonnica nie potrafi uchwycić momentu, w którym łamane jest jej człowieczeństwo.

TEMAT TYGODNIKA



12 Studia drogie jak nigdy

MAREK RABIJ

Jeśli nie mieszkasz od urodzenia w dużym mieście lub nie masz zamożnych rodziców, nie udzwigniesz coraz wyższych kosztów studenckiego życia.



92 Coraz dalej

ROZMOWA Z ILONĄ
WIŚNIEWSKĄ,
REPORTERKĄ:

Rozgwieżdżone niebo, minus trzydzieści stopni. Ciemność zaczynała doskwierać, coś zaciskało się na głowie. Wysłałam przed dom, patrzyłam na zamrożnięte morze. Zaczęłam mówić.



42 Cień smoka

PATRYCJA
BUKALSKA
Z WIELKIEJ
BRYTANII

Po aferze szpiegowskiej w Westminsterze polityczny Londyn zastanawia się, czy uznać oficjalnie Chiny za zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju.



106 Gra w kolory

ROZMOWA
Z KASSIĄ
ST CLAIR,
HISTORYCZKĄ:

W ostatnich latach coraz bardziej interesują nas żywe, nasycone barwy. Jakbyśmy w trudnych czasach instynktownie szukali pocieszenia.

OBRAZ TYGODNIA

6 Róbmymy swoje
WOJCIECH PIĘCIAK

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
ABP GRZEGORZ RYŚ,
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Dziewiąta Rzeczpospolita
JAROSŁAW FLIS

23 Dwie władze do odstrzału
ROZMOWA Z WŁODZIMIERZEM
WRÓBŁEM, SĘDZIĄ SĄDU
NAJWYŻSZEGO

27 Halo, trzeba żyć!
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
Coraz więcej ukraińskich dzieci
czuje się w Polsce obco

30 Tygodnik czytelników

WIARA

32 Fasada
ROZMOWA Z MONIKĄ
BIAŁKOWSKĄ

36 Co wiedział Pius XII
EDWARD AUGUSTYN

37 Boska feeria
PIOTR SIKORA:
Jesień i duchowe doświadczenia

38 Te, które chronią mężczyzn
KAROL WILCZYŃSKI
Z OKINAWY
o matriarchalnej religii z Japonii

ŚWIAT

42 Cień smoka
PATRYCJA BUKALSKA

45 Powtórki z pandemii
nie będzie
MACIEJ MÜLLER

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

75-91 W Polsce rośnie zainteresowanie sztuką. Popularnością cieszy się szczególnie malarstwo. Prace młodych twórców osiągają często ceny zbliżone do tych, które były dotąd zarezerwowane dla artystów z mocną pozycją w kanonie.

W teatrach zaś zapowiada się arcyciekawym sezon – mimo niesprzyjających okoliczności.

PISZA: MONIKA OCHĘDOWSKA,
PIOTR KOSIEWSKI I DARIUSZ KOSIŃSKI



ZBIORY FSP ING

DODATEK

59 MUZEUM HISTORII POLSKI: OTWARCIE

FELIETONY

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI **41** WOJCIECH BONOWICZ
53 JACEK PODSIADŁO
104 OLGA DRENDA **105** PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCIEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MAREK K. ZALEJSKI

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

47 Gdyby nie pies

PAWEŁ PIENIAŻEK Z UKRAINY:
*Mieszkańcy obwodu
zaporoskiego żyją obok frontu*

50 Lot ku legendzie

DOMINIK WILCZEWSKI
*o litewskich bohaterach
narodowych*

HISTORIA

54 Złote serce

PIOTR HAPANOWICZ
*o Włodzimierzu Przerwie-
-Tetmajerze*

57 Człowiek, który milczał

JACEK TARAN
*o książce „Ptaki krzyczą
nieustannie”*

58 Debata o Markowej

ZUZANNA RADZIK

NAUKA

66 Precz z ludzkością!

JAREK GRYZ
o wizjach świata bez ludzi

KULTURA

92 Coraz dalej

ROZMOWA Z ILONĄ
WIŚNIEWSKĄ

96 Mieszać, ciągle mieszać

JAN BŁASZCZAK:
*Lonnie Holley nawet na dnie
potrafi zatańczyć*

99 Powrót mistrza opowiadań

LEKTOR o książce „Wizja
świata. Opowiadania wybrane”
Johna Cheevera

100 Tęsknoty za wspólnotą

ANITA PIOTROWSKA
o Festiwalu Filmowym w Gdyni

ZMYSŁY

106 Gra w kolory

ROZMOWA Z KASSIĄ ST CLAIR

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Czy Rosja jest jeszcze rozgrywającym na Kaukazie?

Podczas ostatnich starć w Górskim Karabachu stacjonujące tam rosyjskie oddziały rozjemcze zachowały bierność

– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | TygodnikPowszechny.pl/rosyjskaruletka

Obrazki na sprzedaż [Co obejrzeć w weekend]

Przydałaby się powszechna edukacja audiowizualna

– pisze **ANITA PIOTROWSKA** w recenzji filmu „I król rzekł:

Co za fantastyczna maszyna!” | TygodnikPowszechny.pl/weekend

Serwisy specjalne: patrz szerzej

KSIĄŻKI W TYGODNIKU

Eseje, recenzje, felietony, podcasty

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIĄŻKI



RÓBMY SVOJE

Spór o zboże i retoryczny boks Kijowa z Warszawą przesłaniają stałą prawdę: od postawy i wsparcia Polski wciąż zależy wiele. Zwłaszcza że na Zachodzie zmienia się wiatr.

WOJCIECH PIĘCIAK

POWYŻEJ:

Ukraińscy żołnierze, ukraińskie zboże i polska armatohaubica Krab odpierająca rosyjski atak w obwodzie donieckim, 23 sierpnia 2022 r.

TO JAK TERAZ BĘDZIE, ZOSTAWICIE nas? – zapytał. Miało to chyba zabrzmieć żartobliwie, ale głos w słuchawce był daleki od śmiechu. – Ten bufon, ten dureń doprowadzi do tego, że kolejne kraje będą się od nas odwracać.

Nazwijmy go Wasylem. Weteran i wolontariusz, stale krążący między zapleczem a frontem. Mający opinię bożego szaleńca, który jedzie tam, dokąd inni odmówią, i jeszcze dołoży od siebie na paliwo. Gdy jesienią 2022 r. zaczęliśmy „Tygodnikową” akcję pomocy, towarzyszył w kolejnych wyjazdach jako przewodnik i dobry duch.

„Dureń” – tak Wasyl nazywa Wołodymyra Zełenskiego. Nie głosował na niego i się do niego nie przekonał

nawet po 24 lutego 2022 r., gdy ten stał się dla świata twarzą walczącego kraju. Uważa, że polityczno-biznesowe otoczenie Zełenskiego to towarzystwo do gruntu skorumpowane. „Chłopaki na froncie ryzykują, wy tyle nam pomagacie, a oni w Kijowie kręcą kasę na jajkach” – mówił, gdy na początku 2023 r. na jaw wyszła korupcja w ministerstwie obrony, które żywność dla armii zamawiało po cenach wyższych niż rynkowe (niedawno, po kolejnych aferach, zmieniono w końcu ministra). A teraz ten „dureń” mówi, że Polska, która tyle zrobiła dla chłopaków, tych, do których Wasyl wozi pomoc, jest ruskim agentem.

PRZYPOMNIJMY: przemawiając w minionym tygodniu w ONZ, Zełenski

mówił: „Niektórzy nasi przyjaciele w Europie odgrywają w teatrze politycznym solidarność, robiąc thriller ze zbożem. Może się wydawać, że odgrywają własną rolę, ale w rzeczywistości pomagają przygotowywać scenę dla moskiewskiego aktora”. Był to komentarz do sporu, który narasta od wiosny, gdy Polska i kraje sąsiadujące wymogły na Komisji Europejskiej zakaz importu z Ukrainy na swoje rynki czterech najpopularniejszych zbóż. A gdy w połowie września Komisja go nie przedłużyła, wprowadziły własne embargo.

Słowa Żelenskigo były niesprawiedliwe, głupie, chciałoby się powiedzieć: nikczemne. Polskie władze musiały zareagować. Ale czy reakcja była adekwatna? Premier Morawiecki użył „atomówki”, sugerując, że Polska wstrzyma dostawę broni. Zastrzegł wprawdzie, że hub w Rzeszowie będzie działał (czytaj: nie zablokujemy tranzytu broni). I to właśnie fakt, iż takie zastrzeżenie zrobił, każe przyjąć, że całość nie była emocjonalnym lapsusem.

Przekaz, że Polska zrywa sojusz z Ukrainą, poszedł w świat (i nie ma znaczenia, na ile był to też ukłon do elektoratu Konfederacji). Na Kremlu się ucieszyli. Fakt, że roli interpretatora – tłumacza, iż premierowi chodziło tylko o to, że Polska nie będzie przekazywać tej nowoczesnej broni, którą kupuje dla swojej armii – podjął się prezydent Duda, dodając wątpliwą analogię o „tonącej Ukrainie”, raczej pogorszył całą rzecz wizerunkowo.

SPÓR O ZBOŻE oddaje realną różnicę interesów. Sprowadza się do pytania: czy ukraińskie firmy rolne mogą sprzedawać pszenicę, kukurydzę, słonecznik i rzepak w sposób wymagający od nich najmniej wysiłku, tj. w sąsiednich krajach, zamiast jak przed inwazją ślać je w świat? I nawet, jeśli oznacza to destabilizację sektorów rolnych w Europie Środkowej?

Dziś widać, że błędem, który legł u źródła eskalacji – teraz już nie tylko zbożowej – była decyzja Unii z czerwca 2022 r. (podjęta pod wrażeniem wojny i w przekonaniu, że ukraińskie firmy nie nadużyją zaufania), by w sferze rolnictwa włączyć Ukrainę do Unii bez okresów przejściowych. Okazało się, że ukraińska produkcja, niepodlegająca unijnym przepisom, jest tu zabójczo konkurencyjna.

Widać też, że lepszym sposobem, by pomóc Ukrainie (dla której eksport zboża to ważne źródło dochodów budżetu), a przy tym nie zadusić rolnictwa np. w Polsce, byłoby, gdyby Unia dofinan-

sowała tranzyt ukraińskiej produkcji rolnej przez Europę Środkową w świat, do jej odbiorców sprzed 24 lutego 2022 r. Tak, by ten wysiłek był dla producentów opłacalny. Tranzyt przez Polskę czy Rumunię zresztą funkcjonuje (i od kwietnia, podczas obowiązywania embargo, rośnie), ale w jego obecnej postaci nie może w pełni zastąpić szlaków morskich, zamkniętych przez Rosję.

Jednak Komisja Europejska nie posłuchała argumentów krajów Europy Środkowej, uległa presji Kijowa – za którą, jak twierdzą niektórzy, mogą stać też naciski oligarchów z branży rolnej, którzy przytulili się do obozu prezydenckiego. Teraz Komisja szuka w pośpiechu wyjścia. Jest pomysł, by Kijów wydawał licencje na eksport. Wątpliwe, by to pomogło – to oddaje decyzje w ręce urzędników ukraińskich w sytuacji, gdy trudno o zaufanie do nich (korupcja to wciąż plaga; media ukraińskie pisały o niej nawet w kontekście czarnomorskiego „korytarza zbożowego”).

POLSKO-UKRAIŃSKIE ZWARCIE – ogłoszone światu przez obie strony tak głośno, że nie przyklepiaj go, przynajmniej na jakiś czas, interpretacje czy gesty – następuje w złej chwili.

Rzecz jasna w realiach „wojny o istnienie” każdy moment byłby zły. Ale ten jest zły szczególnie, co pokazuje także wizyta Żelenskigo w USA (wystąpienie w ONZ miało miejsce w jej trakcie). W Stanach – i nie tylko tam – zmienia się wiatr. Biden ma coraz większą trudność z uzyskaniem akceptacji parlamentu dla wspierania Ukrainy. Nie tylko wśród Republikanów, także we własnej partii. Jeśli za rok wygra Trump, wstrzyma wszelką pomoc (czy zmniejszy też liczebność sił USA w Polsce?).

Wtedy Ukraina byłaby zdana na Europę. Nawet jeśli jej przywódcy będą mieć odwagę, by działać bez amerykańskich „pleców”, to sama Europa jest za słaba, by utrzymać wojenny wysiłek – jej arsenały są pustawe. Ale nawet jeżeli w USA wygra znów Biden, to, co rok temu było oczywiste, już takie nie będzie.

CO TERAZ? Retoryczny boks między Kijowem a Warszawą przesłania niezmienną prawdę: wciąż wiele zależy od postawy Polski, jej wsparcia militarnego i politycznego, od tego, co robi lub nie robi. Nie dla Żelenskigo i jego otoczenia, lecz dla Wasyla i chłopaków, do których za kilka dni znów on pojedzie. ©P

Polska pomoc dla Ukrainy (2014-23)

GODZINA MROKU nastąpiła 24 lutego 2022 r., gdy Kreml uderzył z zamiarem podbicia całego kraju. Ale ta wojna zaczęła się wcześniej: w lutym 2014 r., po rewolucji Majdanu, Rosjanie zaatakowali na Krymie i w Donbasie. W lutym 2015 r. front się ustabilizował i odtąd trwała „wojna pętająca”; od 2014 r. do lutego 2022 r. po stronie ukraińskiej zginęło w niej kilkanaście tysięcy ludzi.

POLSKA ZACZEŁA dostarczać broni Ukrainie już wtedy, w 2014 r., tyle że rządy PO i PiS robiły to poufnie. W 2017 r. autor „Kyiv Post” pisał: „Polska była pierwszym krajem, który udzielił nam pomocy wojskowej w najczarniejszych chwilach (...). Jest bardzo wątpliwe, czy bez tego wsparcia byłibyśmy w stanie się oprzeć”.



WOJCIECH PIEKAR

Pomoc z Polski dla ostrzelowanego stale Chersonia, styczeń 2023 r.

GDY ROSJA pod koniec 2021 r. postawiła ultimatum Ukrainie i na Zachodzie ruszyła debata o jej dozbrojeniu, Polska znalazła się w gronie krajów, które nadały jej tempo. Sami przekazaliśmy odtąd co najmniej 354 czołgi, ponad 310 transporterów piechoty, co najmniej 136 dział samobieżnych, oficjalnie 14 samolotów (faktycznie więcej: w 2022 r. pewną liczbę przekazano jako „części zamienne”, a na Ukrainie zmontowano je ponownie), 12 śmigłowców bojowych, a także drony, broń strzelecką, amunicję i materiały wojenne, np. paliwo. Lista ta (prowadzona przez Ośrodek Studiów Wschodnich) nie jest pełna. W pewnym momencie zaprzestano informowania o dostawach – być może aby nie ujawniać, jak uszczuplono zasoby własnej armii. Niektórzy eksperci szacują, że Polska oddała jedną trzecią swego sprzętu wojakowego.

POMAGA TEŻ społeczeństwo. Polski Instytut Ekonomiczny ocenił, że do sierpnia 2022 r. Polacy wydali 10 mld zł na rzecz Ukraińców i Ukrainców uciekających przed wojną. A na pomoc dla walczących? Nie ma takich szacunków. Są za to głosy takie jak Julii, wolontariuszki, którą cytował nasz autor („TP” 46/2022): „Nie poradziłibyśmy sobie, gdyby nie Polacy. O tym nigdy nie zapomnimy”. ©P WP



Słowacki wybór

PATRYCJA BUKALSKA

W SOBOTĘ 30 WRZEŚNIA Słowacy zdecydują nie tylko o składzie nowego parlamentu i rządu, ale także o geopolitycznym kierunku swojego kraju.

„Wybierzcie z nami lepszą przyszłość” – zachęca Michal Šimečka, lider proeuropejskiej liberalnej partii Postępowa Słowacja, i podkreśla, że są to najważniejsze wybory od 1998 r. Wtedy przy urnach odsunięto od władzy Vladimíra Mečiara, za którego rządów kraj ostro wyhamował w integracji euroatlantyckiej. Teraz decyduje się, czy Słowacja będzie prozachodnią demokracją, czy też państwem z nierozwiązanym problemem korupcji, oligarchami i prorosyjską polityką zagraniczną.

Rzecz jasna gdyby zapytać Słowaków, czy chcą korupcji, odpowiedź byłaby oczywista – jednak taki może być skutek powrotu do władzy byłego premiera Roberta Fico. Po długiej i polaryzującej kampanii jest to dziś scenariusz coraz bardziej realny. Smer-SD, partia Fica, ma w sondażach największe, bo 20-procentowe poparcie. Goni ją Postępowa Słowacja z poparciem 17-18 procent. Przesądzić może nawet niewielka liczba głosów. Z ich siły Šimečka zdaje sobie sprawę aż nadto dobrze – w poprzednich wyborach PS zabrakło 926 głosów, by wejść do parlamentu. „Teraz 926 głosów może zadecydować,

kto utworzy rząd” – pisał na platformie X (dawniej Twitter).

O tym, jaki ten rząd będzie, zdecydują też wyniki mniejszych partii, z których wiele walczy o przekroczenie progu. Nie ma z tym problemu trzecia w sondażach partia Hlas (13-14 proc.), ugrupowanie Petra Pellegriniego, byłego współpracownika Fica i byłego premiera, który teoretycznie (bo jasnych deklaracji nie złożył) może wejść w koalicję ze Smerem albo z PS. Do uzyskania większości to może nie starczyć – w obu scenariuszach potrzebne są kolejne partie i spore kompromisy.

Powrót Fico oznaczałby kres nadziei na odbudowę zaufania do państwa ze strony tych Słowaków, którzy wychodzili na ulice po zabójstwie dziennikarza śledczego Jána Kuciaka w 2018 r. (to wtedy Fico podał się do dymisji, pod presją protestów). Należy się też spodziewać zmian w polityce zagranicznej: Fico chce zakończyć wojskowe wspieranie Ukrainy. Tu może liczyć na społeczne poparcie, bo tylko 40 proc. Słowaków uważa, iż winę za wojnę ponosi Rosja, a ponad połowa obarcza nią Zachód lub samą Ukrainę.

Wiele może się jeszcze zdarzyć – w 2020 r. aż połowa wyborców decyduje o tym, na kogo zagłosują, podjęła w ostatniej chwili, w ciągu kilku dni przed wyborami. ©P

Robert Fico, były premier Słowacji, a dziś znów lider sondaży, przed debatą telewizyjną w Bratysławie, 21 września 2023 r.



JAKUB GAVLAK / EPA / PAP



**KS. JACEK PRUSAK,
PSYCHOTERAPEUTA:**

*W Sosnowcu
źródłem
problemów
jest biskup*

GRAŻYNA MAKARA

ARTUR SPORNIAK: „Jestem gotów przyjąć wszystkie konsekwencje” – napisał biskup sosnowiecki Grzegorz Kaszak po skandalu z księżowską orgią homoseksualną w budynku parafialnym w Dąbrowie Górniczej. Czy to zapowiedź dymisji, czy element zarządzania kryzysem?

JACEK PRUSAK SJ: Biskup nie poda się do dymisji, gdyż to, co się wydarzyło, działa się poza jego wiedzą i kontrolą. Ale ponieważ pośrednio odpowiada za to, co dzieje się w diecezji, wprowadził zarządzanie sytuacją kryzysową.

Po raz pierwszy jednak biskup tak szczegółowo ujawnił, co jest mu wiadome, a czego nie wie (np. kto uczestniczył w orgii poza organizatorem), i zapowiedział, że będzie informować o postępach śledztwa. Takiej szczerości nie było, gdy w 2010 r. pojawiły się świadectwa kleryków, że rektor sosnowieckiego seminarium wykorzystywał seksualnie niektórych z nich.

Biskup ponosił odpowiedzialność za mianowanie rektora i jego zachowanie. Sprawa była wewnątrzkościelna i dotyczyła seminarium, które było pod całkowitą jego kontrolą. Dlatego minimalizował konsekwencje tamtego skandalu. Teraz mamy kolejny skandal na tym samym tle, ale ponieważ sam nie jest bezpośrednio zamieszany, więc chce pokazać, że się od niego odcina. Stąd mamy wzorcowe zarządzanie kryzysem: deklaracja poznania i ujawnienia prawdy, chęć współpracy z organami ścigania, zawieszenie sprawy w czynnościach kapłańskich. Gdyby bp Kaszak i w tym przypadku próbował sprawę zamieść pod dywan, tylko by potwierdził, że on sam jest źródłem wszystkich tych problemów diecezji sosnowieckiej.

Jakich?

I w diecezji sosnowieckiej, i poza nią od wielu lat funkcjonuje przekonanie oparte na wcześniejszych skandalach, że tu kler homoseksualny jest uprzywilejowany. Sam organizator orgii w Dąbrowie Górniczej sprawował wysokie funkcje: był asystentem diecezjalnego Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży i redaktorem naczelnym diecezjalnego pisma – sosnowieckiego dodatku do „Niedzieli”. ©P

JACEK PRUSAK – jezuita, psychoterapeuta, kierownik katedry Psychopatologii i Psychoprofilaktyki w Akademii Ignatianum w Krakowie.

Więcej: powszech.net/prusak-dabrowa

NA PUNKTY



Świnie w kinie, prezydenci nadęci

MICHAŁ OKOŃSKI

NA WIECU

Wiec wyborczy Mateusza Morawieckiego w Świdniku zakłócili aktywiści klimatyczni z organizacji Extinction Rebellion – ich próbę wtargnięcia na scenę z banerem powstrzymali jednak (w sposób dość zdecydowany) funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa.

NA ZAKUPACH

Borys Budka z PO został napadnięty w katowickiej galerii handlowej przez wykrzykującego nienawistne hasła mężczyznę. Zatrzymany przez policję sprawca usłyszał zarzuty naruszenia nietykalności cielesnej i zniszczenia telefonu posła.

W SIECI

Kinga Gajewska z PO zawiadomiła służby o możliwości popełnienia przestępstwa w związku z wulgarnymi groźbami internautów pod adresem jej i jej dzieci. Wcześniej posłankę, zakłócającą przez megafon spotkanie premiera z wyborcami w Otwoku, policjanci siłą zaciągnęli do radiowozu.

POD OCHRONĄ

„Ta kampania może wywołać rzeczywistą przemoc, a nie tylko przemoc werbalną. Wystarczy jedna obłąkana osoba, aby potraktować to poważnie” – powiedziała Agnieszka Holland, która po premierze „Zielonej granicy” otrzymała całodobową ochronę. ©©

BYŁO TO 10 LAT TEMU, ZA CZASÓW prezydentury Bronisława Komorowskiego i premierostwa Donalda Tuska. W mediach dyskutowano, czy „Smoleńsk” Antoniego Krauzego powinien otrzymać dotację Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Pytana o to przez Radio Zet Agnieszka Holland –komplementując talent twórcy „Czarnego czwartku” – mówiła, że o takich kwestiach powinna decydować jakość scenariusza, a nie jego ocena ideologiczna. Przypominając, że spiskowcy „JFK” był jednym z najlepszych dzieł Olivera Stone’a, dodawała, że reakcjana „Smoleńsk” pokaże, jakim społeczeństwem jesteśmy. „Naprawdę dojrzały będziemy wtedy, jeżeli będziemy mogli się bez obawy, że rozleci się nam kraj, konfrontować z różnymi punktami widzenia” – mówiła.

Elementarne, prawda? Film to film, dzieło sztuki, które może prowokować, podejmować tematy niewygodne albo oddawać sprawiedliwość tym, o których większość nie chce pamiętać, co

Agnieszka Holland robi zresztą od debiutu (pod słowo „większość” można podłożyć nie tylko Polaków, ale też Europejczyków, którym opowiedziała historię ks. Popiełuszki czy – w „Obywatelu Jonesie” – Hołodomor). Dzieło sztuki nie narzuca się odgórnej interpretacji, np. poprzedzającym je urzędowym spotem. Dzieło nie stawia się pytania, komu służy, tylko, czy się udało.



Rozumiem oczywiście, że w świecie Andrzeja Dudy wszystko jest polityką – zresztą także fakt, że reprezentanci opozycji w sprawie „Zielonej granicy” wybierają na ogół głośne milczenie, świadczy o tym, iż wymowa filmu Holland rozchodzi się z poglądami większości Polaków na temat kryzysu na granicy białoruskiej. Kiedy jednak słyszę z ust głowy państwa frazę „tylko świnie siedzą w kinie”, pozwolę sobie nie film zrecenzować, a prezydenta, u którego jeśli występuje obawa, że rozleci się nam kraj, to drobną czcionką na samym końcu napisów, kiedy większość widzów opuściła już salę. ©©



Chcesz dobrej posady? Zapłać partii haracz

MAREK KĘSKRAWIEC

POSŁANKA EWA MALIK wpłaciła na konto PiS maksymalną kwotę 54 tys. zł (15-krotność pensji minimalnej), po czym dorzuciła jeszcze 36 tys. na fundusz wyborczy swojego komitetu. To rekordzistka, ale konkurencję ma sporą, gdyż kandydaci na parlamentarzystów PiS prześcigają się we wpłatach do centrali. 50 tys. przełał Paweł Szrot, szef Kancelarii Prezydenta (jedynka w Bydgoszczy), po 40 tys. –

m.in. minister zdrowia Katarzyna Sójka, poseł Marek Ast i Krzysztof Kubów, szef gabinetu politycznego premiera. W sumie to ponad 150 nazwisk, ale – jak zauważył Onet – nie ma wśród nich partyjnej wierchuszki, z wyjątkiem Jochima Brudzińskiego. Podobnie było przed czterema laty.

Prawny limit wydatków na kampanię to 40 mln zł, a na koncie PiS zebrano dotychczas ponad 4,5 mln. To i tak impo-

nująca kwota, pochodząca głównie z kont prezesów spółek Skarbu Państwa, co jednym kojarzy się z aktem wdzięczności za świetnie płatne funkcje, a innym z haraczem. Jedno jest pewne, szefowie wielkich firm nawet nie próbują udawać, że mogliby być apolityczni. Po ok. 40-50 tys. (maksymalna kwota przed ogłoszeniem terminu wyborów) przekazali partii rządzącej prezesi KGHM, Orlenu, PGE,

Pekao SA, PZU, Tauronu, a także menadżerowie z Grupy Azoty, Enei czy PKP Cargo.

Jakby tego było mało, PiS załatwił sobie kolejny dopalacz. Krajowa Grupa Spożywcza, PKO BP, Pekao SA, Poczta Polska, Polska Grupa Zbrojeniowa, PKP, PZU – zgłosiły do PKW fundacje, które wezmą udział w akcji referendalnej. Zajmą się zapewne „winą Tuska” i na dodatek nie będzie ich obowiązywał żaden limit wydatków.

Nikt nam nie odbiera prawa do głosowania, ale pierwszy raz w III RP możemy być pewni – wybory nie będą równe. ©©



ALAIN JOCARD / AFP / EAST NEWS

Ormiańscy uchodźcy z Karabachu na granicy z Armenią, 24 września 2023 r.

Trzecia wojna karabachska

KAUKAZ ■ Po trwającej kilkadziesiąt godzin ofensywie armia Azerbejdżanu zmusiła do kapitulacji Ormian z Górskiego Karabachu, który przed 30 laty Azerowie stracili po przegranej wojnie.

Tamten konflikt z lat 1989-94, dziś zwany pierwszą wojną karabachską (zginęło w nim 30 tys. ludzi), wygrali karabachscy Ormianie. Na fali rozpadu Związku Sowieckiego zaczęli oni zbrojne powstanie, żądając prawa do secesji od Azerbejdżanu, do którego Karabach należał jako republika autonomiczna. Przez Ormian zwany Arcachem, po wygranej wojnie Karabach nie zjednoczył się jednak z sąsiednią Armenią, lecz ogłosił niepodległość. Nikt jej nie uznał, ale Karabach-Arcach funkcjonował odtąd jako parapaństwo.

Azerowie nie pogodzili się z klęską, a wzbogaciwszy się dzięki sprzedaży kaspijskiej ropy, zbroili swą armię i szkolili ją u najbliższej sojuszniczki, Turcji. Ormianom, a zwłaszcza Ormianom karabachskim, których przedstawiciele na fali patriotycznego uniesienia przez 20 lat (1998-2018) wybierano na prezydentów Armenii, sukces uderzył zaś do głowy. Uznali, że nic im nie grozi, jeśli swe bezpieczeństwo powierzą Rosji; mieli ją za odwieczną

przyjaciółkę. Rosja jednak słabła. Jesienią 2020 r. Azerowie wszczęli nową, drugą wojnę karabachską. Wspierani przez Turcję, w ciągu 44 dni rozgromili Ormian (po ich stronie było 6-7 tys. zabitych) i odzyskali dwie trzecie Karabachu-Arcachu. Przed ostateczną klęską Ormian ocalała wtedy Rosja, która mogła na Azerach rozejm.

Kreml ugryzł jednak wkrótce w wojnie na Ukrainie, a Azerowie postanowili skorzystać z okazji i w zeszłym tygodniu znów uderzyli. Trzecia wojna karabachska trwała dwa dni: Azerowie rozbili karabachskie wojsko, które, nie mogąc liczyć na Armenię ani na Rosję, skapitulowało.

W 1997 r., po tamtej wygranej wojnie, pierwszy prezydent niepodległej Armenii Lewon Ter-Petrosjan przekonywał rodaków, że dopóki są górą, powinni podjąć rozmowy pokojowe z Azerami, bo inaczej konflikt karabachski będzie im kulą u nogi. Oburzeni rodacy okrzyknęli go zdrajcą, obalili, a na jego urząd wynieśli przywódców karabachskich powstańców. Dziś warunki pokoju (tj. kapitulacji) dyktują Azerowie.

Co dalej? Możliwa jest nowa wędrówka ludów i czystka etniczna. Po 1994 r. Ormianie wygnali z Karabachu i sąsiednich regionów prawie milion Azerów. Dziś do opuszczenia Karabachu szykuje się 120 tys. Ormian, obawiających się, że pod rządami Baku czekają ich tylko pogromy. Arcach opustoszeje, a Karabach zapełnią azerscy osadnicy.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

Jedność to nie jednolitość

LUTERANIE ■ „Zanieście radość Boga tym, których spotkanie” – powiedział bp Henrik Stubbjær, nowo wybrany prezydent Światowej Federacji Luteranckiej, zamykając 13. Zgromadzenie Ogólne ŚFL w Krakowie. Temat przewodni tego odbywanego co sześć lat „soboru” luteranckiego brzmiał: „Jedno ciało, jeden Duch, jedna nadzieja”. Przez tydzień 357 delegatów ze 150 Kościołów rozmawiało o jedności: luteranckiej, ekumenicznej, w społeczeństwach i rodzinach. Jedność nie oznacza – podkreślano – jednolitości, która jest „wykluczająca, destrukcyjna i opresyjna”.

Do wygłoszenia głównego przemówienia zaproszono ks. Tomáša Halíka. Czeski katolicki teolog mówił o nowej reformacji i podkreślił, że jedność między chrześcijanami nie może być jej ostatecznym celem, ale „produktem towarzyszącym wysiłkom zmierzającym do zjednoczenia ludzkiej rodziny” i przyjęcia odpowiedzialności za całe stworzenie. „Nie możemy podchodzić do siebie jako aroganccy posiadacze prawdy” – zaznaczył.

Kard. Kurt Koch, prefekt Dykasterii ds. Popierania Jedności Chrześcijan, razem z sekretarzem generalną SFL ks. Anne Burghardt (oboje na zdjęciu) przedstawili „Wspólne słowo” nt. ekumenicznych więzi i sporów, wskazujące, że Augsburskie Wyznanie Wiary (fundamentalne dla luteran) ma „potencjał ekumeniczny o trwałym znaczeniu”. Luteran odwiedzili także prymas abp Wojciech Polak, abp Grzegorz Ryś z Łodzi i bp Jacek Jezierski z Elbląga. Biła po oczach nieobecność biskupa miejsca, abp. Marka Jędraszewskiego.



ALBIN HILLERT / MATERIAŁY PRASOWE LWF

Podczas obrad Zgromadzenia ukazał się wywiad abp. Stanisława Gądeckiego dla niemieckiej gazety „Die Tagespost”. Przewodniczący polskiego episkopatu mówił o reformacji jako o zagrożeniu. Oceniając m.in. działania niemieckiej Drogi Synodalnej podkreślił, że „źle zrozumiana reforma chrześcijaństwa ponownie doprowadzi do podziału Kościoła, który rozprzestrzeni się na sąsiednie kraje”.

©© MACIEJ MÜLLER

Wypływamy z Wenecji

SZTUKA ■ Według nieoficjalnych, ale wiarygodnych doniesień Polskę na przyszłorocznym Biennale Sztuki w Wenecji, największej tego typu imprezie na świecie, ma reprezentować Ignacy Czwartosz, malarz. Informacja ta budzi zdziwienie, choć nie powinna. Od ośmiu lat władza konsekwentnie prowadzi politykę, która ma zmienić hierarchie w kulturze i dowartościować tych, którzy w III RP z powodów ideowych czy estetycznych mieli być dotąd niedostatecznie docenieni. Jednym z nich jest właśnie Czwartosz, któremu zorganizowano niedawno m.in. dużą wystawę w Zachęcie, a jego prace zakupiono do kolekcji Zamku Ujazdowskiego.

Jego obrazy, czerpiące z tradycji sztuki dawnej oraz tworzonej w pierwszej połowie XX wieku, dobrze odpowiadają na oczekiwania tych odbiorców, którzy chcą sztuki odwołującej się do znanej im przeszłości. Jednak, co najważniejsze, jego prace dobrze wpisują się w politykę historyczną obozu rządowego,

TOMASZ GZELL / PAP



w propagowany przez nich model polskiej tożsamości i kanonu pamięci, w którym kluczowe stały się odwołania do sarmackości, pamięć o niemieckich i sowieckich zbrodniach na Polakach oraz kult żołnierzy wyklętych. Teraz obrazy Czwartosza, będące apologią wizji kraju homogenicznego oraz etnicznego

Od lewej:
Ignacy Czwartosz,
Janusz Janowski,
dyrektor Zachęty,
i Piotr Gliński,
minister kultury
i dziedzictwa
narodowego.
Warszawa,
marzec 2023 r.

modelu wspólnoty, mają zostać zaprezentowane na Biennale, które w 2024 r. jest organizowane pod hasłem „Foreigners are Everywhere/Obcokrajowcy są wszędzie” i poświęconym twórczości mówiącej o doświadczeniu migracji, przesiedleń i bycia mniejszością.

Czy obecność Ignacego Czwartosza w Wenecji zmieni coś w naszej sztuce? Po 1989 r. udało się odbudować polską reputację na Biennale w Wenecji, zniszczoną w latach 80., kiedy to w Polskim Pawilonie pokazywano artystów bliskich ówczesnej, komunistycznej władzy. Kolejne ekspozycje w ostatnim 30-leciu, jak prezentacja polsko-romskiej artystki Małgorzaty Mirgi-Tas na ostatnim Biennale, cieszyły się zainteresowaniem i zbierały dobre opinie. Pokazanie tam dzieł Czwartosza nie wpłynie na hierarchie ważności w polskiej sztuce, na to, co jest w niej cenione, także w obiegu międzynarodowym. Podobnie, jak nie wpłynęły na to wszystkie inne działania podejmowane od ośmiu lat przez oboz Zjednoczonej Prawicy. Tylko po co nie wpływać, kiedy można wpływać?

© PIOTR KOSIEWSKI

Wiemy, dlaczego w demencji umierają neurony

ZDROWIE ■ Komórki budujące organizmy kończą życie na kilka sposobów. Jednym jest tzw. programowana śmierć, czyli apoptoza. Stare i zużyte komórki uruchamiają molekularne mechanizmy prowadzące do swojej śmierci i degradacji, a ich resztki pochłaniają fagocyty. Innym jest martwica (nekroza), wywoływana przez czynniki zewnętrzne. Z kolei nekroptoza jest połączeniem obu mechanizmów – na skutek działania czynników zewnętrznych komórka popętnia programowane molekularnie samobójstwo.

To właśnie w ten sposób umierają neurony w chorobie Alzheimerza, czego efek-

tem jest postępująca utrata pamięci i innych funkcji poznawczych. Czynnikiem zewnętrznym, prowadzący do nekroptozy, był sugerowany od lat. To odkładające się w tkance mózgu złogi białek o nieprawidłowej budowie przestrzennej – amyloidu-beta i białka tau. Jednak molekularna linia łącząca obecność złogów i śmierć komórek była dotąd nieznaną.

Brytyjsko-belgijski zespół naukowców pod kierownictwem prof. Barta De Stroopera odkrył białko MEG3, którego produkcja w neuronach znacząco się zwiększa w obecności wspomnianych złogów. W badaniu opisanym w „Science” wykorzystywano mysie modele choroby Alzheimerza, którym wszczepiano do tkanki mózgowej ludzkie neurony i tylko one, a nie mysie komórki, obumierały w obecności złogów amyloidu. Dzięki temu odkryto nową molekularną ścieżkę śmierci komórek.

Badaczom udało się uchronić ludzkie neurony przed obumarciem po zabloko-

waniu genu lub białka MEG3. Pojawia się zatem kolejny potencjalny cel, w który mogą uderzyć nowe leki, zwiększając szansę na zwolnienie lub całkowite zahamowanie postępu choroby. Ale najważniejszą kwestią pozostaje rzeczywista skuteczność nowych terapii. Niedawne kontrowersje wzbudził aducanumab – przeciwciało, które zmniejsza ilość złogów amyloidu w tkance mózgowej, jednak nie wykazano dotąd, że prowadzi do złagodzenia objawów choroby.

© BARTOSZ KABAŁA



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY „TP”**
co tydzień goszczą

w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Stuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

STUDIA DROGIE JAK NIGDY

To punkty za pochodzenie w nowej odsłonie: jeśli nie mieszkasz od urodzenia w dużym mieście lub nie masz zamożnych rodziców, nie udźwigniesz coraz wyższych kosztów studenckiego życia.

MAREK RABIJ

STUDENTKA PIERWSZEGO ROKU. KULTURALNA, niepaląca i bez innych nałogów, wynajmie pokój w Krakowie. Najlepiej na wyłączność i do trzydziestu minut komunikacją miejską od centrum – choć po ostatnich doświadczeniach zaczyna tracić nadzieję, że uda jej się znaleźć takie lokum i nie przekroczyć ustalonego z rodzicami budżetu 1500 zł miesięcznie. Rok akademicki startuje w przyszłym tygodniu. Trzy poprzednie poświęciła na przeglądanie ofert, wizytowanie mieszkań i korespondencję z wynajmującymi, która, jak mówi, chwilami ocierała się o absurd.

– Jeden pan wpisał np. do umowy, że jeśli spóźnię się z zapłatą 14 dni, będzie mógł wyrzucić mnie na bruk bez zwrotu kaucji – mówi. – W innym kontrakcie znalazłam punkt, zgodnie z którym po roku mieszkania w pokoju musiałabym go wyremontować na własny koszt. Wynajmujący oczekiwania mają astronomiczne, a sami czasem zachowują się jak dzieci. Kilka dni temu oglądałam mieszkanie. Mówię, że biorę pokój, umawiamy się na podpisanie umowy następnego dnia. Wieczorem wchodzę do serwisu z ofertami i widzę, że mieszkanie jest nadal dostępne. Dzwonię zaniepokojona do kobiety, a ona mi spokojnym głosem oświadcza, że w międzyczasie pokój wzięł ktoś, kto

zapłaci więcej. Dwa dni zmarnowane. Nawet nie przeprosiła.

Zakaz przestawiania mebli

Moja rozmówczyni nie chce pozostać anonimowa. Wręcz z przyjemnością opowie o swoich perypetiach z poszukiwaniem stancji, bo sytuacja młodych ludzi próbujących przenieść się na studia do dużego miasta jeszcze nigdy nie była – jak twierdzi – równie trudna. Nazywa się Zuzanna Kicińska, ma 18 lat i pochodzi z Lublina. W pierwszej turze rekrutacji złożyła dokumenty na socjologię i na stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Warszawskim i na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w rodzinnym Lublinie. Do Warszawy się nie dostała, został UMCS, ale Zuza zawsze marzyła o studiach w innym mieście. W drugim podejściu miała więcej szczęścia, przyjęto ją na obu obstawianych kierunkach, z których wybrała politologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. – Rekrutacja w tej turze zakończyła się w pierwszych dniach września – mówi. – Zdawałam sobie sprawę, że będę przez to na gorszej pozycji w wyścigu po mieszkania, ale nawet mając w głowie opowieści koleżanek, które już przez to przeszły, liczyłam, że będzie jednak łatwiej i taniej. No i się boleśnie rozczarowałam.

Kilka dni temu Zuzanna oglądała w Krakowie mieszkanie w wieżowcu



PATRYK OGÓRZALEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

z wielkiej płyty w pobliżu wylotówki na Katowice. Okolica głośna i do tego ustawicznie zakorkowana, na szczęście dogodnie skomunikowana z centrum dzięki nowej linii tramwajowej. Na niespełna 50 metrów kwadratowych do wynajęcia składały się trzy pokoje, każdy oferowany oddzielnie, niewielka ślepa kuchnia, także łazienka i malutki przedpokój, który Zuzie od razu skojarzył się z mieszkaniem jej dziadków, bo wykończono go



Studenci wprowadzają się do akademików. Dom Studenta „Pingwin” na Politechnice Rzeszowskiej, 28 września 2021 r.

starą, skrzypiącą przy najlżejszym dotyku boazerią. W najgorszym stanie była jednak łazienka.

– Na suficie stare zacieki, w wannie rdza, gołym okiem widać, że w mieszkaniu od lat nie było remontu – wylicza. – Pokoje miały może po 10 metrów, wyposażono je w meble pamiętające jeszcze komunę, ale nie szukam przecież luksusów. Spytałam o cenę. Pokoje bez balkonu po 1300 zł miesięcznie plus media. Najja-

śniejszy, z wyjściem na balkon – o 300 zł droższy. Rachunki w mieszkaniu wychodziły na poziomie 1200 zł miesięcznie, czyli dla mnie za drogo, nawet gdyby koszty rozłożyć na trzech najemców. Na szczęście właściciel z miejsca zaznaczył, że w pokoju nie wolno niczego przestawić ani nawet zawiesić na ścianie. Dzięki temu mogłam mu od razu powiedzieć, że nie odpowiadają mi takie warunki – kiwa z niedowierzaniem głową Zuzanna.

W kolejny weekend, ostatni przed startem nowego roku akademickiego, Kicińska wybiera się do Krakowa z rodzicami. W planach mają obejrzenie kilku ofert ostatniej szansy, dalej od centrum, gorzej skomunikowanych, za to tańszych. – Na liście moich priorytetów własny pokój plasuje się wyżej od dogodnego dojazdu na uczelnię. Na studiach chcę się przede wszystkim uczyć, muszę mieć ciszę i namiastkę domowej prywatności. →

→ O dorabianiu na razie nie myślę. Wolałabym nie tracić na to czasu, który mogę poświęcić na naukę, o ile oczywiście nie zmusi mnie do tego sytuacja materialna. Mama uczy w przedszkolu angielskiego. Tata jest informatykiem, ale rodzice mają też na utrzymaniu młodszego o 10 lat brata i moje studia w Krakowie będą dla naszego budżetu sporym obciążeniem. Nic to, mam nadzieję, że się to nam jakoś poskłada i dotrzmam do obrony dyplomu – uśmiecha się Zuza.

Sześć tygodni

Wykładowcy nazywają to czasem „miesiącem prawdy”. W drugiej połowie listopada wszystkie uczelnie składają w zintegrowanym systemie informacji o nauce „Pol-on” oficjalne dane o liczbie osób rozpoczynających rok akademicki na poszczególnych kierunkach. Po pierwszych sześciu tygodniach już wiadomo, ile osób będzie kontynuować studia. Niektórzy przenoszą się w tym czasie na inny kierunek. Inni rezygnują. Jednych rozczarowały zajęcia. Ktoś nie znalazł stancji albo nie załapał się na akademik, waletował u znajomych lub codziennie dojeżdżał z rodzinnego domu, aż w końcu stracił motywację do takiego życia w zawieszeniu. Nie brak też i takich, którym sześć pierwszych tygodni studiów przynosi smutną odpowiedź na pytanie, czy budżet, którym dysponują, wystarczy w ośrodku uniwersyteckim choćby na wegetację. W minionym roku akademickim – jak wynika z najnowszej edycji raportu „Portfel studenta” przygotowanego na zlecenie Związku Banków Polskich – 17 proc. studentów rozważało przerwanie nauki z powodów ekonomicznych. Takie pytanie w badaniu padło po raz pierwszy, trudno więc o retrospektywne porównanie.

– Nie wiemy, ile osób porzuca studia z przyczyn czysto ekonomicznych, bo wielu z nich z dnia na dzień po prostu przestaje się pojawiać na zajęciach – tłumaczy rektor UJ prof. Jacek Popiel. – Będę jednak szczery: z niepokojem czekam na listopad i dane o rezygnacjach. Samorząd od miesięcy sygnalizuje, że sytuacja materialna studentów, zwłaszcza przyjezdnych, jest bardzo trudna. Inflacja i wzrost kosztów życia uderza w całe społeczeństwo, ale studenci spoza Krakowa muszą mierzyć się dodatkowo z drastyczną podwyżką opłat za najem mieszkań. Re-

W minionym roku akademickim 17 proc. studentów rozważało przerwanie nauki z powodów ekonomicznych. Udział kosztów najmu mieszkania w wydatkach przekroczył 34 proc.

noma naszego uniwersytetu od lat przyciągała z całego kraju wielu młodych ludzi marzących o nauce w Krakowie. W tym roku akademickim, jak wynika ze wstępnych danych, kandydatów z Pomorza, Mazur czy Podlasia było rekordowo niewiele. Trudno nie powiązać tego z sytuacją ekonomiczną, bo nasz uniwersytet należy do nielicznych w Polsce uczelni, które w tym okresie odnotowały także wzrost liczby chętnych do podjęcia studiów. W bieżącym roku akademickim o jedno miejsce na UJ rywalizowało średnio ponad trzech kandydatów – podkreśla rektor.

W styczniu 2022 r. – jak podliczyli niedawno autorzy raportu przygotowanego przez serwisy Expander i Rentier.io – średni koszt wynajmu dwupokojowego mieszkania o powierzchni do 50 m kw. wyniósł w Polsce 2242 zł. Rok później najemcy za takie samo lokum musieli zapłacić już o ponad 28 proc. więcej. Największy wzrost, aż o ponad 36 proc., odnotowano właśnie w Krakowie. Najwolniej mieszkania na wynajem drożały tam, gdzie cena wcześniej poszła najwyżej, czyli w Warszawie – ale nawet tam wzrost sięgnął 22 proc. Za wynajem dwupokojowego mieszkania w stolicy trzeba zapłacić dziś średnio 4,6 tys. zł. We Wrocławiu to samo kosztuje 3,3 tys. zł. W Krakowie i Gdańsku wynajmujący żądają średnio po 3,2 tys. zł. A przecież do tego trzeba doliczyć jeszcze czynsz i media, które również nie tanieją. Jak podaje Eurostat, koszty użytkowania mieszkania lub domu w sierpniu ub.r. były w Polsce aż o 27,4 proc. wyższe niż rok wcześniej (przy inflacji sięgającej wówczas 16,1 proc.). Rosną także stawki lokalnych

podatków – słowem, wszystko, co wynajmujący przerzucają potem na najemców.

W rezultacie, jak wynika z najnowszego raportu „Portfel studenta”, w zakończonym roku akademickim udział kosztów najmu mieszkania w comiesięcznych wydatkach statystycznego posiadacza indeksu przekroczył 34 proc., zamykając się w kwocie 1350 zł. W przypadku studentów uczelni publicznych, którym budżetów nie obciążało czesne, było to już 40 proc. W roku akademickim 2021-2022 aż 29 proc. polskich studentów płaciło za kwaterę od 501 do 800 zł. Rok później – już tylko 23 proc. Jednocześnie nastąpił znaczny wzrost odsetka tych, których dach nad głową kosztował od 1201 do 1500 zł miesięcznie (z 6 do aż 15 proc.) i powyżej 1500 zł (z 9 do 14 proc.). Efekt? Już 46 proc. studentów w minionym roku akademickim mieszkało z rodzicami, ewentualnie u krewnych lub znajomych, którzy nie oczekiwali za to pieniędzy. Rok wcześniej – 43 proc. W roku akademickim 2019-2020 odsetek studentów, którzy nie wynajmowali odpłatnie mieszkania, wyniósł tylko 27 proc.

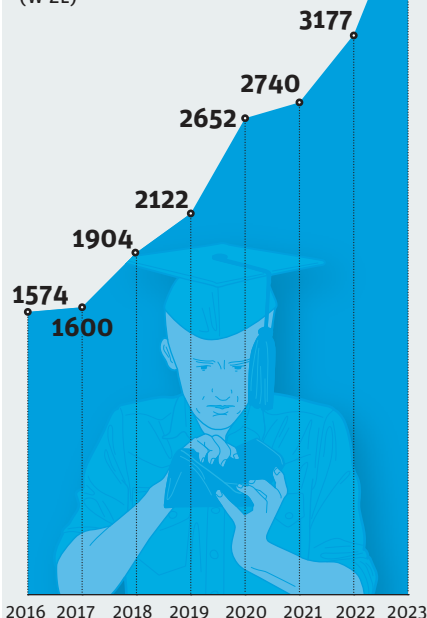
Plan B

3280 zł – tyle co miesiąc wydawał w ubiegłym roku akademickim przeciętny student uczelni publicznej. Słuchacze – czy raczej klienci uczelni prywatnych – musieli dołożyć do tej kwoty średnio po 600 zł miesięcznie. W ciągu zaledwie jednego roku akademickiego wzrost wydatków studentów sięgnął zatem 20 proc. – znacznie powyżej średniorocznej inflacji, która w 2022 r. wyniosła 14,4 proc., nie mówiąc już o wzroście wynagrodzeń, które w tym czasie wzrosły średnio o 11,7 proc.

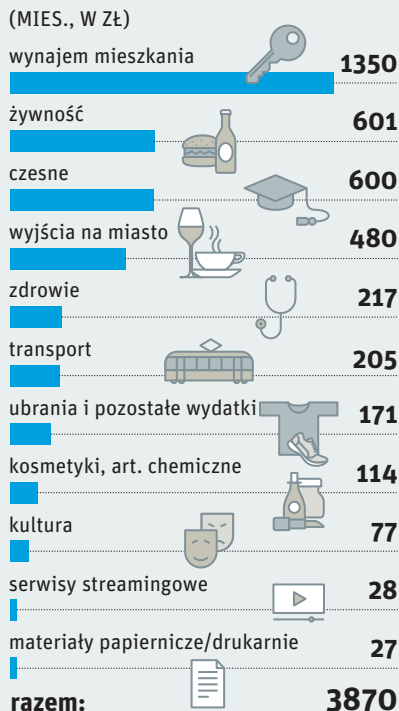
Na pytanie o sytuację materialną w ciągu minionych dwunastu miesięcy, 33 proc. studentów ankietowanych w ostatniej edycji badania odpowiedziało, że uległa ona lekkiemu lub poważnemu pogorszeniu. Rok wcześniej takich samych odpowiedzi udzieliło 38 proc. badanych studentów. Kryzys kosztów życia wśród studiujących trwa jednak dłużej. Już w 2020 r. w tym samym badaniu aż 53 proc. respondentów uskarżało się na obniżenie swojego standardu materialnego.

Pomiędzy rokiem 2016 a 2022 przeciętne miesięczne wydatki studenta

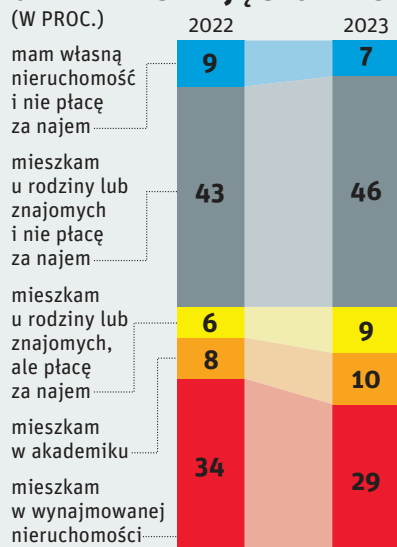
MIESIĘCZNE WYDATKI STUDENTA (W ZŁ)



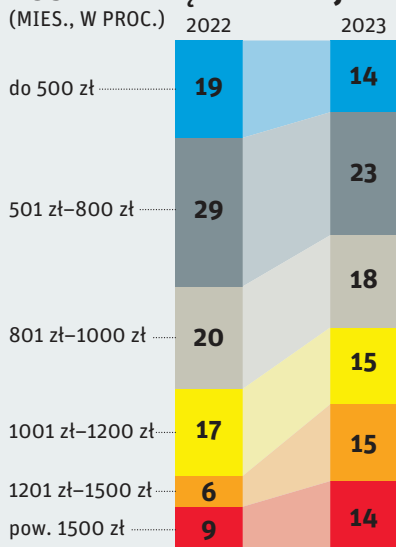
STRUKTURA WYDATKÓW (MIES., W ZŁ)



GDZIE MIESZKAJĄ STUDENCI? (W PROC.)



KOSZTY ZWIĄZANE Z NAJMEM (MIES., W PROC.)



ŹRÓDŁO: RAPORT „PORTFEL STUDENTA” WARSZAWSKIEGO INSTYTUTU BANKOWOŚCI WE WSPÓŁPRACY ZE ZWIĄZKIEM BANKÓW POLSKICH, EDYCJA VIII, WRZESIEŃ 2023

LECH MAZURCZYK

w Polsce wzrosły o niemal 102 proc. Skumulowana inflacja cen towarów i usług konsumpcyjnych w latach 2016-2022 wyniosła tymczasem zaledwie 31 proc.

Kryzys kosztów życia to nie jedyne wytłumaczenie. Wiele przemawia za tym, że wśród słuchaczy polskich uczelni systematycznie ubywa osób z uboższych domów, a średnie wydatki studentów winduje konsumpcja tych, których sytuacja materialna nie zmusza do zaciskania pasa.

Prof. Jacek Popiel: – Ostatnie dwa lata po lockdownie to czas, kiedy na UJ obserwujemy stały spadek odsetka studentów ze wsi i małych miast. Nie mam w tej chwili przed sobą dokładnych danych, ale mówimy o zmianie, która we wspomnianym okresie sięgnęła nawet 30 proc. Od rektorów innych dużych uczelni słyszę o identycznym problemie, obawiam się więc, że mówimy o zjawisku ogólnopolskim.

Z perspektywy Nowej Soli, niespełna 40-tysięcznego miasteczka w województwie lubuskim, wygląda to następująco. Jedyne bezpośredni pociąg do Krakowa jedzie stąd sześć godzin, codzienne dojazdy na uczelnię są więc niemożliwe. – Zresztą byłbym na miejscu przed północą i nadal potrzebowałbym noclegu. O kosztach nie wspomnę, bo w obie strony wyszłoby prawie dwie stowy dziennie. Jedna piąta mojego aktualnego budżetu – uśmiecha się nieśmiało Michał, student drugiego roku mechaniki na krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej.

Pierwszego października Michał będzie jednak w rodzinnym domu w Nowej Soli. Na urlopie dziekańskim.

– Ojciec jest na rencie, brat za rok pójdzie do liceum. Na szczęście mama pracuje. Jej pensja jako tako spina nam budżet, choć ostatnio z roku na rok jest coraz trudniej. Szedłem na studia wiedząc, że będę musiał dorabiać. Załapałem się na akademik. Miejsce kosztowało ponad 500 zł miesięcznie, a z domu dostawałem co miesiąc tysiąka. Pracowałem dorywczo jako kurier rowerowy. Dało się zarobić pod dwa, czasem dwa i pół tysiąca miesięcznie, a to wraz z pieniędzmi z domu pozwalało mi już jako funkcjonować w Krakowie – wylicza.

W kwietniu tego roku, jadąc rowerem do klienta, Michał stracił przytomność. Ocknął się w szpitalu. – Złamany obojczyk, lekkie wstrząśnienie mózgu, ale to nie było najgorsze. Lekarze zaczęli sprawdzać, co właściwie mi się stało, i okazało się, że mam ciężką, wcześniej niewykrytą arytmie serca. Wypisali mnie ze wskazaniem, że z aktywności fizycznych na razie zostaje mi spacer. Odpuściłem więc kurierkę, załatwiłem sobie pracę w restauracji – i czwartego dnia, niosąc zamówienie, prawie wywaliłem się z zupą na klienta. Zdałem egzaminy w sesji letniej i poprosiłem o urlop dziekański. Nie było wyjścia. Nie wiem, co dalej. Liczę na to, że się podlecę przez ten rok i będę mógł wrócić do pracy, żeby móc się utrzymać w Krakowie. Bardzo chcę tam wrócić.

Na pytanie o plan B Michał nie chce zrazu odpowiedzieć. – Jeśli nie będzie innego wyjścia, spróbuję przenieść się na jakieś studia techniczne do Zielonej Góry. Pociągami to tylko 20 minut z domu. Dyplomu tej uczelni nie da się porównać z AGH, ale lepszy taki niż żaden.

→

Czy to dalej Alma Mater?

→ W Polsce studiuje obecnie około 1,22 mln osób. W porównaniu z rokiem 2006, kiedy uczelnie wyższe kształciły niemal dwa miliony Polaków, widać zatem wyraźny regres. Po okresie dynamicznego wzrostu przyszła głęboka przecena znaczenia wyższego wykształcenia, które przestało być symbolem statusu i gwarantem awansu zawodowego. Dziś jednak liczba studentów znów lekko rośnie: w zeszłym roku, jak podaje GUS, przybyło ich o niespełna 0,5 proc., choć w praktyce wzrost ten koncentruje się w dużych ośrodkach uniwersyteckich, które prócz dobrej kadry profesorskiej mogą zaoferować studentom wyższy poziom życia. Co trzeci student w Polsce kształci się dziś w województwie mazowieckim (274,6 tys.) lub małopolskim (144,2 tys.). Niestety, wciąż dominują wśród nich osoby z innych miast.

Badania dostępności studiów dla młodzieży wiejskiej, przeprowadzone w 2018 r. przez dr. hab. Dominika Antonowicza, dr. Krzysztofa Wasielewskiego i dr. Jarosława Domalewskiego pokazały, że choć w całej populacji pochodzenie wiejskie ma ok. 40 proc. Polaków, ich odsetek wśród studentów utrzymuje się na o wiele niższym poziomie. Na Uniwersytecie Warszawskim wiejskie pochodzenie w 2018 r. deklarowało niecałe 19 proc. studiujących. Na Uniwersytecie Wrocławskim to prawie 25 proc., na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu – 33 proc., a na Uniwersytecie Opolskim to 36 proc. studentów. Gołym okiem widać tu niepokojącą zależność: im większy i silniejszy ośrodek uniwersytecki, tym mniejszy odsetek osób pochodzenia wiejskiego, które podejmowałyby tam studia. Autorzy badania w podsumowaniu wskazują na odpowiadające za taki stan rzeczy zjawisko swoistej autoselekcji młodzieży wiejskiej, która nazbyt często wybiera szkoły maturalne najbliżej miejsca zamieszkania, ale o gorszych wynikach na egzaminie maturalnym – co później przekłada się na mniejsze szanse dostania się na dobrą uczelnię. Na wsi z reguły brak również tradycji rodzinnych, które w miastach często decydują o wyborze miejsca, a nawet kierunku studiów w kolejnym pokoleniu.

Dziś zaś dochodzi do tej listy czynnik czysto ekonomiczny. Biorąc pod uwagę choćby różnicę wysokości przeciętnego



LUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

O sprzedaży akademika debatuje Samorząd Studencki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Dom Studencki „Jowita”, Poznań, 4 kwietnia 2023 r.

rozporządzalnego dochodu w mieście i na wsi (według danych z ostatniego Spisu Powszechnego to odpowiednio 2089 i 1639 zł), kryzys kosztów życia musi nieporównywalnie częściej krzyżować edukacyjne plany młodym mieszkańcom wsi niż miast. Owszem: droga do akademii z terenów wiejskich zawsze była dłuższa i bardziej wyboista niż ta, którą musiała pokonać młodzież z dużych miast. W międzyczasie doszło jednak do ważnej zmiany. Uczelnie wyższe także zbiedniały i nie stanowią już dla studentów takiego wsparcia, jakie mogły zaoferować im wcześniej. Mater (łac. matka) – owszem. Alma (łac. żywicielka) – już niekoniecznie.

O subwencjach oświatowych dla uczelni wyższych ich rektorzy mówią dziś niemal tym samym językiem, którym swoje położenie opisują od pewnego czasu samorządowcy – czyli coraz więcej obowiązków za niemal te same pieniądze. Zamrożenie przez rząd minimalnego progu dochodowego (odmrożonego dopiero na początku tego roku) doprowadziło do spadku liczby studentów pobierających stypendia socjalne. Zgodnie z danymi GUS w 2019 r. takie świadczenie pobierało 101,8 tys. osób. W 2020 r. – 79,4 tys., a rok później już tylko 65,8 tys. Za kosztami życia w dużych miastach od dawna nie nadążają też wynagrodzenia dla doktorantów.

– Asystent na etacie, często z doktoratem, zarabia obecnie pensję minimalną. Od stycznia wzrosła ona do ok. 3200 zł na rękę. Proszę sobie wyobrazić młodego człowieka, nierzadko już z rodziną, który za takie pieniądze musi się utrzymać w dużym mieście – kiwa głową rektor Popiel. – W takich warunkach trudno mówić o płynnym wejściu w dorosłość, które dałoby się połączyć z owocną pracą naukową.

Uniwersytet Jagielloński szacuje, że proporcjonalnie do potrzeb studentów i doktorantów, brak mu obecnie ok. 500 miejsc w akademikach. Na ten rok uczelnia przygotowała ich 2947, z czego już 2826 jest zarezerwowanych. Stawki oscylują od 560 zł miesięcznie za miejsce w pokoju wieloosobowym do 980 zł za jednoosobowe korzystanie z dwójki. Zarządzający domami studenckimi złożyli jednak propozycję podwyższenia opłaty za miejsce w pokoju wieloosobowym do 600 zł. Uczelniana Komisja Ekonomiczna jeszcze ich nie zaopiniowała.

– Nasze możliwości w sferze socjalnej są prostą pochodną naszego budżetu, a realia są, jakie są – odpowiada dyplomatycznie rektor UJ. – Czasem z pomocą przychodzą nam zamożni absolwenci, fundując po kilka stypendiów dla uzdolnionych studentów z ich rodzinnych stron, ale to kropla w morzu potrzeb. Ministerstwo Edukacji i Nauki na problem kry-

zysu kosztów życia w dużych miastach ma inną receptę. Chce dalszego rozdrobnienia nauki i większej liczby wyższych uczelni w małych miastach.

Jak za młodości Pigionia

Zuzanna Kicińska sprawdza w internecie, jak dojechać na uczelnię z jednej z potencjalnych stacji. Program pokazuje, że przesiadkę będzie mieć koło teatru Bagatela, opodal uniwersyteckiego domu gościnnego im. Stanisława Pigionia, wybitnego historyka literatury polskiej i rektora UJ. Pigoń przyszedł na świat w 1885 r. w podkarpackiej Kombornii, w rodzinie chłopskiej. Rodzice widzieli go przy pługu, ale on wybrał książki i dzięki wielkiemu samozaparciu i szczęściu zdołał skończyć studia, a potem rozpocząć karierę naukową. W ówczesnej Polsce był to bezprecedensowy przykład awansu z nizin do elity, jaką w tamtych czasach stanowiła profesura.

Po II wojnie światowej, za sprawą inżynierii społecznej narzuconej krajowi przez komunistów, ścieżki awansu stały się otworem przed tysiącami następców Pigionia. Słynne punkty za pochodzenie w pierwszych powojennych latach wręcz faworyzowały w wyścigu o indeks młodzież z relatywnie ubogich rodzin robotniczo-chłopskich. To, z czym mamy do czynienia obecnie, to ich swasty powrót w nowej odsłonie: jeśli nie mieszkasz od urodzenia w dużym mie-

W Polsce studiuje obecnie około 1,22 mln osób.

W porównaniu z rokiem 2006, kiedy uczelnie wyższe kształciły niemal dwa miliony Polaków, widać wyraźny regres.

ście lub nie masz w miarę zamożnej rodziny, nie udźwigniesz coraz wyższych kosztów życia na studiach. I to się może długo nie zmienić.

Ekonomiści szacują, że kilkuprocentowa inflacja będzie nam towarzyszyć jeszcze półtora roku do dwóch lat. Nawet gdy już wróci w koryto wyznaczone jej przez bank centralny, ceny nie spadną do poziomu sprzed pandemii. A jeśli po drodze polska gospodarka złapie zadyszkę, wpadniemy w pułapkę stagflacji, czyli rosnących cen i zarobków, które za nimi nie nadążają. Taki scenariusz równałby się zabetonowaniu jednej z ostatnich dostępnych ścieżek awansu społecznego, jaką dają studia w dużym mieście.

Autorzy opublikowanego przed trzema laty Global Social Mobility Report porównali ścieżki awansu społecz-

nego w 82 krajach. Polska zajęła w tym rankingu 30. miejsce, głównie za sprawą jakości krajowej edukacji (pod tym względem uplasowaliśmy się na 14. pozycji). Wysoko oceniono również chłonność polskiego rynku pracy (miejsce 26.) i mechanizmy opieki społecznej (26.). Ostateczną pozycję Polski w rankingu mocno zaniżyła ocena dostępu do edukacji – pod tym względem plasowaliśmy się dopiero na 42. pozycji. Niższe noty otrzymaliśmy jedynie w porównaniach warunków pracy (pozycja 46.) i kształcenia ustawicznego (miejsce 48.).

Za główną bolączkę polskiej edukacji autorzy raportu uznali wtedy niską dostępność do nauczania przedszkolnego, zapaść w nauczaniu zawodowym oraz wysoki jak na państwo rozwinięte odsetek dzieci, które nie chodzą do szkoły. Ranking powstał jednak w roku 2020, kiedy kryzys kosztów życia jeszcze nie majaczył na horyzoncie sytych społeczeństw Europy i nie mógł mieć wpływu na ocenę dostępności do szkolnictwa wyższego. W Polsce wskaźnik średniorocznej inflacji sięgnął wówczas 3,4 proc.

Od tamtej pory przeciętne wydatki polskiego studenta wzrosły jednak o ponad 1,2 tys. zł – czyli niemal o tyle samo, ile obecnie kosztuje średnio wynajęcie lokum studenckiego w którymś z miast uniwersyteckich. Doprawdy, znamieny zbieg okoliczności.

© P MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui, Michał Okoński,
Marek Rabijs, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kačka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska,
Ryszard Koziółek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszejca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Adam Róbiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szmer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Duchy*



CZEGO MAMY TYSIĄC PO LEWEJ STRONIE, a dziesięć tysięcy po prawej? Psalmista rzecze: „Legnie u boku twojego tysiąc, myriady przy prawicy twojej; do ciebie się nie zbliży” (Ps 91, 7; Cylkow). Trudno zgadnąć, bo są niewidzialne: demony. Ocierają

się o nas i dlatego zużywają nam się ubrania, nawet jeśli tylko siedzimy i studiujemy Torę. Nie powinniśmy nocą pić wody z rzek i jezior, albowiem może tam przebywać Szabrirri – demon ślepoty. Jeśli jednak jesteśmy bardzo spragnieni, a nie mamy przy sobie towarzysza, należy wypowiedzieć formułkę z zaklęciem, w którym stopniowo odejmujemy po jednej sylabie z imienia demona: Szabrirri – briri – riri... Do latryny też lepiej nie chodzić w pojedynkę, gdyż gnieźdzące się tam często demony mogą nam zrobić krzywdę. Matka przyszłego mędrca o imieniu Abaje specjalnie hodowała owieczkę, by ta towarzyszyła chłopcu w toalecie. Córka rabina Chisdy – a zarazem żona rabina Rawy – kiedy mąż szedł na stronę, wkładała orzech do miedzianego naczynia i grzechotała. Kiedy Rawa został rektorem akademii talmudycznej, potrzebna była lepsza ochrona, skonstruowała więc okienko i przez nie trzymała rękę na jego głowie, gdy on oddawał stołec.

Powyższe stanowi jedynie część „wiedzy” o złych duchach, na którą natrafiłam w Talmudzie [Babilońskim]. Przy pierwszej takiej malowniczej historyjce zastanowiło mnie, jak rabinom świat wypełniony owymi stworami składał się teologicznie. Czyżby wiara w demony była w Babilonii tak rozpowszechniona, że aż nie zawieszali na tym myśli? Specjaliści od zdecydowanie mniej znanego Talmudu Jerozolimskiego mówią, że jest on pozbawiony demonologii.

W Biblii hebrajskiej rzadko można się natknąć na demony, w dodatku są one pod kontrolą Najwyższego. Dla przykładu o królu Saulu jest powiedziane, że „dręczył go zły duch, zesłany od Wiekuistego” (1 Sm 16, 14). Jak stwierdza prorok Amos: „nie ma klęski [dosł. zła] w mieście, gdy tego Wiekuisty nie sprawia” (Am 3, 6). W Torze bodaj jedynym wydaje się pustynny Azazel, któremu w Dzień Pojednania wysyła się kozła (zob. Kpł 16, 10). Tymczasem posiadając nieco wiedzy o bóstwach okolicznych narodów, dojrzymy demony nawet w pożegnalnej Pieśni Mojżesza (Pwt 32). Często ich imiona są zarazem rzeczownikami pospolitymi – np. Śmierć, Zaraza, Głód – i wtedy zazwyczaj tłumaczenie ich nie wychwyci. „Wycieńczeni gdy będą głodem, i strawieni gorączką i zarazą jadowitą” (wers 23), Bóg ześle dodatkowe kataklizmy na niewiernych Izraelitów. Odda ich na pastwę obcych sił, ponieważ „[o]fiarowali złym duchom, niebyłym siłom, bóstwom, których nie znali – nowym, świeżo powstałym, których się nie bali ojcowie wasi” (wers 17). Oto kara adekwatna do przewiny. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Korzenie zła*



„PEWIEN CZŁOWIEK MIAŁ DWÓCH SYNÓW”, opowiada Jezus. Któregoś dnia poprosił jednego z nich, żeby zajął się robotą w winnicy, ale ten bez namysłu odpalił, że mu się nie chce i nie pójdzie. Po chwili jednak odzyskał rozum, wziął się za robotę. Gorzej

poszło Ojcu z drugim synem – ten z wielką chęcią przyjął propozycję ojca, ale już po chwili entuzjazm wygasł i synalek do roboty nie poszedł. „Który z tych dwóch spełnił wolę ojca?” – zapytał Jezus słuchaczy. Odpowiedzieli: „Ten pierwszy”. „Zapewniam was – dodał Jezus – celnicy i nierządnicze wejdą przed wami do królestwa Bożego. Bo przyszedł do was Jan, postępując sprawiedliwie, a nie uwierzyliście mu. Uwierzyli mu zaś celnicy i nierządnicze. A wy, chociaż to widzieliście, nawet później nie odczuliście żalu i nie uwierzyliście mu”.

Nie uwierzyli Janowi i Jezusowi również, bo jak mieli uwierzyć, skoro nijak nie pasował do ich wyobrażeń o wymarzonem Mesjaszu, który za jednym zamachem położy kres wszystkim ludzkim nieszczęściom. Jak mieli uwierzyć człowiekowi, który jest nikim więcej, jak tylko synem cieśli Józefa i Maryi, i bratem kilku siostr i braci. I ten człowiek, zarabiający na życie jak każdy inny, ma czelność wytykać innym, że chcąc pełnić wolę Boga, Bogu się sprzeciwiają: „Udaremniają Boże zamiary względem nich”.

Ten Uzurpator natomiast nieustannie zadaje się z pijakami, rozpustnikami, kolaborantami, na których nie sposób patrzeć bez obrzydzenia. Czy taki ktoś może mieć cokolwiek do zaproponowania ludziom uczciwym, pobożnym, ofiarnym, nie mającym sobie nic do zarzucenia zarówno w sprawach wielkich, jak i małych? Czy takiemu komuś Bóg może sprzyjać? Czy taki ktoś może znać i spełniać wolę Boga? Jasne, że nie. Takiego kogoś nie można brać poważnie, przeciwnie, takich pomyłenców należy zawałczyć aż do ostatka. A jeśli już ktoś ma się nawracać, to oni, a nie my. My tego nie potrzebujemy: „Boga mamy za Ojca”. Tyle tylko, że ta prosta i pobożna droga prowadzi prosto za granicę człowieczeństwa.

Zawsze znajdują się oskarżyciele, policjanci, sędziowie, klaukierzy, zawsze da się zebrać tłum, który przykłaśnie zdemoralizowanemu władcy i krzyknie „Na krzyż z Nim!”, i niewinny człowiek, „w majestacie prawa” zawisnie na szubienicy. A zaczyna się niewinnie, od prawa do szczęścia. „Ale my wiemy – mówi Leszek Kołakowski – że On [Jezus] ma rację. Wiemy, że przynajmniej dla części wielkich problemów ludzkości nie ma rozwiązań czysto technicznych czy organizacyjnych, że wymagają one tego, co Jan Chrzciel nazwał metanoją, przemianą duchową. A tej przemiany z definicji nie można wywołać w sposób techniczny. Polega ona na uznaniu, że korzenie zła są w nas, w każdym z nas, zanim wrosną w instytucje i doktryny”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Ewangelizatorzy

Mogę pracować tylko
nad nadchodzącym
czasem.

OBŁOK NIEWIEDZY



Aby żyć szczęśliwie,
zamiast trudów
niepotrzebnych wybieraj
tylko te, których wymaga
natura.

DIOGENES Z SYNOPY



„JEZUS WĘDROWAŁ PRZESZŁOŚĆ
miasta i wsie, naucza-
jąc i głosząc Ewangelię
o królestwie Bożym.
A było z Nim Dwuna-
stu oraz kilka kobiet,

które zostały uwolnione od złych duchów i od chorób, Maria, zwana Magdaleną, którą opuściło siedem złych duchów; Joanna, żona Chuzy, rzędcy Heroda; Zuzanna i wiele innych, które im usługiwały, udzielając ze swojego mienia” – krótka perykopa ewangeliczna z minionego czwartku (Łk 8, 1-3). Przywołuje na myśl analogiczne, krótkie teksty z Łukaszkowych Dziejów Apostolskich – tzw. *summaria*, czyli niewielkie opisy ukazujące w syntetycznym skrócie istotne elementy życia i działania pierwotnego Kościoła (Zob. Dz 2, 42-47; 4, 32-35; 5, 12-16). Wydaje się, że i w tym wypadku mamy do czynienia z takim *summariem* – streszczeniem zbierającym w syntetycznym skrócie najważniejsze elementy ewangelizacyjnej misji Jezusa. Jakże to są elementy? Co znaczy ewangelizować na sposób Jezusowy?

Oznacza to najpierw: być w drodze. Nie dać się zamknąć w „ciasnej, ale własnej” stabilizacji, w swojej kościelnej strefie komfortu. Być w drodze – a więc wychodzić, szukać tych, których nie ma, nie czekać, aż sami przyjdą. Mieć inicjatywę, nie tylko reagować na to, co dzieje się w odniesieniu do nas – nie zadowalać się nawet najlepszą apologetyką, ale proponować spotkanie i wspólnotę działania. Być w drodze – to znaczy też być otwartym, ja-

koś nienasyconym, oczekującym, wierzącym, że „Ewangelia jest ciągle jeszcze przed nami”, a nie za nami.

Ewangelizować na sposób Jezusowy znaczy następnie: być we wspólnocie. Z wiarą w to, że ostatecznie to „wspólnota promieniuje” (sformułowanie „Instrumentum Laboris” na październikowy Synod Biskupów) – że to wspólnota jest wcielonym orędziem ewangelicznym, streszczającym się w przykazaniu miłości. Wspólnota – nie zredukowana do najbliższych współpracowników („Dwunastu”), ale otwarta szeroko – na współdziałanie i odpowiedzialność osób świeckich – również kobiet. Wspólnota, w której każdy traktowany jest podmiotowo – znany po imieniu i akceptowany, niezależnie od swojej przeszłości („siedem złych duchów”) i środowiska, z którego pochodzi („żona rzędcy Heroda”). Ewangelizuje zawsze Kościół – naucza św. Paweł VI w adhortacji „Evangelii nuntiandi”. Nawet Jezus nie ewangelizuje sam. Czyni to we wspólnocie, z nią i przez nią.

Ewangelizować na sposób Jezusowy znaczy wreszcie: skoncentrować się na kerygmacie: „przepowiadał (grec. *kerys-sion*) i ogłaszał jako Dobrą Nowinę królestwo Boże”. Pierwsze jest pierwsze! Oczywiście, w ewangelizacji jest czas i miejsce na wszelkie nauczanie i na katechezę. Ale u ich podstawy zawsze musi być kładziony fundament kerygmatu – inaczej zaczyna się budowę domu, jakim dla człowieka jest wiara, od... dachu.

Droga, Wspólnota, Kerygmat. Amen. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (1 – 8 X)

26. niedziela zwykła: Ez 18, 25-28; Ps 25; Flp 2, 1-11; Mt 21, 28-32;

Poniedziałek: Wj 23, 20-23; Ps 91; Mt 18, 1-5. 10;

Wtorek: Za 8, 20-23; Ps 87; Łk 9, 51-56;

Środa: Ga 6, 14-18; Ps 16; Mt 11, 25-30;

Czwartek: Ne 8, 1-4a. 5-6. 7b-12; Ps 19; Łk 10, 1-12;

Piątek: Ba 1, 15-22; Ps 79; Łk 10, 13-16;

Sobota: Ba 4, 5-12. 27-29; Ps 69; Łk 10, 17-24;

27. niedziela zwykła: Iz 5, 1-7; Ps 80; Flp 4, 6-9;

Mt 21, 33-43.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

KTO X X X X
GŁOSUJE X
TEN SIĘ X X
LICZY X X X
X X X X X X X
X X X X X X X

Chcesz głosować w Warszawie, ale nie masz



Plakat zachęcający do udziału w wyborach parlamentarnych. Warszawa, 16 września 2023 r.

DZIEWIĄTA RZECZPOSPOLITA

Paradoksem zbliżających się wyborów jest to,
że możliwość zmiany zależy od niezdecydowanego elektoratu zachowawczego.
Największy problem z uświadomieniem sobie tego mają ci,
dla których dążenie do zmiany jest oczywistością.

JAROSŁAW FLIS

ZACHOWAWCZOŚĆ MOŻE SIĘ ODNO-
sić do trzech poziomów. Pierwszy
dotyczy po prostu obecnego stanu rze-
czy. Nawet najwięksi zwolennicy per-
manentnej rozróby nie chcą przecież
zmieniać wszystkiego. Każdy ma jakieś
przyzwyczajenia i przywiązania, które
uważa za nie do ruszenia. Drugi po-
ziom zachowawczości dotyczy tradycji –
konkretnej, historycznie ukształtowanej,
niepowtarzalnej. Wreszcie na najwyższym
poziomie można chcieć zachować wartości
uniwersalne – najgłębiej porządkujące świat.
Te trzy podejścia mogą się na siebie nakładać
i nie zawsze łatwo je odróżnić. Świadomość
takich odmiennych perspektyw jest jednak
potrzebna, jeśli chcemy zrobić bilans
argumentów za i przeciw decyzji, jaką
trzeba będzie podjąć 15 października –
zostawić czy odstawić tych, którzy obecnie
sprawują władzę. Szczególnie że chodzi o
partię nie tylko rządzącą, lecz też trzymającą
wysoko sztandar konserwatyzmu – troski o
tradycję i fundamentalne wartości.

Republika, rebelia, rewanz

Jak wygląda bilans ośmiu ostatnich lat?
Można zaryzykować twierdzenie, że wła-
śnie osoby o zachowawczych, konserwa-
tywnych poglądach są tymi, które po-
niosły w tym czasie największe straty.
W pierwszych miesiącach pierwszej ka-
dencji PiS opisywałem trzy nurty dające
się wyróżnić w tej formacji, które można
określić słowami „republika”, „rebelia” i
„rewanz”. Z dzisiejszej perspektywy wi-
dać, że realne skutki minionego okresu
w przypadku każdego z tych nurtów
mają inną skalę. Co jednak najważniejsze,
są odwrotnie proporcjonalne do wartości,
jakie przypisywałby im zachowawczy
obywatel czy nawet szczerzy ideowy kon-
serwatysta.

Nie da się zaprzeczyć wyraźnym osią-
gnięciom nurtu republikańskiego w PiS,
koncentrującego się na przełamywaniu
zastanych pęknięć wspólnoty. Duża część
społeczeństwa, która miała przez
wcześniejsze ćwierćwiecze poczucie
wykluczenia, poczuła się bardziej u sie-
bie i zaangażowała się w większym niż
dotąd stopniu we wspólne sprawy. Wi-
dać to szczególnie w miejscach, gdzie fre-
kwencja wyborcza była wcześniej naj-
niższa – na obszarach wiejskich Ziem
Odzyskanych i Kongresówki. Przeciwi-

nicy PiS z reguły zzymają się, że głos na
partię rządzącą to czysta ekonomiczna
kalkulacja obu stron – polityków i wy-
borców. Lecz przecież właśnie po to jest
demokracja, żeby reagować na społeczne
bólaczki. Wierzymy, że nawet kierując
się osobistym interesem, ci, którzy anga-
żują się w politykę, będą starali się roz-
wiązywać też nasze problemy – wycho-
dzić naprzeciw naszym potrzebom, po-
prawiać nasz los.

Jednak nawet na tym polu rodzą się
wątpliwości. Choć deklaratywnie poli-
tycy PiS chcą rozwiązać problem społecz-
nych podziałów, to widać, że chcieliby
je równocześnie podtrzymać. Szczegół-
nie dotyczy to wynikającego z nich
uczucia – poczucia krzywdy. Nawet jeśli
chcą, żeby różnice między miastem i wsią
były jak najmniejsze, to jednak chcieliby
także, żeby one dalej dzieliły społeczeń-
stwo. Atakując swoich przeciwników
za to, że ponoć dalej chcą służyć wyłącz-
nie interesom mieszkańców miast, pie-
legnują niegdysiejsze urazy i dokładają
nowe. Nie mają żadnego pomysłu, jak
pozbyć się tego brzemienia historii, poza
tym, żeby zrzucić je na barki przeciwni-
ków. Jednak społeczna spójność od tego
nie rośnie – wręcz przeciwnie.

Różne są na taką strategię reakcje, lecz
na pewno podgrzewanie podziałów nie
pozostaje bez odpowiedzi. Skala nie-
chęci, jaką darzy PiS opozycyjna wobec
tej partii większość społeczeństwa,
jest bezprecedensowa. Politycy obozu
władzy także tu chcieliby zrzucić winę
na przeciwników; zarazem sami nie ro-
bią żadnego kroku, by napięcie zmniej-
szyć. Wiele ich gestów i słów służy tylko
pogłębieniu podziałów.

Niekompetencja, nieudolność, głupota

Bardzo źle wygląda propagowanie tra-
dycji narodowej i społecznych więzi.
Z jednej strony jest to robione wyjąt-
kowo topornie. Z drugiej – podobnie jak
w przypadku podziału urbanizacyjnego –
sprawa jest traktowana instrumental-
nie i ma służyć przede wszystkim rywali-
zacji politycznej oraz odróżnieniu partii
rządzącej od pozostałych sił, które ponoć
tego nie robią. Wyszukiwane są i nagła-
śniane wszystkie przypadki podważa-
nia czy podawania w wątpliwość naro-
dowych czy chrześcijańskich wartości
przez politycznych przeciwników lub

ich sympatyków. Natomiast wszystkie
przypadki, gdy opozycja odwołuje się do
takich wartości, są ignorowane lub de-
zawuowane. Efekt najlepiej podsumo-
wuje cytat z maila przypisywanego mi-
nistrowi Michałowi Dworczykowi, który
miał ponoć pisać do premiera: „niekom-
petencja, nieudolność, głupota, a czasem
też ciemne interesy są zawsze podlewane
(...) u nas w polityce obrzydliwym sosem
bogoojczyźnianych frazesów”. Zarówno
ta toporność, jak i instrumentalizacja po-
działów przynoszą skutki odwrotne do
zamierzonych. Nikt nie odczuwa tego bó-
leśniej od umiarkowanych zachowaw-
czych Polaków.

Rebelia – niszczenie instytucji postrze-
ganych jako źródło wcześniejszych opre-
sji – poszła trochę lepiej. Najdalej zaszło to
w przypadku gimnazjów, co pewnie jest
już nie do odwrócenia, lecz najbardziej
pouczający przykład stanowi Trybunał
Konstytucyjny. Żadne zastrzeżenia do
standardów i praktyk z czasów poprzed-
niej władzy nie są w stanie usprawiedli-
wić zenującej sytuacji, w której ciało po-
wołane do ostatecznego rozstrzygnięcia
prawnych sporów nie jest w stanie usta-
lić, kto jest jego prezesem, i nie może się
zebrać w pełnym składzie.

Nikt nie potrafi przewidzieć, jakie
będą dalsze losy tej skompromitowanej
instytucji. Szczęśliwie na wielu innych
polach rewolucyjny zapal Jarosława Ka-
czyńskiego został powstrzymany przez
opór rzeczywistości. Naturalny konser-
watyzm instytucji bronił się przez ostat-
nie lata lepiej, niż można się było spodzie-
wać. Nie brakuje uszczerbków i uszko-
dzeń, jak choćby w sprawie kompetencji
samorządu. Generalnie jednak nieudol-
ność w złych zamiarach trudno trakto-
wać jako godną docenienia cnotę.

Najwięcej udało się osiągnąć w nurcie
rewanzu. Zamiast IV RP mamy IX RP,
czyli III RP do kwadratu. Wszystkie nad-
użycia, które PiS tak chętnie wytykał rzą-
dzącym przed 2015 rokiem, zostały twórczo
rozwinęte, tylko kto inny teraz na
nich zyskuje.

Ludzie PiS – politycy, aktywiści i zwo-
lennicy – na wszelkie zarzuty odpowia-
dali na początku: „dla swoich też nie
mamy litości”, choć coraz trudniej było
znaleźć przykłady, że tak jest faktycz-
nie. Gdy kolejne sprawy zamiatano pod
dywan, pojawiła się inna odpowiedź:
„za PO było jeszcze gorzej”. Trudno tego

→ nie uznawać za drogę na manowce. Przecież to oznacza, że nie trzeba się wstrzymywać przed nadużyciami władzy, jeśli tylko jesteśmy w stanie przekonać siebie i wyborców, że nasi oponenti zrobiliby to samo, tylko bardziej. Już samo użycie takiego argumentu można z republikańskiego punktu widzenia uznać za coś wymagającego politycznej kary w postaci odsunięcia od władzy.

Radykalizm, wykluczanie, zaciętrzewienie

Jednak nawet świadomość i brak akceptacji dla patologii nie oznaczają, że osoby zachowawcze porzuca bliską im ideowo partię i przeniosą poparcie na opozycję. Głosowanie jest nie tylko oceną władzy, lecz także wyrażeniem pożądanego ideowego ukierunkowania. Jeśli druga strona ma odmienne wyobrażenia o świecie i przeciwnie stanowisko w głęboko dzielących ideowych sporach, przeniesienie na nią preferencji jest trudne do wyobrażenia – rozwiązaniem jest tylko odpuścić sobie głosowanie.

Tyle że wobec tak gorących sporów ideowych zostanie w domu nie jest łatwe. Utrudnia je chociażby rozgorączkowanie postępowych rewolucjonistów, którzy są przekonani, że „historia jest po ich stronie”. Starają się oni ruszyć na ratunek kolejnym grupom, które można uznać za pokrzywdzone przez dotychczasowe normy czy praktyki społeczne. Na przykładzie problemów dzieci z tożsamością płciową widać jednak, że pośpieszne zmiany nie rozwiązują problemu, tylko go powiększają. W każdym razie do takiego wniosku doszły właśnie służby medyczne krajów skandynawskich i Wielkiej Brytanii. Jednocześnie wszystkim tym, którzy w podobnych sprawach mają wątpliwości, samowarczą awangarda oświecenia oferuje tylko miejsce w „koszyku żałośników”, którym to mianem określiła wyborców Donalda Trumpa Hillary Clinton, co przyczyniło się do jej zaskakującej porażki.

Do aktualnie nośnych tematów, które u zachowawczych wyborców wywołują ostre spięcia z postępowcami, poza tożsamością płciową zaliczyć wypada problem imigracji. Choć można zrozumieć odruchy serca, każące być solidarnym z ludźmi w ciężkiej sytuacji, to jednak takim odruchom musi towarzyszyć racjonalne rozważenie możliwych scenariuszy

29 proc.

wyborców opozycji nie jest pewnych,
czy oddać na nią głos.

W elektoracie PiS **niezdecydowani** to

34 proc.

ŹRÓDŁO: FUNDACJA BATOREGO

czy i realnych społecznych kosztów, generowanych przez odruchowe działania. Odmawianie prawa do swobodnej dyskusji na podobne tematy i zamykanie ust doszukiwaniem się w każdej wątpliwości rasizmu czy ksenofobii rodzi ryzyko, że w koszu wyłudzą jakiekolwiek propozycje społecznych zmian.

Dlatego właśnie pomysłem PiS na tę kampanię jest eksponowanie radykalnych i zaciętrzewionych zwolenników postępu jako jedynej alternatywy dla *status quo*. Tyle że samo to powinno budzić zaniepokojenie ludzi zachowawczych – tych, którzy troszczą się o narodową wspólnotę. Jeśli bowiem samemu zarzuca się przeciwnikom niezdolność do akceptacji odmiennych poglądów, to nie po to, żeby w odpowiedzi zamknąć się w swoich oczywistościach jeszcze bardziej. Zdrowa zachowawczość ma świadomość zmieniających się okoliczności i przysłowiowej już zasady, że „trzeba będzie wszystko zmienić, żeby wszystko zostało po staremu”.

Umiarkowani, ludowi, potrzebni

Pod jednym względem sytuacja umiarkowania zachowawczych jest korzystniejsza od innych – mają alternatywę w postaci Trzeciej Drogi. Przewaga, jaką cieszy się w Polsce ugrupowanie prawicowo-solidarne, ze względu na ogólny rozkład preferencji jest bowiem również źródłem pułapki, w którą wpadł PiS. Jarosław Kaczyński nigdy nie miał ochoty ani potrzeby, by włączyć do swojego obozu PSL w jakiejś partnerskiej relacji. Wierzył, że jest w stanie przejąć wyborców i skaperować na tyle dużo lokalnych aktywistów PSL, by partia ta podzieliła los Samo-

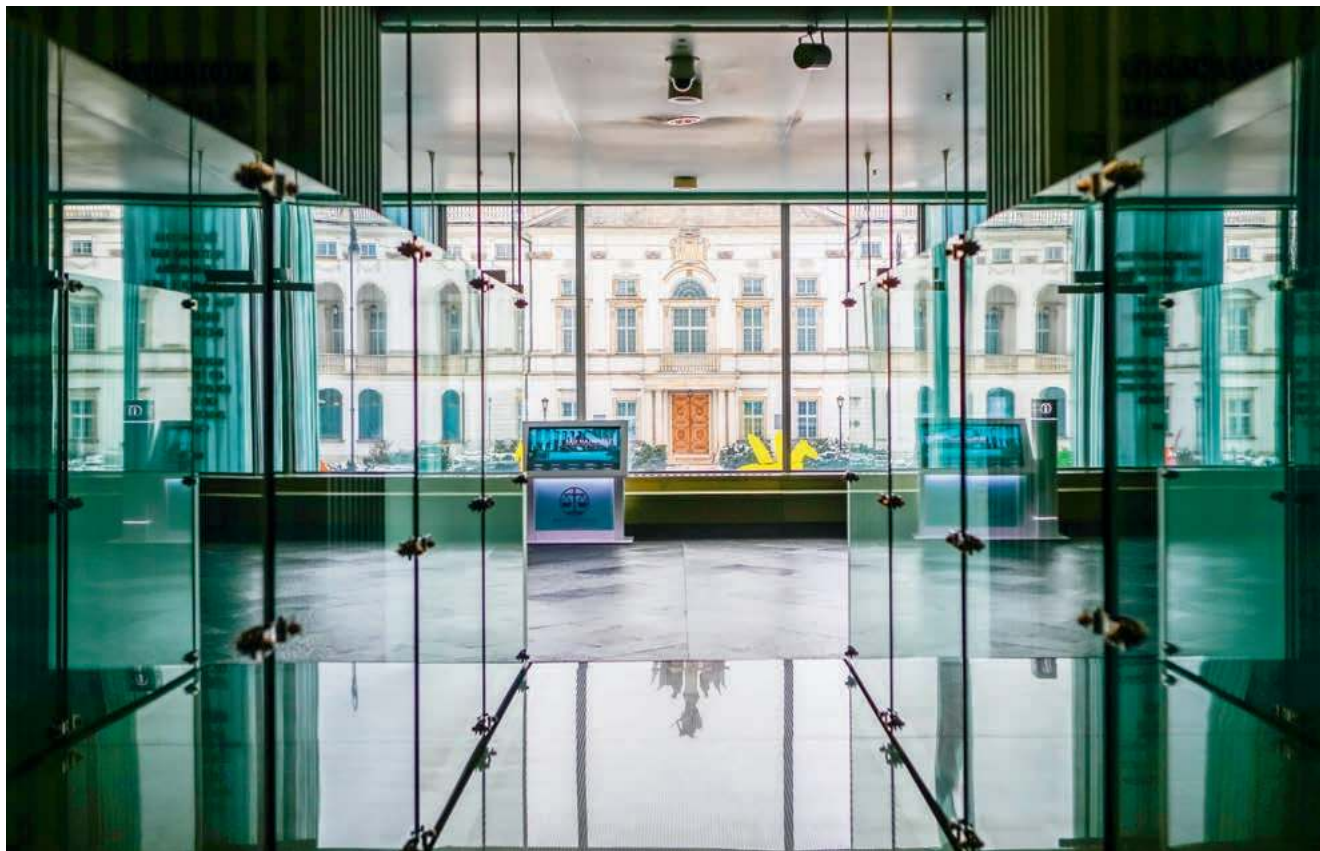
obrony i LPR. To się jednak nie udało. Ludowcy przeżyli, choć wielu składało ich do grobu, a jeszcze więcej chciałoby ich tam złożyć.

Obecność PSL w kampanii jest problemem nie tylko dla PiS. Zwolennicy radykalnego „przestawienia wajchy” psioczą na „symetrystów”, gdy tymczasem sami próbują stworzyć partię, która będzie symetrycznym odpowiednikiem PiS – będzie jak tamta jednoznaczna i nie będzie się z nikim liczyć przy wcielaniu w życie swoich pomysłów, czy to w sprawach sądownictwa, czy aborcji. Rzecz tylko w tym, że pomimo licznych inicjatyw i prężenia mięśni, partie ustawiające się dziś po postępowej stronie – KO i Nowa Lewica – nie mogą na spółkę przekroczyć 40 proc., czyli naprawdę daleko im do większości. Jeśli zachowują nadzieję na współudział w przyszłym rządzie, to tylko dlatego, że Trzecia Droga utrzymuje się w średniej sondaży nad koalicyjnym projektem.

Umiarkowana zachowawcza partia nie ma oczywiście tej siły przyciągania, co partie o jednoznacznych ideowych profilach, lecz w zamian ma dwie możliwości. Po pierwsze, będąc w opozycji może przyciągać zawiedzionych obozem rządzącym. Po drugie, może przyciągać wyborców innych ugrupowań opozycyjnych, które na fali rozgorączkowania wyostrzają swój ideowy przekaz – tych, którym ta radykalizacja nie odpowiada. Dodatkowym wsparciem, choć przecież także źródłem wewnętrznych napięć, stał się ruch Szymona Hołowni. Nad ludowcami ciąży przecież wspomnienie mało asertywnej polityki względem koalicyjnej Platformy – lecz wtedy musieli się liczyć ze straszakiem w postaci SLD, a potem Ruchu Palikota, którymi mogli być zastąpieni, gdyby chcieli zablokować zbyt dużo projektów większego koalicyjanta. Dziś wygląda na to, że ich pozycja – jeśli Paktowi Senackiemu uda się zdobyć także sejmową większość – będzie znacznie mocniejsza niż 16 lat temu.

W ewentualnej koalicji Trzecia Droga będzie musiała się mierzyć z atakami liberalnych i lewicowych mediów, lecz może nawet one zrozumieją w końcu, że bez takiego przyczółka po zachowawczej stronie społeczeństwa wszyscy będziemy skazani na kolejne lata pseudokonserwatywnej, przeciwnie skutecznej kontrewolucji.

© JAROSŁAW FLIS



ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

Widok z siedziby Sądu Najwyższego na Bibliotekę Narodową w Pałacu Kasińskich. Warszawa, 7 lutego 2023 r.

Dwie władze do odstrzału

WŁODZIMIERZ WRÓBEL, SĘDZIA SĄDU NAJWYŻSZEGO:

Smutne, że w kraju, który stworzył Solidarność i wydał Jacka Kuronia oraz Jana Pawła II, tak słabo zakorzeniło się poczucie wspólnoty, a także – po prostu – chrześcijaństwo.

MAREK KĘSKRAWIEC: W programie wyborczym PiS, nazwanym „Bezpieczna przyszłość Polaków”, możemy przeczytać, że sędziowie w sposób zorganizowany angażują się w spory polityczne, wydają polityczne wyroki, nieustannie poszerzają swe terytorium kosztem parlamentu i godzą w trójpodział władzy. Co Pan na to?

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL: Uznaję te słowa za wyraz frustracji polityków, którzy nie mogą robić tego, co chcą, bo sądy wciąż jeszcze im przeszkadzają. Faktem jest natomiast, że w wiele obszarów funkcjonowania państwa wkrada się chaos, tyle że jego źródłem jest zamach ustrojowy ze strony władz, a nie sędziów.

Kluczowe miejsca systemu, jak Trybunał Konstytucyjny czy Krajowa Rada Sądownictwa, a po części także sądy i prokuratura, przestały być konstytucyjne, w związku z czym nie wiadomo do końca, jak traktować wytwory prawne tych instytucji.

Gdy czyta Pan słowa o „zanarchizowanej władzy sądowniczej” i że to musi się skończyć, to czego się Pan spodziewa w wypadku trzeciej kadencji obecnego obozu politycznego?

Nie jestem specjalistą od zdejmowania z tych deklaracji populistycznej piany mającej jedynie wywoływać emocje, ale

gdyby potraktować poważnie najczęściej pojawiające się pomysły, to widać, że jedno z najważniejszych ugrupowań w kraju idzie do wyborów z programem państwa autorytarnego, i to deklarowanego właściwie wprost; zupełnie innego niż to, na jakie umówiliśmy się w konstytucji. W demokratycznych wyborach startuje więc ugrupowanie, które tej demokracji nie chce i pragnie do tego przekonać większość Polaków.

Z przekazu, jaki do nas dociera z różnych centrów władzy, wynika, że dla ideologii, którą się ona kieruje, nie ma alternatywy. Najważniejsze instytucje mają bezwzględnie realizować jedyną wizję państwa, a zwycięstwo wyborcze, choćby oznaczało poparcie niecałych 40 proc., daje mandat do rządzenia bez żadnych ograniczeń.

Takie ideologie oparte są na nieustannym burzeniu wspólnoty, szukaniu różnic, budzeniu negatywnych emocji wobec całych grup, które mogą zabrznąć aż w nienawiść i zmierzać do pozbawienia ich praw. To się zawsze źle kończyło w historii, więc tym trudniej uwierzyć, →

→ że w demokratycznym państwie działają politycy, którzy chcą igrać z tym ogniem.

Jakiego pomysłu boi się Pan najbardziej?

Widzę zapowiedź likwidacji niezależnego sądownictwa w tej części, gdzie jeszcze respektowane są zasady samorządności; chodzi mi zwłaszcza o zapowiadane reformy zmierzające do usunięcia sędziów Sądu Najwyższego, którzy zostali prawidłowo powołani, znacznego zmniejszenia jego składu i ograniczenia kompetencji, w tym odebrania spraw kasacyjnych i przekazania ich do planowanych w przyszłości sądów regionalnych. To zaś wiąże się z kolejną przygotowywaną ustawą, spłaszczającą strukturę sądownictwa.

Zlikwidowane zostaną sądy rejonowe, okręgowe i apelacyjne, a w ich miejsce powstaną okręgowe i regionalne. Ktoś powie: mniej stanowisk, a więcej sędziów do roboty.

Przy tej okazji dojdzie do rewolucji kadowej, która jednak w żaden magiczny sposób nie doprowadzi do przyspieszenia procesów w sądach, ale za to pozwoli wymienić prezesów i szefów wydziałów na osoby bliskie władzy państwowej i gotowe podporządkować się jej. Pamiętajmy też, że wedle konstytucji w sytuacji głębokich zmian systemowych można sędziego przenosić w stan spoczynku, choćby miał 30 lat, i płacić mu emeryturę. Obecna władza nie ma większego problemu z wydawaniem publicznych pieniędzy, więc taki koszt zapewne po-

niesie, by zachować komfort nieskrepowanego sprawowania rządów.

Jak to się odbije na zwykłym obywatelu?

Zanik ostatnich elementów niezależnego sądownictwa oznaczać będzie całkowity brak kontroli rządzących. Zresztą, to zjawisko już dziś jest widoczne. Najwyższa Izba Kontroli wprowadzie wciąż pozostaje niezależna, ale co z tego, skoro produkuje raporty informujące np. o postępach urzędników publicznych, po których nic się nie dzieje, gdyż podporządkowana władzy prokuratura nie wszczyna postępowań. Kiedy znikną niezależne sądy, cały system egzekwowania prawa stanie się papierowym smokiem. Już sama zmiana struktury SN i podporządkowanie go politykom oznaczać będzie, że nawet jeśli na dole znajdzie się odważny sędzia orzekający zgodnie ze swym sumieniem, to na najwyższym szczeblu zawsze będzie można jego wyrok jeszcze zmienić. I nie musi to być sprawa polityczna, ale także prywatna, w którą będzie zaangażowany jakiś funkcjonariusz partyjny.

Jak to się odbije na demokracji?

Wyobraźmy sobie przyszłą kampanię, która już dziś jest pełna kłamstw, ale kandydaci mogą szukać sprawiedliwości w przyspieszonym trybie wyborczym. Jeśli w sądach będą siedzieć ludzie związani z władzą, taki spór będzie fikcją. W podobnej sytuacji znajdują się media, które są przecież bardzo silnym instrumentem obrony naszych praw i wolności. Jeśli planowane zmiany przejdą, nie trzeba będzie cenzury. Będą istnieć niezależni dziennikarze, ale co z tego, skoro w sytuacji sporu z władzą nie będzie miał kto ich bronić. Pozostaną tylko instytucje europejskie, które mogą zostać zignorowane. Ostatnim elementem tej układanki będzie niemożność kontynuowania naszej obecności w Unii Europejskiej.

Czwarta władza już wie, czego się może spodziewać. Radio Zet otrzymało karę 476 tys. zł za podanie rzekomo nieprawdziwej informacji o tym, że Amerykanie wioząc z Przemyśla do Rzeszowa prezydenta Ukrainy, nie chcieli skorzystać z pomocy polskich służb. W sprawie



nie odbył się proces – w rolę sędziego wcielił się przewodniczący KRRiT, a jego karę można obalić tylko w sądzie. Jakby tego było mało, Zjednoczona Prawica uchwaliła właśnie specjalne przepisy karzące za dezinformację.

Mamy przykłady z Węgier, Turcji i Rosji, jak radzić sobie z mediami. Każdy z tych scenariuszy będzie realny, jeśli zabraknie instytucji – jak wolne sądy czy niezależna prokuratura – mogących skutecznie walczyć o nasze wolności, w tym o dostęp do prawdziwej informacji. On stanie się mocno utrudniony także z powodu efektu mrożącego, czyli lęku wydawców przed konfliktami z władzą i nieuchronnymi surowymi karami finansowymi, mogącymi zagrozić istnieniu firmy.

Nie ma już w Polsce instrumentów zdolnych przymusić media będące w rękach władzy, by przekazywały pluralistyczny obraz życia społecznego. Wcześniej istniał Trybunał Konstytucyjny, który mógł skutecznie interweniować, choćby przy ustawach niebezpiecznie zmieniających sposób wyboru i charakter mediów publicznych. Dziś ta instytucja ogarnięta jest wewnętrznym paraliżem wywołanym konfliktem w środowisku władzy, i w efekcie nie istnieje. Mamy





PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL – sędzia Izby Karnej Sądu Najwyższego, kierownik Katedry Prawa Karnego UJ.

Na zdjęciu: Włodzimierz Wróbel (w środku) na zamkniętym posiedzeniu Sądu Najwyższego. Warszawa, 23 stycznia 2020 r.

Pojawiają się obietnice szybkiego rozwiązania neo-KRS i cofnięcia nominacji dla neo-sędziów. To naprawdę jest takie proste?

Założmy, że większość społeczeństwa chce zachowania konstytucji i powrotu normalnego państwa, i taką wolę wyrazi w wyborach. Założmy też, że ich reprezentanci chcą tego samego, co nie musi być oczywistością, bo politycy lubią korzystać z narzędzi pozostawianych przez poprzedników. Jeśli jednak te deklaracje są uczciwe, to proces przywracania praworządności będzie trudny i skomplikowany, ale jestem optymistą. Demokratyczne państwo prawa, z ponad 30-letnią historią i konstytucją, dysponuje mechanizmami, które uruchamiają się w sytuacji, w której trzeba przywrócić do życia ważne funkcje organizmu.

Ale co konkretnie można zrobić w kwestii np. Trybunału? Abstrahuje od faktu, że prezydentem jeszcze przez dwa lata będzie Andrzej Duda, który może, choć nie musi, naprawie tej instytucji postawić weto.

W obecnym kształcie Trybunał nie może funkcjonować, zresztą on w praktyce nie istnieje, gdyż jest niekonstytucyjny i nie orzeka. Można sobie wyobrazić w przyszłości postępowania dyscyplinarne wobec pojedynczych osób i usuwanie ich po kolei ze stanowisk albo czekanie na koniec ich kadencji, jednak uważam, że tu musi raczej nastąpić rozwiązanie całego Trybunału i powołanie go na nowo. Oczywiście nie da się tego zrobić od razu, więc w okresie przejściowym jego funkcje musiałyby przejąć sądy. Jasne jest też, że musi nastąpić przywrócenie konstytucyjności KRS.

No właśnie. KRS nominował wielu sędziów. Jeśli będziemy unieważniać ich powołania, to co z wydanymi przez nich wyrokami? Rozwód czy sprawy o długie zostaną unieważnione?

piękny budynek i osoby tytułujące się sędziami, które nie pracują.

Powoli brakuje też chętnych do pisanie skarg na radio i telewizję, bo mało kto wierzy w ich skuteczność.

Tu już nawet nie tyle chodzi o wiarę w skuteczność, ile o poczucie, że instytucje chroniące praworządność, takie jak KRRiT, KRS czy TK, stały się swoim przeciwnictwem. Trybunał nie stoi na straży prawa, ale legalizuje jego łamanie, choćby stwierdzając nieważność traktatów europejskich; KRS zaś ogranicza niezależność sędziów, zamiast jej bronić. Dożyliśmy czasów, w których prawnicy utracili zaufanie do intencji ustawodawców, a słowo „reforma” nabrało mrocznego znaczenia.

Przecież sądy mogą mieć strukturę taką jak poprzednio, mogą też być „spłaszczane”, jak chce rząd, ważne, by dobrze działały. Problemem jest to, że dziś nie wierzymy, iż za zmianami stoi troska o praworządność.

Ten system przypomina mi orwellowskie Ministerstwo Miłości, tropiące przestępstwa wobec partii. Będzie o to tym łatwiej, im więcej będzie neo-sędziów powoływanych przez

neo-KRS, nawet jeśli tylko część z nich stanie się posłuszna władzy.

Neo-KRS działa od pięciu lat, a wśród nowo powołanych sędziów jest wielu młodych asesorów, w czym nie ma nic złego. Jednak coraz więcej nominacji, i to od rejonu po Sąd Najwyższy, pochodzi ze środowiska prokuratorów i prawników związanych z obozem władzy albo wręcz spośród rodzin polityków. W przyszłości będzie ich pewnie jeszcze więcej, jeśli dołożymy do nich absolwentów szkół prawniczych, tworzonych przez środowisko rządowe. To zatrzważający obraz, oznaczający zarazem poważny problem dla sędziów, którzy uzyskiwali nominacje na stanowiska uczestnicząc w nielegalnych procedurach i dziś są w pewnej pułapce prawnej, nawet jeśli nie mają związków z władzą. Ich nominacje zawsze będą kwestionowane, a to ma ogromne znaczenie dla erozji autorytetu sądu. Doprowadzimy do tego, że strony procesu będą się zastanawiały, czy wyrok nie zależy od poglądów politycznych sędziego.

Rozpatrzmy teraz inny scenariusz: wybory wygrywa opozycja. Słyszemy zapowiedzi stawiania polityków Zjednoczonej Prawicy przed Trybunałem Stanu, choć ta instytucja jeszcze nikomu realnej krzywdy nie zrobiła.

→ KRS jest problemem łatwiejszym do rozwiązania niż Trybunał, bo ustawa, która ją stworzyła, wygaszając mandaty sędziom i powołując nowych, u samych źródeł jest jawnie niekonstytucyjna. Nie ma więc problemu, by zmienić tę ustawę, a potem powtórzyć konkursy, w wyniku których neo-sędziowie byli powoływani. Jednak nie chodzi o unieważnianie ich wyroków czy odbieranie im nominacji wręczonych przez prezydenta, ale o weryfikację procedury powołania. Jeśli zdarzą się przypadki, w których konieczne będzie cofnięcie nominacji, gdyż kandydat ewidentnie nie nadawał się na sędziego, to wróci on do miejsca, z którego przybył, np. do prokuratury. Ale jego wyrok musi pozostać ważny.

Jak to?

Sądownictwo nie jest dla sądownictwa. Ono ma być niezależną władzą, ale służyć ochronie praw i wolności obywatelskich – a nie sobie czy ustawom. Biorąc to pod uwagę nie możemy doprowadzić do automatycznego unieważniania wyroków, bo to zrodzi chaos. Wyobrażam sobie unieważnienie samej nominacji, ale nie przenoszące skutków wstecz – taki sędzia po prostu przestawałby z danym dniem być sędzią, ale jego wyroki pozostawałyby ważne. On sam zaś mógłby w kolejnym konkursie starać się już o legalną nominację.

Mogę sobie również wyobrazić specjalną ścieżkę odwoławczą przy sprawach, w których da się wyraźnie zauważyć polityczny wymiar decyzji; część prawników zachowywała się w ostatnich latach niegodnie i ci ludzie muszą też ponieść odpowiedzialność dyscyplinarną. Natomiast nie ma szans na powrót do punktu wyjścia bez żadnych kosztów. Być może radykalni obrońcy praworządności, zwłaszcza ci szykanowani, nie będą do końca z tego zadowoleni, ale musimy pamiętać, że jako sędziowie pełnimy służbę publiczną, a tu jest znacznie mniej praw i wolności, a więcej obowiązków. Nasza osobista satysfakcja czy pragnienie naprawy krzywd nie są najważniejsze.

Wśród zapowiedzi opozycji jest przywrócenie rozdziału funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Paradoksalnie, rządzący właśnie to robią, choć z cynicznych pobudek.

W demokratycznych wyborach startuje

ugrupowanie,
które tej demokracji
nie chce i pragnie
do tego przekonać
większość Polaków.

Odebrano właśnie ustawą wiele kompetencji ministrowi na rzecz prokuratora krajowego, którego nie da się zmienić po wyborach bez zgody prezydenta.

To jest bardzo instrumentalne traktowanie naszego państwa, na zasadzie prawa do łupów, dopóki można to robić. Tu nie ma myślenia o instytucjach, o ich funkcjach i o tym, jak niszczy się przy okazji wspólnotę Polaków. Być może jednak społeczeństwo uzna, iż ważne jest dla niego przywrócenie państwa prawa. Pozostaje pytanie, czy większość z nas tego chce i czy nie jest tak, że wielu z nas w niepokojnych czasach woli rządu silnej ręki i akceptuje to, że władzę obowiązują inne prawa, od tych najważniejszych po prawo wjazdu na cmentarz w czasie pandemii.

Czy Pan jest zawiedziony reakcją społeczeństwa na to, co rządzący zrobili przez osiem lat z praworządnością?

Wolę bić się w prawnicze piersi, że nie potrafiłszy stworzyć skutecznego lobby, które umiałoby sprawnie komunikować się ze społeczeństwem, nie traktować go z wyższością, używać jasnego języka i edukować je prawnie. Na szczęście widzę, jak mocno się to zmienia, jak niektórzy sędziowie wychodzą dziś do społeczeństwa z różnymi inicjatywami. Najbardziej jednak smuci mnie to, że w kraju, który stworzył Solidarność, który wydał i Jacka Kuronia, i Jana Pawła II – tak słabo zakorzeniło się poczucie wspólnoty, potrzeba równości, empatii i idei solidarności społecznej. A także – po prostu – chrześcijaństwo. Trudno mi pojąć, jak łatwo dziś używać języka nienawiści i zyskiwać tym poklask.

Wolności nie dostaliśmy w prezencji – raz na zawsze. O nią trzeba wciąż walczyć, może po prostu przechodzimy dziś kolejny egzamin z tego, czy na tę wolność zasługujemy?

To fascynujący czas, budzący jednocześnie nadzieję i niepokój. W którą stronę pójdziemy i co jesteśmy gotowi poświęcić w imię tzw. bezpieczeństwa? Niemal połowa z nas ma w nosie całe życie publiczne, brzydzi się nim, nie chodzi na wybory, bo uważa, że to nie ich sprawa. Martwi mnie to, bo przecież fakt, że nie interesujemy się państwem i polityką, nie oznacza, że one nie interesują się nami i nie wpływają na nas – i to codziennie.

Co by sędzia Włodzimierz Wróbel zrobił, żeby społeczeństwu przywrócić nie tylko wiarę w praworządność, ale też w to, że sądy mogą pracować sprawniej i szybciej?

Myślę, że kluczowa jest nie tyle kwestia liczby sędziów, co fatalnego stanu administracji sądowej, która jest nieliczna i mierzy się ze skandalicznie niskimi zarobkami, prowadząc od miesięcy lekceważony przez rządzących protest. Sądy są też zacofane technologicznie i stanowią jedną z ostatnich instytucji, która czeka na cyfryzację. Ile my czasu tracimy na przysyłanie akt między sądami, a przecież to już od dawna powinno odbywać się elektronicznie, w zabezpieczonych kopiach. Naprawdę, dość już mam widoku tych wszystkich rozlatujących się teczek z aktami.

Moim marzeniem jest redukcja spraw, które rozstrzyga się w pełnej procedurze, musimy szerzej otworzyć się na możliwość załatwiania sporów przy pomocy mediacji. Kolejnym moim marzeniem jest, by ludzie idąc do sądu rozumieli, co się tam dzieje. Do tego potrzeba inaczej kształconej kadry, która będzie wyposażona w miękkie kompetencje, będzie miała w sobie pokorę, będzie wiedziała, że jej praca służy jakiemuś większemu dobru, a nie kodeksom. Być może w procedurze nominowania sędziów powinna istnieć możliwość konsultacji społecznych? Proszę mi uwierzyć, to nie jest utopia. Sędziów tak wybranych, cieszących się autorytetem i szacunkiem, społeczeństwo będzie chciało bronić.

© Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC



GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Otwarcie Pierwszej Ukraińskiej Szkoły. Częstochowa, 11 stycznia 2023 r.

Halo, trzeba żyć!

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Coraz więcej ukraińskich dzieci czuje się w Polsce obco. Uczęszczający do naszych szkół padają ofiarą niechęci, pozostali tkwią zatrzaśnięci w świecie zdalnych lekcji i internetowych znajomości. Jak im pomóc?

OLA NACIĄGA KAPTUR NA OCZY, NIE chce rozmawiać. W większej grupie znika, zapada się w sobie. Ma jedenaście lat, przyjechała do Wrocławia z Ukrainy razem z mamą zastępczą i szczęściem rodzeństwa.

– Prawie każde dziecko z rodziny zastępczej doświadczyło przemocy ze strony biologicznych rodziców. Kiedy znalazły poczucie bezpieczeństwa w nowych warunkach, wybuchła wojna. Musiały zostawić przyjaciół, szkołę, pożegnać się ze zwierzętami. Przyjechały do Polski i kolejny raz muszą zaczynać od nowa – opowiada Marianna Tyo-Zapał, psychoterapeutka.

Marianna od czterech lat mieszka we Wrocławiu. Po inwazji 24 lutego 2022 r. zaczęła współpracę z tutejszą fundacją „Przystanek Rodzina”. Marianna dobrze

mówi po polsku, zna ukraiński i rosyjski, rozumie realia życia w Ukrainie, dzięki temu łatwiej jej nawiązać dobry kontakt z uchodźcami.

– Ola była nieufna, dużo czasu minęło, zanim zrozumiała, że nic jej nie grozi. Terapia jest jej nadal niezbędna, ale przede wszystkim przydałaby się matce zastępczej, która wpadła w depresję po doświadczeniach ostatnich miesięcy i miała trudności w relacjach z dziećmi – wyjaśnia psychoterapeutka.

Ola po kilku miesiącach pracy z psychologiem zaczęła komunikować się z rówieśnikami – wychodzi na rower, jeździ na rolkach, o traumatycznych doświadczeniach opowiada poprzez rysunki. Dolnośląska Fundacja na rzecz Pieczy Zastępczej „Przystanek Rodzina” działa we Wrocławiu od 2014 r., a kiedy

za wschodnią granicą wybuchł pełnoskalowy konflikt, objęła pomocą także rodziny zastępcze z Ukrainy. Od wiosny 2022 r. w domach i ośrodkach wspieranych przez fundację znalazło schronienie jedenaście rodzin.

– Początkowo w naszym społeczeństwie panował wielki entuzjazm, 151 miejsc dla uchodźców przygotowaliśmy dzięki darczyńcom. Teraz Polacy już nie chcą tak pomagać uchodźcom, otrzymujemy na ten cel wsparcie z Niemiec i Holandii – opisuje prezeska fundacji Małgorzata Sawicka. – Zdarza się, że polskie rodziny zastępcze mają pretensje o dary, które otrzymują Ukraińcy. Tak było ostatnio, kiedy za fundusze zagraniczne kupiliśmy dla uchodźców trampolinę.

Ochłodzenie relacji polsko-ukraińskich widać już na poziomie szkoły podstawowej. Zdarzają się zdania w rodzaju: „Rosja was i tak podbije”, pretensje, że uczniowie ukraińscy „za byle co mają piątki”. – Widać, że polskie dzieci powtarzają słowa zasłyszane w domu i czasem nie zdają sobie sprawy, jak bardzo ranią tym ukraińskich kolegów. Zdarzyło mi się interweniować w Starym Wołowie, gdzie dzieci ukraińskie posądzono o zaphanie toalety, a analiza nagrania z kamery pokazała, że zrobili to polscy uczniowie. Hasło „to nie my, to oni” często pada w szkołach, gdzie jest większa grupa uchodźców. Mądra postawa dyrekcji



→ i grona pedagogicznego minimalizuje skutki konfliktów – uważa Joanna Komorowska, wolontariuszka fundacji „Przystanek Rodzina”.

Zapłacił za Wołyń

To, co udaje się w mniejszych placówkach, nie zawsze zdaje egzamin w dużych – tam nauczyciele przeładowani obowiązkami nie zawsze mają energię, by zająć się kolejnym problemem zrzuconym na ich barki. Doświadczył tego Sasza w szkole podstawowej w Lublinie. Dwunastolatek trafił do klasy rok niżej, bo nie radził sobie z polskim. Zaczęło się od tego, że koledzy przedrzeźniali jego sposób mówienia. Sasza przestał odpowiadać na pytania nauczycieli lub robił to tak cicho, że z trudem można było go zrozumieć. Na przerwach unikał kolegów, ale i tak nie omijały go pytania o to, czy nosi buty z darów i dresy z ciucholandu. Wiosną dostał ksywę „Bandera”, a potem chłopcy z klasy kazali mu odpowiadać za Wołyń. Tetiana, mama Saszy, chodziła w tej sprawie do wychowawczyń, ale nie mówiła dobrze po polsku i nie umiała opisać sytuacji syna. Nauczycielka obiecała zająć się sprawą, w klasie odbyły się warsztaty z psychologiem, ale relacje między dziećmi się nie poprawiły.

– W Charkowie chłopcy często leją się w szkole i nikt nie robi problemu. Myślałam, że sprawa sama się rozwiąże, jak to między dziećmi, ale Sasza mało jadł, w niedzielę wieczorem przed pójściem do szkoły bolał go brzuch, a w końcu zaczął moczyć się w nocy. W maju wrócił do domu zapłakany, w poszarpanej koszulce, zamknął się w pokoju i z nikim nie rozmawiał – opowiada Tetiana, która mieszka w Polsce od czerwca 2022 r. z dwójką dzieci i pracuje jako pomoc kuchenna w restauracji.

Sasza dopiero miesiąc po tym wydarzeniu, kiedy mama przestała naciskać na naukę w polskiej szkole, opowiedział, co tam się wydarzyło: koledzy włożyli jego głowę do muszli klozetowej i wołali: „Tak samo śmierdzisz jak to gówno. To za Wołyń”. Tetiana wciąż myśli o powrocie na Ukrainę, ale nie ma już bloku, w którym mieszkali. Mąż został ranny. W walce pod Lisiczańskiem stracił nogę i słuch, mieszka u rodziców. Tetiana nie chce przenosić się z dziećmi do teściów pod Charków, bo na wsi nie będzie miała szansy na pracę. W Polsce zarabia najniż-

Sasza mało jadł, w niedzielę wieczorem przed pójściem do szkoły bolał go brzuch, a w końcu zaczął moczyć się w nocy.

W maju wrócił do domu zapłakany, w poszarpanej koszulce.

szą krajową, ale czasem dostaje też nadgodziny. To wystarcza na mieszkanie wynajmowane wspólnie z koleżanką.

– Wojna nie będzie trwać wiecznie, w końcu wrócimy, a rząd zajmie się rodzinami żołnierzy, którzy walczyli za ojczyznę – mówi Tetiana z nadzieją w głosie. – Córka idzie w Polsce od września do technikum, dobrze mówi w waszym języku, ma tu koleżanki i nie chce wracać na Ukrainę. Sasza nie ma żadnych znajomych, czasem wyjdzie na osiedle z dziećmi koleżanki, ale głównie siedzi przy komputerze.

W nowym roku szkolnym nie wróci do polskiej szkoły – będzie uczył się zdalnie według ukraińskiego programu. W naszym systemie jest wiele takich dzieci: „niewidzialnych”. Nikt nie sprawdza, czy chodzą do szkoły i jak ich edukacja wygląda w praktyce. Piętnastoletni Maksym z rodziny zastępczej w Starym Wołowie przesiedział w domu pół roku, bo procedury uniemożliwiały umieszczenie chłopca w odpowiedniej szkole. Maksym był skrajnie zaniedbany przez rodziców biologicznych, z trudem czytał i pisał po ukraińsku. Do Polski przyjechał bez dokumentacji – nasz system nie był przygotowany na taką sytuację.

Lęk przed pomocą

W lipcu MSWiA podało, że w Polsce przebywa około 1,2 mln uchodźców. Z kolei według badań zespołu Selectiv, prowadzonych pół roku wcześniej w oparciu o dane geolokalizacyjne telefonów komórkowych, a także język urządzeń mobilnych i wykorzystywanie kart SIM – w Polsce przebywały wtedy aż 3 miliony Ukraińców, co stanowiło 8 proc. wszystkich mieszkańców kraju. Z tego niemal połowa, bo aż 1,4 mln, to osoby poniżej 18. roku życia.

Tymczasem tylko 187,9 tys. młodych uchodźców uczy się w naszych szkołach i przedszkolach. Coraz częściej zdarza się, że rodzice w obawie przed utratą ukraińskiej tożsamości nie chcą posyłać dzieci do polskiej placówki i decydują się na naukę zdalną. Tak jest np. w przypadku Ludmiły, ukraińskiej matki zastępczej, o której opowiada mi Joanna Komorowska. Ludmiła boi się, że dzieci ulegną wy-narodowieniu.

Komorowska ma w fundacji pod opieką sześć rodzin. Dostają świadczenia takie jak polskie rodziny zastępcze – oprócz 500 plus także tysiąc złotych na dziecko co miesiąc. Niestety, ten przywilej objął tylko część ukraińskich rodzin, które opiekują się dziećmi w ramach pieczy zastępczej. Zmieniła się w tej sprawie interpretacja przepisów i od niedawna rodziny ukraińskie nie mogą być już ustanawiane przez sąd jako polskie rodziny zastępcze. Nie mają więc dostępu do środków finansowych wypłacanych przez państwo – są skazane na pomoc fundacji.

– Byłam z tymi rodzinami od początku, towarzyszyłam im przy zakładaniu konta w banku, na rozprawach w sądzie i przy załatwianiu dokumentów. Część osób zaczyna dobrze funkcjonować w Polsce, dwie rodziny się usamodzielniały. Jest w nich jednak duża nieufność wobec państwa. W Ukrainie urzędy działają inaczej, ludzie mają inny stosunek do prawa, jest w nich więcej lęku – uważa Joanna Komorowska.

Pracownicy i współpracownicy „Przystanku Rodzina” dużo czasu potrzebowali na zbliżenie się do uchodźców. Wiele matek zastępczych obawiało się przyjacielskich gestów czy bezinteresownych prezentów – widziały w tym podstęp, który doprowadzi do zabrania im dzieci. Matki nie zgadzały się na indywidualną terapię i brały udział we wszystkich zajęciach razem z podopiecznymi.

– W społeczeństwie ukraińskim wciąż panuje przekonanie, że chodzenie do psychologa jest powodem do wstydu, dlatego tak trudno kobiety nakłonić do współpracy. Matki nie zgadzały się też na badania w celu uzyskania specjalistycznej opinii, która pomogłaby ich dziecku. Wolą, by mimo dysfunkcji uchodziło za tzw. normalne – opisuje problem Dmytro Borshchor, psycholog, który sześć lat temu wyjechał z Charkowa i pracuje we Wrocławiu,

gdzie prowadzi terapię dla ukraińskiej młodzieży z rodzin zastępczych.

Smok wawelski w dwóch językach

Roman Skorovskiy – aktor i reżyser – przyjechał do Warszawy w 2019 r. ze Lwowa w poszukiwaniu lepszego życia. Zanim jednak zdecydował się na opuszczenie rodzimych teatrów, zagrał w dwóch filmach Wojciecha Smarzowskiego, a rola Stiepana Szuma w „Wołniu” przyniosła mu nagrodę za najlepszą drugoplanową kreację aktorską. Skorovskiy współpracuje z Domem Kultury Śródmieście w Warszawie, gdzie założył Teatr Międzynarodowy, ale także z Fundacją Centrum Wsparcia Koordynacji Sienna. Postanowił pomóc rodakom, którzy uciekli z kraju, i w październiku 2022 r. rozpoczął zajęcia teatralne z młodzieżą polską i ukraińską.

– Wystawiliśmy „Smoka wawelskiego” w dwóch językach, dzięki temu polskie dzieci poznawały ukraiński, a ukraińskie chętnie uczyły się polskiego – opowiada Skorovskiy. – Warsztaty wpłynęły na zawiązanie się przyjaźni i pomogły młodzieży doświadczanej przez wojnę radzić sobie z emocjami. Na początku dzieciaki ukraińskie nie wiedziały, co ze sobą zrobić. Jeden chłopiec krzyczał, nie umiał mówić spokojnie, rozwałił zajęcia. To nie wynikało ze złej woli: od 2014 r. przeprowadzał się trzy razy, zmieniał miasta, stracił dom. Ma osiemnaście lat i kilka razy otarł się o śmierć, raz żołnierze strzelali do niego, a on gnał przez pole. Teatr w tej sytuacji pomaga zapomnieć o przeszłości albo przynajmniej zdystansować się do niej.

We wrześniu grupa teatralna prowadzona przez Skorovskiego rozpoczęła próby do spektaklu o problemach nastolatków. Aktor ma nadzieję, że uda się zainteresować nią dzieci, które przyjechały do Polski i zatrzęsły się w świecie zdalnych lekcji, internetowych kontaktów i rodziny. Najczęściej nie chodzą do polskiej szkoły, nie chcą nawiązywać relacji, nie wychodzą poza krąg ukraińskich znajomych.

– Wiele zależy od rodziców, którzy mówią wprost: „Wróćmy do domu, nie ma sensu uczyć się polskiego”. Żyją marzeniem o powrocie, choć nie ma już miejsc, w których mieszkali. Swoje lęki przenoszą na dzieci, które trwają w poczuciu

tymczasowości i źle się czują w Polsce – opisuje Skorovskiy.

Mija drugi rok wojny, więc pomoc uchodźcom ze strony państwa polskiego powinna się zmienić – uważają moi rozmówcy. Trzeba znaleźć sposób, by trafić do młodzieży i rodzin zamkniętych na integrację, bo za kilka lat wyróżnie spora grupa obywateli wykluczona z życia społecznego. Ukończona zdalna szkoła w Ukrainie nie pomoże w znalezieniu dobrej pracy w Polsce, a deficyty w relacjach i niedostatki w komunikacji językowej pogłębią frustrację uchodźców, którzy na skutek przedłużającego się konfliktu nie będą mogli wrócić do swojego kraju.

– Pomoc finansowa i rozdawanie produktów sprawdzają się na początku, później utrzymują ludzi w bezradności – uważa Skorovskiy. – Teraz potrzebne są inne rozwiązania, ale i one nie przyniosą rezultatów, jeśli Ukraińcy nie zechcą zmienić swojego nastawienia. Dlatego myślę, że psycholog częściej potrzebny jest dorosłym. Nie raz w rozmowie ze znajomymi uchodźcami mówię: „Halo! Trzeba żyć, nie można wciąż wracać do przeszłości. Wasze dzieci mogą skończyć szkołę w Polsce. Będą dobrymi fachowcami, co przyda się i na Ukrainie”.

Brakuje strategii

Ania pochodzi ze Słowiańska, na początku marca 2022 r. przyjechała do Wrocławia razem z rodziną zastępczą. Ma 14 lat, więc wojna to prawie całe jej życie, bo mieszkańcy obwodu donieckiego doświadczali jej skutków od 2014 r. Ania wciąż żyła na walizkach, ale podczas kilku przeprowadzek były punkty stałe, które pozwalały jej zachować równowagę – miała kota Milusia i spotykała się z biologiczną mamą. Do Polski nie pozwolono jej zabrać kota, a z mamą rozmawia tylko przez internet. Mimo że Ania dostała od amerykańskiego darczyńcy nowoczesnego smartfona, a dzięki fundacji „Przystanek Rodzina” ma wyleczone wszystkie zęby, wciąż powtarza, że jest u nas „na zsyłce”. I że nie chce chodzić do polskiej szkoły.

– Wiele rodzin nie zabrało zdjęć, pamiętek, przytulank dla dzieci. Uciekli z jednym plecakiem. Terapia, której potrzebują, to długotrwały proces, wymaga cierpliwości zarówno od dzieci, jak i od dorosłych. A my jako społeczeństwo powinniśmy się wykazać większym zrozu-

mieniem, bez tego trudno będzie budować trwałe relacje, bo przecież wiele rodzin zostanie u nas na zawsze – uważa Małgorzata Sawicka.

Zarówno młodzież, z którą podczas warsztatów teatralnych pracował Roman Skorovskiy, jak i podopieczni „Przystanku Rodzina” długo adaptowali się do polskiej szkoły. Barierą był nie tylko język, ale też inny system edukacyjny. Jednak wszędzie tam, gdzie podjęto wspólne, polsko-ukraińskie działania – można było liczyć na sukces.

– Trafiła do nas rodzina, która dwa miesiące mieszkała w piwnicy, dzieci były świadkami drastycznych scen. Przez pierwszy okres w ogóle nie mówiły, potrzebowały kilku miesięcy, by oswoić się z nową sytuacją. Przyjeżdżałam do nich z własnymi dziećmi, przewoziłam zabawki. Potem, podczas terapii grupowych, nauczyliśmy je, jak radzić sobie z trudnymi sytuacjami w polskiej szkole, jak reagować na wyzwiska – opowiada Joanna Komorowska z „Przystanku Rodzina”.

Jednak tylko nieliczne dzieci z Ukrainy mają szansę na psychologiczne wsparcie. Nie tylko dlatego, że w polskich szkołach brakuje psychologów, a wizyty prywatne przekraczają możliwości wielu rodzin. Spora grupa młodych uchodźców nie chodzi w ogóle do szkoły – znajdują się poza polskim systemem edukacyjnym. A nasze władze nie mają ani długofalowej strategii, ani nawet tymczasowego planu na poradzenie sobie z trudnościami, jakie niesie migracja.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

>>>
(
" WybierAI:
algorytmy
demokracji "
)
>>>



„TP” 35/2023

Referendum ma passing

Automatyzm prześmiewczych – oraz nakazujących bojkot – reakcji na referendum każe mi się zastanawiać, czy nie kryje się za tym coś więcej niż zwyczajowa (podzielana przeze mnie) niechęć do PiS. Ostatnie niewyśmiewane referendum odbyło się w 2003 r. Potem podważano sens głosowania w sprawach m.in. aborcji, wejścia do strefy euro oraz tematów wybranych przez prezydenta Komorowskiego. Winę zdaje się tu ponosić neofickie w Polsce przyjęcie liberalnej apoteozy wolności od polityki. W oczach zwolennika demokracji bezpośredniej referendum w Polsce jest jak osoba transpłciowa, która ciągle zadaje sobie pytanie, czy jest valid, czy ma passing w społeczeństwie. W temacie referendum za każdym razem obawiam się, czy w kolejnych tekstach będzie ono przedstawiane jako coś z natury podejrzanego czy też, jak w Szwajcarii,

jako coś prowokującego pytania – może gniewne i kontrowersyjne – ale bez podważania sensu tego instrumentu demokracji. Gdy w sierpniu patrzyłam w kiosku na poruszający temat referendum okładki tygodników, mój „test Szwajcarii” zdał – za sprawą wywiadu z Mikołajem Grynbergiem – tylko „Tygodnik”. Michał Okoński prowokacyjnie zadał Grynbergowi trzecie i czwarte pytanie referendum. „Ja bym chciał, żeby ci ludzie nie musieli umierać. Unia jest gotowa na ich przyjęcie, tylko my ich nie przyjmujemy, bo to przynosi korzyści polityczne, szczególnie przed wyborami. (...) Większość murów nie działa” – mówi Grynberg, a na sugestię, że wobec tego pytanie o likwidację bariery uchyla jako bezsensowne, odpowiada: „Powinny u nas wreszcie zacząć obowiązywać procedury, które uniemożliwiają wyrzucanie ludzi przybywających z takich krajów jak Syria, Afganistan czy Jemen”. Michał Okoński mówi pisarzowi: „Ja na swój sposób jestem wdzięczny PiS-owi za to referendum, bo zmusił mnie do skonfrontowania się z Twoją książką”. Niejeden czytelnik potraktuje ten wywiad jako jedną z wielu publikacji o kryzysie

uchodźczym. Zwolenniczka demokracji bezpośredniej, ocierając łzę wzruszenia, zauważy, że referendum jako takie ma tu passing. ANNA CZEPIEL, POLITOLOŻKA

„TP” 38/2023

Czarnek nam nie zaszkodzi

Adam Zawisny w krótkim wywiadzie udzielonym „TP” stwierdził, że słowa ministra Czarnka o „ideologii edukacji włączającej” zaszkodzą tysiącom dzieci z niepełnosprawnościami. I że już dziś w wyniku „miękkich nacisków, nieprzyjaznej atmosfery, wykluczenia lub znęcania się, którego nauczyciele nie potrafią powstrzymać”, zwiększa się odsetek dzieci trafiających do szkół specjalnych w klasach 4-8. Słowa ministra są istotnie bzdurne, ale nie zaszkodzą nam, bo wiemy, co robimy. Pracuję od kilkunastu lat w szkole podstawowej – ogólnodostępnej. Uczniowie z orzeczeniami o potrzebie kształcenia specjalnego stanowią 5 proc. społeczności szkolnej. Są to dzieci ze spektrum autyzmu, niepełnosprawne intelektualnie oraz zagrożone niedostosowaniem społecznym. 99 proc. uczniów ze spektrum kończy szkołę z dobrymi wynikami. Niektórzy uczniowie

zagrożeni niedostosowaniem, mający za sobą brak promocji do klasy wyższej i skończone 16 lat, są za zgodą rodziców i akceptacją ucznia kierowani do Centrum Kształcenia Ustawicznego do klasy siódmej, bo to szansa, że tam skończą szkołę podstawową i zdobędą umiejętności zawodowe. Nie pozbywamy się ich – dajemy szansę! Edukacja wczesnoszkolna zakłada, że uczeń w ciągu trzech lat osiągnie podstawowe umiejętności: czytanie, pisanie, liczenie. Dużo czasu poświęca się na pracę indywidualną z takim dzieckiem. Jednak w czwartej klasie nie ma już jednego nauczyciela, jest podział na przedmioty i lekcje w 27-, 29-osobowej klasie. Jest takiemu uczniowi bardzo trudno. Tymczasem klasy w szkołach specjalnych liczą zwykle 7-10 uczniów, jest nauczyciel wspierający lub asystent nauczyciela. Dla niektórych jest to jedyna placówka, w której mogą osiągnąć sukces! Nie ma u nas w szkole żadnych „miękkich nacisków”, dlatego uważam słowa Zawisnego za krzywdzące. A wypowiedź Czarnka nie zaszkodzi. Zaszkodzić mogą tylko bzdurne rozporządzenia i brak prawdziwego dofinansowania oświaty.

EWA

23 – 29.10.2023

MICROCRACIE

CONRAD FESTIVAL

15. Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Josepha Conrada

organizatorzy



Kraków

kbf:



Kraków

dofinansowanie



Kraków

partnerzy strategiczni



allegro

TOMASZ

Stawiszyński:

Przymus powtarzania



NIE TRZEBA, JAK SĄDZĘ, BYĆ EKSPERTEM od futbolu na miarę Michała Okońskiego – którego najnowsza książkę „Stałe fragmenty” czytam właśnie z ogromną zachłannością, mimo że jej zasadniczy temat nigdy nie budził we

mnie emocji (wyzwała je wyłącznie lektura Okońskiego, o czym już kiedyś w „Tygodniku” pisałem) – żeby dostrzec w losach polskiej reprezentacji jakąś osobliwość. I nie mówię tu tylko o fatum od lat uniemożliwiającym naszej drużynie przekroczenie odpowiednich progów w tych czy innych mistrzostwach. Mówię również o towarzyszącej temu filozofii, nakazującej zmiany selekcyonerów w sytuacji, kiedy dochodzi do takiego nieprzekroczenia. Czyli, w tym przypadku, regularnie i permanentnie. A przecież już sama powtarzalność jednego schematu, trwała niezdolność do wykroczenia poza odtwarzający się wciąż na nowo scenariusz powinny naprowadzić piłkarskich decydentów na hipotezę, że źródło problemu znajduje się gdzieś indziej, niż to się odruchowo narzuca. Tymczasem uporczywość, z jaką wymienia się trenerów polskiej reprezentacji, dorównuje tylko uporczywości, z jaką reprezentacja ta przegrywa kluczowe mecze. Wydaje się wręcz, że problem oraz stosowane wobec niego remedia są ze sobą ściśle powiązane – ale na zasadzie wzajemnego wzmocnienia.

Może zatem, jeśli rzeczywiście pragniemy się z tego powiązania wydobyć – a jest to reguła oparta tyleż na „zdrowym rozsądku”, ile na jednym z najbardziej przenikliwych wągłów Zygmunta Freuda – powinniśmy raczej postarać się zrozumieć jego głębszy sens, odnaleźć w nim niewidoczną na pierwszy rzut oka (czytaj: nieświadomą) logikę? Bo najwyraźniej podążanie za logiką widoczną, założenie, że wyjście jest proste i wystarcza doń świadoma decyzja – to strategia, delikatnie mówiąc, przeciwnie skuteczna: nie tylko nie pomaga, ale jeszcze głębiej wtłacza nas w zapętlenie. Dlaczego? Może dlatego, że zapętlenie nie bierze się znikąd, nie jest bezsensowne i chaotyczne, lecz ma u podstaw – jak by sugerował Freud – jakieś zaślepienie i zaniechanie? Coś tu się – mówiąc inaczej – próbuje wydarzyć, a nie potrafi. Coś próbuje się wydostać na powierzchnię, a wciąż utyka w otchłani. Coś chciałoby zostać dostrzeżone, a nieustannie spotyka je obojętność. I dopóki tak to będzie wyglądało, dopóty skazani jesteśmy na powtarzanie tego samego.

Ta diagnoza ma zastosowanie zarówno do tzw. zwykłego życia – założę się, że doskonale wiecie, o czym mowa,

kiedy mowa o repetycji tych samych błędów, tych samych niekonstruktywnych zachowań, nieprawdaż? – jak i do zjawisk o znacznie szerszym zakresie. Pozwalam sobie na eksperymentalne zastosowanie jej do rozumienia losów polskiej reprezentacji, ale oczywiście dałoby się z jednakowym powodzeniem zastosować ją również do rozumienia polskiej polityki. Pozwólcie jednak, że w te mroczne ostępy – coraz mroczniejsze skądinąd, im bliżej do 15 października – nie będę się teraz zapuszczał. Pozostańmy w odrobinę bezpieczniejszym kręgu, w kręgu polskiej piłki. Otóż – stawiam hipotezę – jeśli mechanizm opisywany przez Freuda faktycznie występuje, kolejne zmiany selekcyonerów nie pomogą. Niezależnie od tego, jaki przyjedzie tu trener, niezależnie od tego, czy będzie to trener jakiegoś małego lokalnego klubu z piątej ligi czy też sam Lionel Scaloni – nic to zupełnie nie zmieni, ponieważ w grze (*nomen omen*) są tutaj procesy o zgoła niepiłkarskiej naturze. Polska drużyna – jak się wydaje – musi wciąż i wciąż przegrywać w kluczowych momentach dopóty, dopóki nie dostrzeże czegoś, co jej teraz (i nam również) permanentnie i za każdym razem umyka.

Jak to dostrzec? Nie ma oczywiście recepty. Ale istotnym, a nawet przełomowym etapem na drodze do uzyskiwania wobec nieświadomych uwarunkowań pewnej autonomii jest... wzięcie odpowiedzialności za własne objawy. Nie oznacza to (a przynajmniej nie powinno) ani obwiniania się za swoje cierpienia, ani sztucznego uwewnętrzniania tego, co ma zewnętrzne przyczyny. Oznacza wyłącznie uznanie, że to, co się z nami dzieje, stanowi dla nas poznawcze i psychologiczne wyzwanie. Oznacza dostrzeżenie, że jesteśmy więcej niż tylko świadomym „ja”, które, owszem, często planuje i chce tego lub tamtego, ale za chwilę konstatuje, że wydarzyło się coś dokładnie przeciwnego do tych planów i chęci. A dlaczego się wydarzyło? No właśnie – kto nie chce wziąć za swoje symptomy odpowiedzialności, ten powie, że plany i chęci regularnie krzyżuje mu inny (np. kiepski trener). Kto natomiast zechce tę odpowiedzialność wziąć, ten zacznie zgłębiać źródła własnej porażki, pytając samego siebie – paradoksalnie – jakie korzyści taki obrót spraw mu przynosi, z czym pozwala się nie skonfrontować, czego uniknąć, jakiego wyzwania nie podjąć...

Jak brzmią odpowiedzi na te pytania w przypadku polskiej reprezentacji? Nie mam pojęcia, ale jestem pewien, że warto je w ogóle postawić. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że podejmowanie tematyki futbolowej na łamach pisma, którego redakcja słynie z rekordowej liczby wielbicieli i znawców tej dyscypliny – o zagorzałych kibicach wśród czytelników już nawet nie wspominając – jest co najmniej ryzykowne. Z drugiej jednak strony mam szczere przekonanie, że filozofia i psychoanaliza (ta ostatnia w dawkach niewielkich i ostrożnie aplikowanych) czasami się przydają – także w piłce nożnej. Zwłaszcza że – jak głosi rekapitulowane tu przeze mnie ongiś „prawo Okońskiego” – piłka nożna to przecież mikrokosmos, w którym odbija się całe życie.

©

FASADA

MONIKA BIAŁKOWSKA, TEOLOŻKA:

System tlamszenia w zakonie buduje się sam – na zasadzie małych kroczków. Zakonnica nie potrafi uchwycić momentu, w którym łamane jest jej człowieczeństwo.

ARTUR SPORNIAK: Aneksem do Pani rozmów z byłymi zakonnicami, które właśnie się ukazały w WAM-ie, jest ankieta „Czy grupa, w której jestem, jest sektą?”. Zakon może się aż tak wypaczyć?

MONIKA BIAŁKOWSKA: Wiem, że mówienie o cechach charakterystycznych sekt i zamieszczenie formularza Dominikańskiego Centrum Informacji o Nowych Ruchach i Sektach było ryzykowne. Może zostać odebrane jako niesprawiedliwe. Ale to jest obiektywna ankieta. Jeśli w danym domu zakonnym siostry będą potrafiły wytłumaczyć, dlaczego nie da się ich porównać do sekty, to super! To ważne, bo gdy słuchałam opowieści byłych sióstr i zestawiałam je z tym formularzem, przy wielu pytaniach musiałam postawić odpowiedź „tak”. Jeśli jakieś siostry wypełnią ankietę i powiedzą: „tak, ale...”, to niech wytłumaczą to „ale...”. A gdy wyjdzie im po prostu „tak”, niech się zgłoszą do Dominikańskiego Centrum i poproszą o pomoc.

Takiego obrotu sprawy pewno nie będzie się spodziewała pełna entuzjazmu młoda dziewczyna, wstępująca do zakonu, bo chce oddać swoje życie Jezusowi.

Dla mnie ważny jest motyw zdrady, którym się od początku manipuluje – dziewczyna będzie przestrzegana, że jeżeli kiedyś wystąpi, to będzie tylko i wyłącznie jej wina. A tak nigdy nie jest. Podobnie jak w rozpadającym się małżeństwie, wina leży zwykle po obu stronach.

Czasem w zakonie może się okazać, że ludzkie więzy, wymagania, ograniczenia i coś, czego na pewno Pan Jezus od nas nie chce, stają się przeszkodą w realizacji więzi z Nim. Ktoś przychodzi do zgromadzenia przekonany, że ślubuje Jezusowi, a okazuje się, że musi wypełnić masę często absurdalnych warunków.

Wszystkie były siostry, z którymi Pani rozmawia, przeszły terapię. Ona była kluczem do książki?

Nie. Szukałam po prostu byłych sióstr, a te terapie były *post factum* dowodem na to, że rozmawiam z kobietami, które nie działają już pod wpływem bólu, gniewu czy chęci odwetu. Nie załatwiają jakichś spraw z zakonem. One poszły dalej. Zbudowały swoją nową tożsamość i mają już nowy świat – z mężem, z dziećmi. Cieszyłam się, że rozmawiamy z dystansu, z poziomu intelektualnej refleksji.

Ale pisze Pani: „W czasie słuchania historii byłych sióstr wiele razy zapalała mi się czerwona lampka”.

Bo zdarzało się, że one same nie zdawały sobie sprawy, iż to, co się wydarzyło, jest też jakimś nadużyciem. Np. niesprawiedliwą jest praktyka, żeby siostry do złożenia ślubów wieczystych czekały dziesięć albo więcej lat. Bo to znaczy, że pracują na rzecz zgromadzenia przez dziesięć albo dłużej lat i ktoś im w każdej chwili może powiedzieć: „Odchodź!”.

Inne czerwone lampki: wykorzystywanie sióstr do fizycznej pracy ponad jakiegokolwiek normy, a czasem zupełnie bez



sensu. Jeszcze kilkanaście lat temu do nowicjatu przychodziło wiele dziewczyn i żeby nie siedziały beczynnie, wymyślano im całą masę drobnych prac. Dzisiaj nowicjuszek jest mniej, ale zakres prac się nie zmniejszył. Nikt mnie nie przekona, że racjonalne i potrzebne jest to, żeby co tydzień z refektarza zbierać wszystkie solniczki i pieprzniczki, myć je i napełniać na nowo. Nikt we własnych domach tak nie robi.

Zastrzegam jednak, że motywem wskazywania takich sytuacji, które z zewnętrznego oglądu wywołują zaniepokojenie, choć wewnątrz zakonów są przyjmowane jako normalne, nie jest chęć poprawiania życia zakonnego – nie mam do tego kompetencji jako osoba świecka. Chciałabym tylko podać punkty do dyskusji.

Pojawiają się też poważniejsze problemy – np. przemoc psychiczna.

Jeżeli rzeczywiście trafi się przełożona, która będzie miała skłonności psychopatyczne albo będzie w jakiś sposób chora, albo z silnym pragnieniem władzy, albo zmanipulowana jeszcze przez osobę trzecią – np. jakiegoś księdza, ojca duchowego – to mechanizmy przemocowe mogą się pojawić. Wtedy są bardzo niebezpieczne, dlatego że siostry często nie mają wentyla bezpieczeństwa. Szokujące dla mnie było, że w jednym ze zgromadzeń klauzurowych siostronom nie wolno było rozmawiać ze spowiednikiem poza wyznaniem mu swoich grzechów. Taka siostra już nie ma komu powiedzieć, że coś się dzieje nie tak.

A kierownik duchowy?

Tam kierowniczką jest współsiostra. Poza tym osoby z zewnątrz są kontrolowane. Powszechne jest wyznaczanie jednego albo dwóch spowiedników – siostry nie mogą same sobie wybrać, do kogo chcą chodzić do spowiedzi. Gdy do tego dołożymy, że to przełożona decyduje i zaprasza, który ksiądz w danym domu będzie głosił rekolekcje, oraz że są księża i zakonnicy, o których wiemy, że się ich nie zaprasza do żeńskich zgromadzeń pod pretekstem „on nie rozumie życia zakonnego”, bo zwraca siostronom uwagę, że coś się dzieje nie tak, to mamy wtedy odcięte wszystkie drogi ewentualnej interwencji.

Ostatnio dostałam maila z informacją, że kogoś zaczęła na ulicy siostra →

→ ze zgromadzenia klauzurowego i prosiła o pomoc, bo w środku dzieją się nadużycia. Jestem skłonna przyjąć, że może dojść do takiego aktu desperacji. Zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, że np. korespondencja w niektórych zgromadzeniach również bywa kontrolowana.

Nawet po ślubach wieczystych?

Oczywiście nie powinna być. Zresztą siostry tak są nauczone, że są kontrolowane, iż nawet po nich nie odważą się napisać niczego krytycznego. Ten system kontroli tak bardzo wchodzi w głowy, bazując na lęku i obawach, że nawet po ślubach wieczystych siostry boją się rozmawiać.

Miałam pomysł, by weryfikować opowieści byłych sióstr opowieściami sióstr, które zostały w zgromadzeniach. Próbowalam kilka razy i zawsze kończyło się tym, że zakonnice nie zgadzały się na nagrywanie i na publikację, albo jak się już zgadzały na nagrywanie, to potem zabraniały mi się na nie powoływać.

O czym to świadczy?

O strachu i silnym przekonaniu, że na zewnątrz nie wolno powiedzieć o tym, co jest złe. W zakonach wciąż funkcjonuje jako lektura formacyjna „Savoir-vivre siostry zakonnej” Pellegrino Ceccarellego wydany po polsku w 1985 r. Tam jest m.in. nakaz, że na zewnątrz buduje się dobry wizerunek zgromadzenia. Nawet jeśli dzisiaj już nie jest to coś, co się wprost mówi młodym dziewczynom, siostry przychodzące do zakonu w latach 80. czy 90. ubiegłego wieku tak zostały uformowane.

W pewnym momencie mojej kariery dziennikarskiej powiedziałam sobie, że nie będę więcej pracowała z siostrami, po prostu szkoda mojego czasu. Bo kiedy jadę i rozmawiam, to one najpierw są sympatyczne i wychodzi z tego fajny tekst. A potem przychodzi autoryzacja, po której dostaję zupełnie inny tekst, który przypomina ulotkę powołaniową. I to robi się niestrawne – ja tego nie chcę dawać swoim czytelnikom. Mam wtedy wrażenie, że ktoś buduje przed nami pewną dekorację o życiu zakonnym, a nie mówi nam prawdy o nim.

Z czego to się bierze?

To jest dokładnie to samo, z czym jeszcze do niedawna mieliśmy do czynienia



MONIKA BIAŁKOWSKA

– dziennikarka, doktor teologii fundamentalnej, laureatka Nagrody Dziennikarskiej „Ślad” im. bp. Jana Chrapka w 2022 r. Ostatnio ukazała się jej książka „Siostry. O nadużyciach w żeńskich klasztorach” (WAM, Kraków 2023).

w całym Kościele – obowiązywał zakaz mówienia o nim źle. Tyle że jeśli chodzi o biskupów i księży, ostatnio ta piękna fasada runęła. A w żeńskich zgromadzeniach dekoracja jest wciąż utrzymywana.

Oczywiście za tą dekoracją może być różnie. Czasem za murami klasztornymi rzeczywiście mogą być szczęśliwe i dobre siostry, ale nawet te szczęśliwe i dobre będą nam się pokazywały w dziennikarskich wywiadach trochę inaczej, pobożniej. Język w autoryzacji stanie się bardziej wzniosły, zostaną wykasowane wszystkie żarty, bo siostra się przecież nie śmieje, ona uważa na wypowiedzi, bo jest zawsze nieco ponad świeckimi.

Mówienie o złu za murami klasztornymi nie jest po to, by wywołać skandal albo atakować życie zakonne. Jest po to, aby stanąć w obronie ludzi, którzy za tymi murami są krzywdzeni. Owszem, mogą być szczęśliwe siostry, ale jeśli gdzieś obok jest jedna, dwie albo trzy, które cierpią, to nie możemy mówić „ale przecież są szczęśliwe zakonnice!”. Nieśławny dominikanin Paweł M. czy ks. Andrzej Dyrer w swoim życiu na pewno zrobili wiele dobrych rzeczy. Jeżeli ktoś gdzieś robi wiele dobra, to nie neutralizuje ono tego zła, które dzieje się przy

okazji. Dziewczyny, które odeszły z zakonów, twierdzą, że szczęśliwych sióstr jest mało, ale tego – tak naprawdę – nie ma jak sprawdzić.

Pisze Pani, że siostrą odbierana jest wewnętrzna wolność – łamane jest ich człowieczeństwo.

Dla mnie zaskakujące i mocno niepokojące były rzeczy, z których nie zdawałam sobie sprawy, np. dziewczyny mówią: „Jak odeszłam ze zgromadzenia, nie wiedziałam, co chcę zjeść, bo dostawałam jedzenie zawsze gotowe i nie potrafiłam określić, na co mam ochotę”; „Kiedy byliśmy w zgromadzeniu, nie miałyśmy żadnych marzeń”.

Ktoś może się dziwić: dlaczego one sobie pozwalają na takie traktowanie? Dlaczego nie reagują, gdy tracą samostęrowność? Ale tak działa system w zakonach. Przyznam, że trochę się tego słowa boję, bo to by znaczyło, że ktoś nim steruje, tymczasem ten system zbudował się sam – na zasadzie małych kroczków. Najpierw są detale, o które nie warto toczyć wojny, np. jednej z pań w aspiranturze mistrzyni zabroniła robić zdjęcia z lampą błyskową, choć tylko z nią mogły się udać – okazało się, że w ten sposób sprawdzała jej posłuszeństwo. Więc nie warto rezygnować z życia zakonnego z powodu tego, że ktoś nakazuje zrobić bezsensowną czynność. Dalej: ktoś uważa, że źle jem kanapkę; ktoś czyta moje listy; ktoś przegląda moje osobiste rzeczy... W niezauważalny sposób narasta coraz więcej drobnych zdawałoby się nadużyć, i nie odnajdę takiego momentu, w którym granica złamania mojego człowieczeństwa została przekroczona.

Ale przykładów na absolutne postuszeństwo wcale nie musimy szukać w książce „Savoir-vivre siostry zakonnej”. Znajdziemy je w arcydziełach duchowości, jak „Apoftegmaty ojców pustyni” czy u św. Teresy z Ávila. Kiedyś dla „doświadczenia postuszeństwa” pewnej wykształconej siostry nakazała jej posadzić w ogrodzie ogórka, który dostała na obiad. Siostra zapytała tylko, czy ma posadzić go na sztorc, czy w poprzek. „Poszła tedy i zasadziła go, ani na chwilę nie dopuszczając myśli, że niepodobna, aby nie uсеhć; to jedno miała na myśli,

że działa przez posłuszeństwo i służy Chrystusowi i ślepe to posłuszeństwo zagłuszyło jej rozum przyrodzony, iż pewna była, że czyni rzecz najrozumniejszą” – komentuje święta.

To zakonnicy – a więc osoby, które znają życie zakonne, ale z perspektywy męskiej – uświadomili mi, na czym polega sens absolutnego posłuszeństwa. Rezygnacja z własnej woli i poddanie się pod ślepe posłuszeństwo jest potrzebne np. podczas spowiedzi skrupulanta, czyli wtedy, gdy jest konkretny problem. Wówczas spowiednik mówi takiej osobie: „Zaufaj mi w pełnym posłuszeństwie. Nie przychodź co tydzień do spowiedzi, tylko raz na miesiąc, a przez ten cały czas możesz przystępować do komunii, a ja twoje ewentualne grzechy biorę na moje sumienie. Bądź w tym ślepo posłuszny!“. Czyli to jest środek wychowawczy podjęty we wzajemnej umowie z jasno określonym celem: w tym przypadku chodzi o wykształcenie konkretnej ważnej zdolności.

Natomiast jeżeli rozmawiamy o posłuszeństwie z mężczyznami w zakonach, to oni mają dzisiaj zupełnie inną jego koncepcję. Posłuszeństwo musi być rozumne i dialogowane – czyli oparte na rozmowie z przełożonym. Już po oddaniu mojej książki do druku trafiłam na książkę bp. Józefa Sebastiana Pelczara, kanonizowanego przez Jana Pawła II w 2003 r., o wskazówkach dla siostr zakonnych. Pisz on, że posłuszeństwo przełożonej powinno być całkowite, ślepe i nie ma żadnej możliwości dyskusji – bo ona przekazuje wolę samego Chrystusa. Koniec, kropka. Mam wrażenie, że w wielu żeńskich zakonach ten schemat ciągle obowiązuje.

Na przykład?

Najbardziej bulwersująca sytuacja, o której w rozmowach z byłymi zakonnicami usłyszałam, pochodzi sprzed 20 lat. Działo się to w zgromadzeniu klauzury w klasztorze uważanym za jeden z najbardziej konserwatywnych. Moja rozmówczyni usłyszała, że wolą Bożą jest, aby siostra dzisiaj była ośłem, a bycie ośłem polegało na tym, by zakonnica jadła na podłodze z drewnianej miski przywiązana do stołu. Nie możemy się zgodzić na to, żeby to mogła być wola Boża. Posłuszeństwo jednak ma granice.

Wydawałoby się, że do zakonu idzie się po to, żeby duchowo się rozwijać. A przypadki, które Pani opisuje, pokazują, jak człowiek pozwala się duchowo, psychicznie, ale też fizycznie niszczyć, np. wyczerpującą pracą.

Tej anegdoty chyba nie zamieściłam w książce. Do pewnego klasztoru przyjechałam przed Wielkanocą przełożona generalna i powiedziała: „Drogie siostry, chciałam wam ogłosić wspaniałą nowinę: Pan Jezus zmartwychwstał, nawet wtedy, gdy nie umyjecie wszystkich okien”. Te słowa okazały się wyzwalające. My, w świeckich domach też czasem odpuszczamy sobie umycie wszystkich okien, bo ważniejsze jest, byśmy na święta byli wszyscy razem. Zaskakujące były te opowieści byłych siostr, które mówiły, że na Wielkanoc nie były w stanie przeżywać Triduum – zasypiały, bo były tak padnięte. To jest bez sensu!

Jeżeli chodzi o rozwój duchowy, też słyszałam od moich rozmówczyń: „Nie miałam czasu na modlitwę”; „Nie miałam siły na modlitwę”; „Odklepywałam, co musiałam”; „Dopiero po wyjściu z zakonu z powrotem zaczynałam się modlić”. Przyznawały, że masa pracy oddalała je od Jezusa.

Co do rozwoju intelektualnego, to niech nikt sobie nie robi złudzeń, że pójdzie do zgromadzenia, żeby się rozwijać w tym aspekcie. Formacja teologiczna z reguły nie jest na wysokim poziomie. O studiowanie siostry mogą prosić, ale szansa, że będą studiowały to, co jest ich mocną stroną i w czym będą się mogły rozwijać, jest nikła, bo na studia siostry są wysyłane, gdy jest taka potrzeba. Jeżeli do tego dołożymy czytanie tylko tych książek, które są w klasztornej bibliotece i za pozwoleniem przełożonej, brak dostępu do internetu, do bieżącej prasy, to nie ma co marzyć o jakimś sensownym intelektualnym rozwoju.

Czy Pani się spodziewa, że „Siostry” staną się obowiązkową zakonną lekturą?

Obowiązkową na pewno nie. Natomiast wiem, że już gdzieś tam dotarły i są po cichu czytane.

Zastanawiam się, jak można próbować tę zakonną rzeczywistość uzdrawiać.

Rozmawiajmy! Tak weszły zmiany w całym Kościele. W pewnym momencie dyskusja na zewnątrz Kościoła – np. o pedofilii wśród jego członków – stała się tak poważna, że wewnątrz nie można już było udawać, iż nie ma problemu. Musimy rozmawiać z siostrami – i tymi, co odeszły, i tymi, co zostały, bo nikt z zewnątrz nie zreformuje życia zakonnego. Tym bardziej że taka reforma wymaga przede wszystkim zmiany mentalności, a nie prawa.

Silniejszym od rozmowy bodźcem dla Kościoła w sprawie pedofilii były procesy sądowe. Czy precedensowy proces o mobbing wytoczony przez byłą zakonnicę jakimś zgromadzeniu nie zdziałałby więcej?

Przyznam, że pytanie o procesy pojawiło mi się w kontekście łamania praw człowieka w zakonach żeńskich. Ale moim celem było podanie punktów do dyskusji, a nie wzywanie do wytaczania procesów sądowych. Sama chętnie przeczytałabym następną książkę, np. napisaną przez jakiegoś prawnika, który powiedziałby, jakie siostry mają możliwości, na co się mogą powoływać, w jakich sytuacjach dochodzi do łamania prawa i jak temu przeciwdziałać, żeby najsilniejsze zakonnice nie odchodziły, a te słabsze, które nie mają dokąd wracać, żeby w zakonach nie cierpiały.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAC

>>>

[w w w.
Tygodnik
Powszechny
.pl
/
wybierAI

<<<]



Co wiedział Pius XII

EDWARD AUGUSTYN

Z watykańskich archiwów wciąż wyływają ważne dokumenty. Czy rzuca cię na papieża czasów wojny?

KOŚCIÓŁ NIE BOI SIĘ HISTORII” – MÓWIŁ papież Franciszek, zapowiadając otwarcie watykańskich archiwów z okresu 1939-1958. To czas pontyfikatu Piusa XII, przez jednego oskarżanego o milczenie wobec nazistowskich zbrodni, przez innego gloryfikowanego za pomoc udzielaną ofiarom wojny i uratowanie „setek tysięcy” europejskich Żydów. Na dostęp do dokumentów źródłowych – korespondencji, reskryptów z audienencji, notatek służbowych urzędników Sekretariatu Stanu i innych dykasterii – czekali jedni i drudzy.

Tajne zasoby udostępniono 1 marca 2020 r. Z efektami trzech lat pracy historyków (przerwanej już na początku pandemii i kilkumiesięcznym lockdownem) możemy się zapoznać dopiero teraz – 18 września trafiła do sprzedaży 500-stronicowa książka „Dokumenty Piusa XII bez tajemnic”, wydana przez watykańskie archiwum, a 9 października na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie rozpocznie się trzydniowa międzynarodowa konferencja, poświęcona dopiero co zbadanym zasobom. Jej program brzmi obiecująco – poszczególne panele mają być poświęcone m.in. symetryzmowi Piusa XII (uznającego komunizm za zagrożenie dla świata równie wielkie jak nazizm – a dla katolików nawet większe), antysemityzmowi w środowiskach kościelnych, w tym kurii rzymskiej, przed II wojną światową, bohaterskiej postawie księży, zakonników i zakonników ratujących Żydów w czasie wojny oraz pomocy, jakiej Stolica Apostolska udzielała hitlerowskim zbrodniarzom po klęsce Niemiec.

Odnaleziony list

Zapowiedzią tego wydarzenia, umiejętnie podgrzewającą atmosferę i rozbudzającą zainteresowanie, był wywiad udzielony dziennikowi „Corriere della Sera”



Pius XII, 1945 r.

przez o. Giovanniego Coco (watykańskiego archiwistę i redaktora wspomnianej książki), który opowiada o nieznanym dotąd dokumencie, jaki udało mu się znaleźć.

To list, datowany na 14 grudnia 1942 r., niemieckiego jezuitę, Lothara Königa, do osobistego sekretarza papieża, o. Roberta Leibera, informujący o zbrodniach dokonywanych przez hitlerowców na terenach okupowanych: autor pisze o co najmniej 6 tys. Polaków i Żydów mordowanych każdego dnia w krematoriach Rawy Ruskiej (Bełżec), wspomina też obóz koncentracyjny w Auschwitz, nawiązując do innego swojego listu (jak dotąd nieodnalezionego). Według o. Coco jest to niemal pewny dowód, że Pius XII wiedział o rozmiarach niemieckich zbrodni, w tym o realizowanym planie zagłady Żydów.

Dokument nie zmienia oczywiście naszej dotychczasowej wiedzy – o tym, że papież był dobrze poinformowany o przebiegu wydarzeń w okupowanej Europie wiemy od dawna. W 1965 r. w tajnym archiwum watykańskim rozpoczęło pracę, na specjalne polecenie Pawła VI, czterech jezuitów historyków (Pierre Blet, Angelo Martini, Burkhardt Schneider, Robert A. Graham), których zadaniem było zbadanie wszystkich dokumentów z czasów II wojny światowej. W 11-tomowym dziele ich autorstwa („Actes et documents du Saint-Siège relatifs à la période de la Seconde Guerre Mondiale”), publikowanym sukcesywnie do 1981 r., a także w wydanej w 1997 r. książce Bleta („Pius XII i druga wojna światowa w tajnych archiwach watykańskich”), streszczającej tamtą pracę, znajdziemy wiele dowodów, że informacje o nazistowskich zbrodniach były papieżowi regularnie przekazywane – przez biskupów, księży, dyplomatów i polityków.

Znalezienie listu Königa jest jednak potwierdzeniem, że były to nie tylko relacje z krajów napadniętych przez III Rzeszę albo z nią walczących, które Pius XII mógłby uznać za nieobiektywne i przesadzone. Tym razem autorem doniesień był Niemiec, w dodatku zaprzyjaźniony z papieskim sekretarzem i darzony przez niego zaufaniem.

Zagubione cienie

Dużo większą sensacją jest jednak wiadomość, że w udostępnionych przed trzema laty zasobach archiwalnych wciąż można odnaleźć dokumenty zupełnie nieznane. Wielu historyków było co do tego sceptycznych, zakładając, że wszystko zostało już zbadane i zweryfikowane – czy to podczas prac wspomnianej czwórki jezuitów, czy w czasie procesu beatyfikacyjnego Piusa XII, trwającego od 1967 r.

List Königa dowodzi, że ogromny zbiór, szacowany na 16 mln dokumentów, wciąż kryje wiele niespodzianek. Zresztą sam o. Blet miał tego świadomość i do końca życia (zmarł w 2009 r., w wieku 91 lat) drżał z obawy, że „znajdzie się przypadkowo jakaś kartka, jakiś nieznany, nawet drugorzędny dokument, rzucający cię na osobę Piusa XII”. Co dziś staje się coraz bardziej realne.

Boska feeria

PIOTR SIKORA

Jesień – czy ją lubimy, czy nie – może nas doprowadzić do głębokiego duchowego doświadczenia.

UDERZYŁ GO NAGLE BRAK JERZYKÓW. A zaraz potem myśl, że nie zauważył, kiedy zniknęły spomiędzy obłoków: na pewno nie dziś ani nie wczoraj. Smutek, że poleciały, i wstyd, że nie dostrzegł momentu odlotu, wślizgnęły się nie wiadomo skąd między łopatki a mostek, ściągając swoim ciężarem ramiona i kąciki ust ku ziemi...

– Coś taki smętny, młody? – cichy głos wyrwał go z zamyślenia.

– Jest po przesileniu, mistrzu. Ciemności już więcej niż światła. Chłód idzie, wilgoć. Liście żółkną i kruszeją, a jeszcze tak niedawno zielone były, sprężyste, pełne życia...

– Bóg i ciemność tworzy, dotyka jej z tą samą życzliwą uwagą, z jaką gładzi światło. Nie lubisz tego przesilenia, nie chcesz go, rozumiem, nic w tym złego. Pomyśl jednak może o ludziach w Patagonii: u nas więcej nocy – u nich więcej dnia; u nas więcej dnia – u nich więcej nocy...

– To prawda, mistrzu, ale co mi po niej...

– Czyż nie na jednej ziemi żyjemy, my i oni? Na kuli, bryle doskonałej, która nigdzie, a więc wszędzie ma wierzchołek – a fakt ten pozwala każdej i każdemu za górę uznać miejsce, w którym właśnie stoi, jako dół postrzegając punkt po przeciwniejszej stronie...

– Mistrzu, wiem, dokąd zmierzasz. Wygrałeś, ujawniłeś mój egoizm. Ale właśnie dlatego nie lubię tej ćwiartki roku, kiedy światła jest nie tylko mniej niż nocy, lecz w dodatku z każdą kolejną datą dzień przegrywa coraz bardziej. Potem, gdy minie najkrótszy, zacznie przybywać naddziei. Tak, pamiętam, Patagonia. Ale ja w gruncie rzeczy nie o braku słonecznego światła, tylko o tej ciemności, która we mnie się rozplenia i panoszy: to ona mnie męczy, jej się boję. Postępująca przewaga

nocy nad dniem budzi moją niechęć, gdyż o tamtej przypomina: o ciemności, która rozsnuwa się we mnie i zacieśnia pole widzenia do moich własnych potrzeb, interesów, nie pozwala widzieć ludzi wokół (bywa, że łatwiej mi dostrzec tamtych w Patagonii!). O mroku podwójnie perfidnym, bo gdy zobaczę mój egoizm – choćby w takiej rozmowie, jak ta dzisiaj z tobą – ciemności przybywa jeszcze, jak wtedy, gdy listopad zamienia się w grudzień. Gdy bowiem rośnie świadomość, że dbam głównie o siebie – wstyd więzi mi duszę, smutek ją przytłacza, złość na siebie szarpie, i gniew na takich jak ty – wskazujących, że nie dorastam do ideału, że...

– Niejasno się wyraziłem. Gdy mówiłem, że Bóg równie życzliwie gładzi ciemność, co światło, nie miałem na myśli po prostu czasu między zmierzchem a świtem. Choć ten również – bo księżycowa poświata na rudym dywanie bukowych liści, leżącym między nagimi srebrnymi pniami, piękna jest. Podobnie jak Orion, gdy niebo bezchmurne i nie ma księżyca. A nawet i wówczas, gdy gęsty deszcz siąpi z niskich chmur, można poczuć, jak chłodna gleba zbiera zapasy wody i siłę, by za kilka miesięcy karmić przyłaszczki, pokrzywy, pnie buków i żdźbła trawy. Ale ja nie tylko o tym. W gruncie rzeczy chciałem powiedzieć, że Bóg z taką samą czułością gładzi tę ciemność, o której mówisz, że rozsnuła się w tobie. Że cieszy się z nawet niewielkiego zasięgu twojego współczucia, nie porównując go wcale z nieskończoną przestrzenią, która rozciąga się dalej...

– Skąd to wiesz, mistrzu?

– Czyż nie zapisano w Księgach: „Nie dogasi tłącęgo się knota”? A poza tym, przeżyłem znacznie więcej jesieni niż ty. Z roku na rok, choć wzrok mi słabnie, widzę coraz wyraźniej nie tylko, jak On (Ona?) rozsypuje gwiazdy i wprawia w ruch Ziemię, ale że tworzy także to, czego często doświadczają nie chcemy i co widzimy jako ciemną część siebie. Ale to wszystko ma swój czas i miejsce: smutek, byśmy czuli, co ważne, kiedy tracimy przemijalne rzeczy; gniew, kiedy walczyć trzeba, i strach, kiedy czas uciekać; nawet wstyd, który daje sygnał, że patrzymy na swoją niedoskonałość oczami innych ludzi. Jeśli czas po przesileniu, gdy liście żółkną w świetle coraz niższego słońca, otwiera cię na tę część duszy, którą nazywasz ciemną, wykorzystaj go...

– Nie jestem pewien, mistrzu, czy twoje słowa są dla mnie jakąś pociechą. Lęk pozostaje lękiem, a smutek smutkiem. Oba są trudne. Z roku na rok – sam o tym wspominałeś. Z roku na rok ja też jestem starszy, bliżej końca, tak jak każdy liść na gałęzi: wyrósł z pączka, szumiał w słońcu na ciepłym wietrze przez lato, teraz żółknie i wkrótce spadnie na ziemię. Tu twoja pochwała przyrody wydaje mi się naiwna. Zapewne powiesz mi bowiem o cyklu i o odrodzeniu. Ale przecież ten właśnie liść, który teraz tu spada, nigdy nie wróci do życia...

– Zdumiewająca jest twoja zdolność rozpoznawania, co chcę powiedzieć, zanim jakkolwiek myśl przyjdzie mi do głowy. Bo widzisz, przyszła mi myśl inna. →



ANDRZEJ SIDOR / FORUM

→ Liść, który teraz tu właśnie spada, piękny był, gdy wiosną przechodzący tą ścieżką ludzie cieszyli się na widok nabrzmiałych pąków. Piękny był również świeży, jasnozielony; piękny także przyszarzały w lipcowym upale. I pięknie teraz tańczy, jak płomyk, na wietrze. I jeszcze ci chciałem powiedzieć o owocowaniu. I o zrywaniu śliwek, winogron, zbieraniu orzechów. O tym, jak z ziemi wydobywa się dorodny seler albo pietruszkę.

– Nie jestem ogrodnikiem, mistrzu...

– Mówię tylko o tym, o czym sam wspomniałeś: że jesień otwiera twoją świadomość na to, co dzieje się w tobie, także w głębinach ducha. I próbuję ci pokazać, na co zwracasz uwagę, a co pomijasz...

– Ach! „Po owocach ich poznacie”. Przypominasz mi, mistrzu, kryterium osądu, czy jestem dobry, czy zły, czy moje dotychczasowe życie miało jakąś wartość...

– Skąd u ciebie ta skłonność do wydawania wyroków na siebie samego? Jeśli już się mamy przerzucać świętymi cytami, to wolę cisnąć w ciebie takim: „Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni”. Ciekawe, co z nim zrobisz?

– Czyli źle robię, że wymagam od siebie i siebie osądzam?

– Czyż napisano: „Sądzenie jest złe”? Czy raczej: „Nie sądzicie”? Próbuję pokazać ci coś, czego uczę się stale od mojej mistrzyni. Ona też od dziecka nie lubiła tej pory roku, gdy światła i ciepła ubywa, pochmurne niebo, a do wyboru: zimny wiatr albo mgła. Co roku nadejścia tego czasu nawet trochę się bała. Dlatego wydawało mi się, że jestem od niej mocniejszy, że bardziej wyćwiczyłem zdolność przyjmowania tego, co trudne. Nieco narcystyczne złudzenie, niewarte osądu, raczej uśmiechu. Nigdy bowiem nie potrafiłem znajdować tyłu prawdziwków i rydzów, co ona, rozpoznawać najlepszych śliwek, tak smażyć powideł, gotować tak pysznej dyniowej zupy, ozdabiać domu, do którego można było wrócić, gdy jest się zmokniętym i przemarzniętym. W pewnym momencie rozpoznałem to i doznałem – tak mi się zdawało – olśnienia, że nigdy nie byłem tak blisko boskiego dotyku, jak ona. A potem, którejś kolejnej jesieni, przyszło olśnienie drugie i właśnie ono prowadzi mnie do końca: każdy liść spada z drzewa inaczej, a wszystkie niesie ten sam wiatr...

© PIOTR SIKORA

Te, które chronią mężczyzn

KAROL WILCZYŃSKI Z OKINAWY (JAPONIA)

Południowe wyspy japońskie słynęły z matriarchalnej religii. Czy to jest jeszcze aktualne?

PRZYWIÓDŁ TU CIEBIE GŁOS Z NIEBA – przewodniczka w zamku Naki-jin w północnej Okinawie postanowiła powitać mnie takimi słowami. Była to jej reakcja na moje pytanie, czy ktoś tu jeszcze wyznaje tradycyjną religię archipelagu Riukiu (którego Okinawa jest największą wyspą).

Przed wyjazdem zdawałem sobie sprawę, że religijność Japończyków, podobnie jak inne aspekty kultury japońskiej, wydaje się mocno zmitologizowana i orientalizowana. W mediach społecznościowych (których algorytm wiedział, że wyjeżdżam, jeszcze zanim kupiłem bilet) wyświetlały mi się liczne filmiki o tym, że Japonia „żyje już w 2100 r.” lub że jest technologicznym imperium. W Japonii – według krążących stereotypów – ludzie raczej są agnastykami i nie przejmują się tak przebrzmiałymi kwestiami jak religia (mają co najwyżej zen). Co do samej Okinawy, to słynie ona nie tylko z bitwy z czasów II wojny światowej, ale z dość popularnego mitu o długowieczności mieszkańców wyspy (choć w praktyce średnia długość życia jest poniżej średniej japońskiej i regulamnie spada).

Dobra energia

Świadom tych stereotypów uznałem, że małe śledztwo dotyczące kwestii w Polsce słabo rozpoznanej – religii wysp Riukiu – będzie dobrym kluczem do zaplanowania podróży. Stąd kierunek: północna część Okinawy, jak również niewielkie wyspy należące do archipelagu (m.in. Kudaka czy Miyako), które „są znane z tego, że mieszkająca tam ludność zachowała pierwotne praktyki i tradycje religijne”. Tak poradził mi wykładowca uniwersytetu w Jokohamie,

Kan Yagishita, znawca Okinawy. – Nie nazywałbym tego jednak religią, co najwyżej duchowością – dodał.

Pobieżne informacje dotyczące religii Riukiu wskazują na to, że jest to system wierzeń „szamanistycznych” i „matriarchalnych”. Popularne źródła internetowe wskazują również, że opiera się ona na „kulcie przodków, bóstw lokalnych i wyższych” oraz *mabui*, czyli przenikającej wszystko energii. Głosem, który wybrzmiał we mnie najbardziej, było hasło „matriarchat”, który – według popularnych źródeł – ma funkcjonować na wyspach od pokoleń.

I rzeczywiście, Riukiańczycy żyją według systemu *onarigami*, uznając, że to kobiety mają lepszy kontakt z zaświatami i bóstwami. To sprawia, że stają się one właściwymi kierowniczkami życia duchowego. Przez stulecia to one były kapłankami (*noro*), prowadząc rytuały, wróżąc czy pilnując świętego ognia domowego. Do niedawna tylko one miały też wyłączny wstęp do świętych miejsc, *utaki*, nasyconych energią *mabui*. Czy jednak wystarczy to, by mówić o niezwykłym połączeniu mocno rozwiniętego technologicznie społeczeństwa z pierwotnym, matriarchalnym szamanizmem? I czy tradycyjna religia Riukiu wpływa na pozycję kobiet w lokalnym społeczeństwie? Czy nadal odgrywają one rolę kierowniczek w kolonizowanych i japonizowanych od końca XIX wieku wyspach?

– Kobiety w tradycyjnych środowiskach w Japonii są traktowane jako drugie po mężczyznach. Kapłankom musi być łatwiej w Ameryce czy Europie – mówi Akari, buddyjska kapłanka reprezentująca denominację Soto-Syu. Niestety Japonia zajmuje dopiero 125. (na 146) miejsce w Gender Gap In-



THE ASAHI SHIMBUN / GETTY IMAGES

Kobiety modlą się w gaju Suimui Utaki podczas rytuału „Momoso Omono Mairi”. Riukiu, 24 listopada 2018 r.

dex 2023. Na wielu poziomach Japonki są traktowane gorzej lub znacznie gorzej niż Japończycy.

– Gdy zapytasz pięć osób o religię Riukiu, otrzymasz pięć różnych opinii – stwierdził przewodnik po Nakijin, Ichio Oshiro. Sam był wychowywany na północy wyspy przez mamę pochodzącą właśnie stamtąd i ojca z Japonii. Podobnie jak zdecydowana większość moich japońskich rozmówców, nie do końca widzi sens w pytaniu o religię własną.

– Tu wszystko się od wieków miesza. Buddyzm, szinto i duchowość Riukiu nie mają sztywnych granic. Od niedawna mamy też wiele wpływów z USA, przede wszystkim chrześcijańskich – mówi Oshiro.

Wielu mieszkańców archipelagu nie widzi różnicy w tym, skąd czerpie dobrą energię – czy ze świętego gaju *utaki*, czy z buddyjskiej lub katolickiej świątyni.

To podejście, być może wynikające z szintoistycznego poglądu o uniwersalizmie rozmaitych religii i wierzeń, jest szeroko rozpowszechnione wśród mieszkańców Okinawy. – Najważniejsza jest rodzina i kult przodków – mówi Oshiro.

Jest to zresztą wspólne dla całej Japonii. – Mało ludzi przeżywa religijność świadomie – tłumaczy Akari. – Większość z nich nie potrzebuje religii na co dzień, szczególnie dotyczy to młodych. Ale świadomość

przychodzi po śmierci kogoś bliskiego lub podczas buddyjskiego święta Obon, kiedy wspominamy zmarłych.

Jak podkreśla, wiele japońskich domów czci zmarłych poprzez ustawienie małego ołtarzyka dla przodków.

Kapłanki

Choć duchowość Riukiu ma wiele wspólnego z szintoizmem i buddyzmem (jak choćby to, że o wiele bardziej liczy się życie i praktyka wdrażająca nauki i zasady płynące z wiary niż formalna przynależność do wspólnoty), to główną różnicą jest, że tradycyjne wierzenia Riukiu są całkowicie pozbawione struktur. Bardzo często na terenie Okinawy można odnaleźć miejsca uznane za święte, gdzie mieszkańcy zostawiają różne przedmioty lub jedzenie (dla uspokojenia lub pozyskania duchów miejsca), ale poza tym nie ma żadnej informacji lub znaku, że to święte miejsce. Riukiańczycy nie budowali i nie budują świątyni – Sefa Utaki (jedno z najważniejszych miejsc kultu uznawane tradycyjnie za miejsce, gdzie na ziemi pojawiła się Amamiko, bogini, która stworzyła ziemię i ludzi) to po prostu szereg nietypowych jaskiń, półek i formacji skalnych na wschodnim wybrzeżu Okinawy.

Nie jest jednak tak, że formalne struktury religijne nigdy nie istniały. – Oficjal-

nie już ich nie ma, dlatego trudno jest wskazać spadkobierców ortodoksyjnej religii Riukiu po tym, jak upadł system *noro*, kapłanek – tłumaczy Kan Yagishita.

Znawca Okinawy podkreśla, że w czasie istnienia królestwa Riukiu (od początku XV wieku do 1879 r., kiedy Japonia anektowała wyspy) prawdopodobnie pod wpływem kontaktów z przedstawicielami buddyzmu lub szintoizmu powstała instytucja *noro* – kapłanek, które pełniły również rolę administratorów w osadach i wysepkach, które podlegały królom z Okinawy. To *noro* były odpowiedzialne za organizację oficjalnych rytuałów, podejmowanie rozmaitych decyzji, a zarazem tworzyły sieć przepływu informacji między społecznościami. *Noro* pełniły więc kluczową rolę w zarządzaniu państwem i stanowiły źródło wiedzy i autorytetu, który był przekazywany z matki na córkę. Z drugiej strony wydaje się, że osadzenie ich w roli religijnej było metodą na częściowe pozbawienie kobiet realnej władzy politycznej, pozwolenie, by delikatnie „stapały” po patriarchacie, ale nie naruszały jego rdzenia. Mężczyźni zachowywali bowiem pełnię władzy politycznej.

Historycznie o częściowym matriarchacie możemy mówić wyłącznie w przypadku *kikoe-ogimi*, królewskich kapłanek (najczęściej żon lub sióstr z rodziny →

→ królewskiej). Oprócz tego, że dzięki bliskości monarchy mogły mieć duży wpływ na decyzje polityczne, brały również udział w kampaniach wojennych czy „pacyfikacji” niepokornych wysp. Ze względu na wiarę w ich relacje z bóstwami, *kikoe-ogimi* mogły formalnie stać na czele armii i w rytualny sposób przyciągać dobrą energię w stronę żołnierzy. Ostatecznie jednak rola kapłanek spadła pod koniec XVI wieku, gdy coraz większą rolę w polityce wewnętrznej Riukiu zaczęli odgrywać Chińczycy i Japończycy. *Kikoe-ogimi* zostały sprowadzone do roli kapłanek odprawiających nabożeństwa.

Amulety z włosów

Do dzisiaj jednak słowo kobiety (jako nie wiążącej porady lub wróżby) ma na Riukiu duże znaczenie. – Kobieta jest osobą chroniącą swojego męża i braci. Dawniej istniał zwyczaj zabierania ze sobą włosów i innych rzeczy należących do matek czy siostr jako amuletów chroniących podczas drogi – mówi Kan Yagishita.

Co więcej, niektóre wioski nadal utrzymują nieformalną instytucję *noro*, a autorytet kobiet pełniących tę rolę nadal jest uznawany przez lokalnych mieszkańców. Oprócz tego kwestia ta jest coraz bardziej popularna wśród turystów, którzy niejako wymuszają na lokalnej społeczności, by zaczęła formalizować sprawy dotyczące wierzeń. Przy *utaki* zaczynają pojawiać się

tabliczki, a wróżby lokalnych szamanek – często odpowiednio przebieranych do tej roli – mogą przecież przynieść dobry zarobek społeczności.

Jak jednak doszło do tego, że to kobiety otrzymały takie możliwości w regionie geograficznym, który wykształcił silnie patriarchalne struktury społeczne? Według Ichio Oshiro wynika to z jednej strony z izolacji geograficznej Riukiu od innych ośrodków kultury, a z drugiej – z wysokiej śmiertelności noworodków. Uznawanie przodków i zmarłych za źródło wiedzy o świecie, a zarazem umiejętność kontaktu z nimi jest typową cechą zdecydowanej większości religii pierwotnych. W tradycji riukiańskiej siedem pokoleń po śmierci zmarły dołącza do pantheonu bóstw, stąd tak ważna jest pamięć o własnym rodzie i kontakt z tymi, którzy odeszli. – A kto ma najlepszy kontakt ze zmarłymi? Jeśli na wyspach umierało tak dużo dzieci, naturalnie uznano, że to kobiety mają z nimi lepszy kontakt, nawet po ich śmierci – tłumaczy Oshiro.

Izolacja społeczności wyspiarskich sprzyjała niezależności niewielkich osad oraz konieczności bezprzemocowego rozwiązywania trudnych spraw. – W tym też lepsze są kobiety – mówi z uśmiechem Oshiro. – Ale mężczyźni i tak nie zostawili im przestrzeni w polityce – dodaje.

Czy mężczyźni z Riukiu nie mieli kontaktu ze zmarłymi? Sporadycznie zdarzali się mężczyźni pełniący role rytualne, ale musieli dużo mocniej dowodzić swojego połączenia ze światem duchów niż kobiety. Istniały również zarezerwowane dla mężczyzn rytuały (np. ubój zwierząt).

Żywyoty natury i polityka

Dlaczego tradycyjne wierzenia Riukiu nadal pełnią ważną rolę w lokalnej społeczności? Po pierwsze, są sposobem na symboliczne okiełznanie natury bardzo silnie oddziałującej na codzienne życie – trzęsienia ziemi, tajfuny, tsunami, jadowite węże, dżungla, meduzy, ogromna wilgoć i typowe dla subtropikalnego klimatu temperatury. Mieszkańki i mieszkańcy Okinawy muszą nie tylko realnie i symbolicznie oswoić powyższą listę niebezpieczeństw. Po drugie, wynika to z demografii. 1,5 miliona osób mieszka na wyspie o powierzchni 1,2 tys. kilometrów kwadratowych, z czego 20 proc. zajmują amerykańskie bazy wojskowe, a 12 proc. – park narodowy i rezerwat przyrody.

Dla mieszkańców nie zostaje wiele. Dlatego tradycyjna religia jest sposobem na celebrowanie lokalności i tradycyjnej tożsamości.

Niestety od czasu aneksji w 1879 r. japońskie rządy nie uznają Riukiańczyków za odrębną grupę etniczną, nie wspierają też dążeń wyspiarzy do zachowania języka (w przeciwieństwie do dotacji na zachowanie architektury czy promocji lokalnego tańca czy sportu, jakim jest karate, co przynosi jednak zyski w postaci turystyki). Taro Aso, wicepremier i minister finansów, a wcześniej premier Japonii, stwierdził w styczniu 2020 r., że „żaden kraj na świecie nie przetrwał 2 tysięcy lat z jednym językiem, jedną grupą etniczną i jedną dynastią”. Polityk wywołał ogromny opór społeczny wśród działaczy z wysp Riukiu.

Sprawa nie ma wyłącznie wymiaru retorycznego – prefektura Okinawa jest przedostatnią pod względem PKB na mieszkańca prowincją Japonii (w 2018 r. PKB było tu niemal trzykrotnie niższe niż w stolicy, Tokio), a zarazem najbardziej dotowaną, zarówno przez japoński, jak i amerykański rząd. Wielu lokalnych aktywistów wskazuje jednak, że prefektura pomijana jest w przypadku wielu strategicznych decyzji, a region liczy się wyłącznie z powodu geograficznego położenia i wartości militarnej.

Wyspy Riukiu od wieków stanowią też obiekt zainteresowania Pekinu – Okinawa leży niemal pośrodku między wybrzeżami Japonii i Chin. Jak mówił ostatni król Riukiu, chcąc w ten sposób uzasadnić konieczność pozostania w związku z Chinami (wbrew władzom Japonii), „moje królestwo ma dwójkę rodziców: matkę-Chiny i ojca-Japonię”. Obecnie Pekin prowadzi aktywną politykę mającą na celu wspieranie wszelkich dążeń mogących prowadzić do oderwania Riukiu od Japonii – szczególnie jest to widoczne w przypadku spornych, bezludnych wysp Senkaku, ale również w publicznych oskarżeniach o działanie na rzecz Pekinu wobec riukiańskich aktywistów.

Trudno powiedzieć, czy w rozgrywkach politycznych na niskim i wysokim szczeblu tradycyjne wierzenia religijne wyspiarzy odegrają jakąkolwiek rolę. Z pewnością jednak mogą być źródłem dla dających do myślenia „głosów z nieba”. © KAROL WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE



BIELSKO-BIAŁA: Działamy w mieście wielu konfesji, a nasze przestanie to „spotkanie i dialog”. Zapraszamy na ciekawe rozmowy z wyjątkowymi gośćmi.

 Koordynatorka
Janina Rogalińska-Pieronek
bielskobiala@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP”
na klubtygodnika.pl



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

WOJCIECH

Bonowicz: *Sen anarchisty*



NAPRAWDĘ TAK TO MUSI WYGLĄDAĆ? NIE można ugryźć się w język? Nie można znaleźć słowa mniej palącego, mniej dzielącego? Czy władza jest rzeczywiście czymś tak wspaniałym, że dla jej utrzymania lub zdobycia warto podeptać godność przeciwnika? Czy warto dla tego celu podeptać godność własną?

Jakoś inaczej mnie rodzice wychowali... Wiadomo, że człowiek nie jest ideałem, ale kłamać publicznie, poniżać, stosując najbardziej obraźliwe porównania, rzucać błotem ot tak, nie przejmując się, gdzie upadnie? Po co? Żeby dokupić jeszcze trochę ziemi? Kolejnych kilka mieszkań? Zabezpieczyć się w ten sposób na późny wiek? Zabezpieczyć dzieci, rodzinę? Tylko przed czym?

Możliwe, że to jest bardzo prosty mechanizm: chodzi o adrenalinę i nic więcej. Albo jeszcze prostszy: o adrenalinę i posiadanie właśnie. Żadne wartości nie mają tu nic do rzeczy, oprócz tych, które dają się wyrazić w pieniądzu. Nie przysłuchuję się uważnie, ale zdaje się, że nikt już w tej kampanii nie cytuje wielkiej polskiej literatury. Uff, jak dobrze. Przynajmniej tyle. Może nie cytują, bo nie wiedzą, co cytować. Herberta, który modlił się: „żebym rozumiał innych ludzi inne języki inne cierpienia”? Który o cnocie pisał, że jest „śmieszna jak strach na wróble / jak sen anarchisty”? Nie, nie, o tym lepiej nie wspominać. Nie ma poezji w kampanii – i może lepiej. Bo jak nawet była, to przecież nie była poezją, tylko wyszarpanym z rąk poety kawałkiem nie wiadomo czego.

Gdy usłyszałem prezydenta cytującego powiedzenie o świniach siedzących w kinie, przyszedł mi na myśl jedynie dwa słowa: „Jezus Maria!”. Człowiek chciałby się oburzyć, ale już właściwie nie ma siły. Czuje wstyd – i może także ból. To tak można? No można, jak widać... Człowiek czuje wstyd, choć właściwie nie on powinien się wstydzić, tylko ten, który tak powiedział. Skoro nie potrafi wznieść się ponad jedną konkretną perspektywę, jeden punkt widzenia, mógł chociaż powiedzieć: „Nie dziwię się, ale jednak pewnych słów używać nie wypada”. Albo: „Podzielałem złość, ale nie akceptuję formy”. Zamiast tego brnął dalej, uśmiechnięty, zadowolony z siebie. Jezus Maria! Bał się? No może się i bał. Jest prawdą, że nikt cię tak nie sponiewiera, jak twoje własne zaplecze polityczne – jeśli tylko zrobisz krok w bok. Okropne to jest właściwie, „Tygodnik” pisał o tym wielokrotnie.

Muszę powiedzieć, że ostatnio często rozmyślam o godności. Co to jest ta godność? Czy można ją utracić? Czy można ją odzyskać? Powiadają nam, że jest ona „przypięta” i „niezbywalna”, a to znaczy, że cokolwiek byśmy zrobili, nie pozbedziemy się jej ani też nikt nie może nas jej pozbawić. Powiadają też, że jest „nienaruszalna” i że państwo powinno tej nienaruszalności bronić. No ale przecież na własne oczy widzimy, że tak nie jest. Że naruszanie godności to jest sport narodowy i jednocześnie fundament polityki państwa. Że państwo w resztkach swojego majestatu godność przyznaje lub odbiera, a bywa i tak, że cieszy się i wspiera tych, którzy innym godności odmawiają. I że to wszystko daje się ładnie objaśnić i opakować, tak że człowiek już właściwie nie wie – stało się tu coś złego czy nic się nie stało?

Okazuje się, że w polityce nie da się upaść, że każdy upadek można zrelatywizować. Miał rację Różewicz, kiedy pisał, że dziś już nie spada się w dół, lecz we wszystkich kierunkach. No ale on też był poetą – czyli anarchistą – więc pożytek z niego w polityce żaden. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



**Podkastu
Tygodnika Powszechnego
słucha już ponad
80 000 osób.**

Dziękujemy!

dołącz!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



ŚWIAT



CIEŃ SMOKA

Po aferze szpiegowskiej w Westminsterze polityczny Londyn zastanawia się, czy uznać oficjalnie Chiny za zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju.

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

DWUDZIESTOOŚMIOLETNI ANALITYK, zatrudniony w brytyjskim parlamencie, jest podejrzany o szpiegostwo na rzecz Chin. To jedno z najgorszych w ostatnich latach naruszeń bezpieczeństwa w Westminsterze – jak zwykle się nazywać rządowo-parlamentarną dzielnicę Londynu – ze strony innego państwa, potencjalnie wrogiego.

Wiadomość ta obiegała brytyjskie media dopiero teraz, we wrześniu, choć do aresztowania Chrisa Casha – jego nazwi-



Fragment pastiszu obrazu René Magritte'a „Golconda” z 1953 r.

giem, ale że w swojej pracy wręcz starał się uświadamiać innym zagrożenia i wyzwania ze strony Chińskiej Partii Komunistycznej.

Chińska ambasada w Londynie oświadczyła tylko lapidarnie, że oskarżenie to „złośliwe oszczerstwo”.

OSTRZEŻENIA | Na rozstrzygnięcie, jak było naprawdę, trzeba poczekać – Cashowi nie postawiono jeszcze formalnych zarzutów. Ale ujawnienie tej sprawy przypomniło Brytyjczykom, a zwłaszcza politykom, że już w lipcu Parlamentarna Komisja ds. Wywiadu i Bezpieczeństwa (Intelligence and Security Committee of Parliament, ISC) wydała raport, w którym ostrzega, iż chiński wywiad wziął Wielką Brytanię na celownik, a rząd nie jest na to przygotowany.

Autorzy raportu alarmowali, że Chińczycy atakują Brytanię „obficie i agresywnie”, i że udało im się „skutecznie przeniknąć do każdego sektora brytyjskiej gospodarki”, a rząd nie ma zasobów, doświadczenia ani wiedzy, by temu przeciwdziałać. Według raportu Komisji charakter chińskiej penetracji Wysp Brytyjskich może być trudny do wykrycia, a sukcesy Chin ułatwił fakt, iż brytyjskie służby kontrwywiadowcze skupiały się na, rzec można, klasycznej tajnej działalności Pekinu.

Tymczasem „spod radaru” zdają się wymykać np. chińskie inwestycje na Wyspach, w tym przejmowanie firm. A także zwiększające się chińskie wpływy na uniwersytetach: Pekin używa tu głównie metod finansowych, choć próbuje też wpływać na brytyjskich naukowców „poprzez zachęty zawodowe, a jeśli to nie działa, to przez zastraszanie”. Próbuje również kontrolować uczących się tutaj chińskich studentów.

TRZYDZIEŚCI INSTYTUTÓW | Premier Rishi Sunak uspokaja, że wiele rekomendacji Komisji wdrożono jeszcze przed publikacją jej raportu. Przykładowo niedawno przyjęto ustawę o narodowym bezpieczeństwie, która ma ułatwiać wykrywanie aktów szpiegostwa i która unowocześnia definicję takiej działalności. Wprowadzono nowy rodzaj przestępstwa „ingerencji zagranicznej”, mający szczególne

zastosowanie w walce z dezinformacją w internecie.

Jeśli chodzi o sferę edukacji, to Londyn wycofuje wsparcie finansowe dla wszystkich chińskich Instytutów Konfucjusza – ośrodki te, koordynujące naukę języka mandaryńskiego na brytyjskich uczelniach, są wymienione w raporcie Komitetu jako jedno z narzędzi wpływu Pekinu. Co ciekawe, w żadnym kraju europejskim nie ma ich więcej niż w Wielkiej Brytanii – aż trzydzieści.

Osobne ostrzeżenie, skierowane do studentów, wystosował latem Ken McCallum, szef kontrwywiadu MI5. Określając brytyjskie uczelnie jako „cele, które jak magnes przyciągają szpiegostwo i manipulację”, McCallum apelował, by studenci zwracali baczną uwagę na kierowane do nich zaproszenia na atrakcyjne konferencje, granty czy na oferty udziału w projektach badawczych. Nie chodzi zresztą tylko o indywidualnych studentów. Dziennik „The Times” ujawnił w 2022 r., że brytyjskie uczelnie przyjęły w sumie 240 mln funtów od chińskich instytucji, w tym powiązanych z siłami zbrojnymi.

NOWA ERA | Tymczasem zaledwie osiem lat wcześniej – dziś wydaje się, jakby to była inna epoka – ówczesny szef rządu David Cameron ogłaszał „złotą erę” w relacjach z Chinami i popijał piwo z przewodniczącym Xi Jinpingiem w pubie niedaleko Chequers, wiejskiej rezydencji brytyjskich premierów. Wyspy miały być wtedy najważniejszym partnerem Pekinu na Zachodzie.

Wprawdzie dziś Państwo Środka nadal jest ważnym brytyjskim partnerem handlowym, ale na stosunkach obu krajów ciążyą takie sprawy jak poparcie Pekinu dla Moskwy czy łamanie praw obywatelskich w Hongkongu – i w ogóle likwidowanie autonomicznego statusu tego miasta. Choć przecież z chwilą, gdy w 1997 r. Londyn oddawał tę byłą kolonię Chinom, te zagwarantowały poszanowanie jej odrębności.

W 2021 r., po stłumieniu przez Pekin fali protestów (ich apogeum przypadło na lata 2019-20), Wielka Brytania uruchomiła program imigracyjny dla mieszkańców tracącego autonomię Hongkongu. Zgodnie z nim każdy Hongkończyk, który posiada tzw. brytyjski paszport zamorski, może osiedlić się na Wyspach i pracować tutaj lub studiować. Do końca

sko ujawnił „The Times” – oraz jeszcze drugiego mężczyzny, którego danych nie podano, doszło jeszcze w marcu. Jednak wcześniej nie poinformowano o tym ani opinii publicznej, ani – co w tym przypadku istotne – parlamentarzystów. Nawet tych, którzy są na tzw. „czarnej liście” Pekinu, a mogli mieć kontakt z domniemanym szpiegiem.

Cash, który został aresztowany, a następnie zwolniony za kaucją, twierdzi, że jest niewinny, i że nie tylko nie jest szpie-

GARY WATERS / EAST NEWS

→ marca tego roku Londyn zaaprobował ponad 166 tys. wniosków Hongkończyków w ramach tego programu, a także zawiesił traktat z Pekinem o ekstradycji.

NAGRODA ZA EMIGRANTA | Wśród tych, którzy przybyli z Hongkongu na Wyspy, są także dysydenci. I to oni są teraz szczególnie zaniepokojeni sprawą szpiega w parlamencie.

Jednym z nich jest Finn Lau, działacz ruchu demokratycznego. Za informacje prowadzące do zatrzymania jego i kilku innych aktywistów władze Hongkongu (kontrolowane przez Pekin) wyznaczyły w lipcu nagrodę w wysokości 100 tys. funtów. Tymczasem w 2022 r. Lau spotkał się w pełnym zaufaniu z Cashem.

„Nikt mnie nawet nie poinformował o jego aresztowaniu, dowiedziałem się z mediów” – mówił teraz Lau w „Wall Street Journal”, dodając, że sprawa ta budzi obawy dotyczące bezpieczeństwa osób współpracujących z rządem brytyjskim. Podobnie widzi to Amnesty International. „Jeśli to prawda, to ten skandal szpiegowski (...) realnie naraża działaczy tych grup, którzy wierzyli, że są chronieni, gdy szukają pomocy lub przekazują parlamentarzystom istotne informacje” – tak o uchodźcach z Hongkongu i Tybetu, a także o Ujgurach mówiła Polly Truscott z AI.

ZAWODOWO I TOWARZYSKO | Obawy mają też sami parlamentarzyści: uważają, że powinni zostać ostrzeżeni zaraz po aresztowaniu analityka. Ci, którzy w związku ze swymi krytycznymi wypowiedziami na temat łamania praw człowieka zostali przez Pekin objęci sankcjami, uważają, że byli jednym z celów chińskiej aktywności.

Wśród nich jest minister ds. bezpieczeństwa Tom Tugendhat, wcześniej współzałożyciel China Research Group. Powstała ona z inicjatywy posłów Partii Konserwatywnej, a jej celem jest promowanie dyskusji o relacjach między Londynem a rosnącym w siłę Pekinem. Grupa starała się m.in., aby rząd zakazał sprzedaży sprzętu chińskiego koncernu Huawei dla sieci 5G na Wyspach.

To właśnie w China Research Group Cash znalazł swoje pierwsze zatrudnienie w Westminsterze; było to w 2021 r. Później został analitykiem w zespole szefowej parlamentarnej komisji spraw zagranicznych. Teraz podkreśla się, że jego kontakty

z Tugendhatem były rzadkie, a od kiedy w ubiegłym roku został on ministrem – zerowe. Niemniej Cash miał być w Westminsterze bardzo aktywny – i zawodowo, i towarzysko, np. organizując regularne spotkania w pubie dla młodych asystentów, doradców politycznych, analityków z think tanków i dziennikarzy.

„To wyjątkowo niebezpieczna sytuacja. Oto w miejscu podejmowania decyzji i przekazywania wrażliwych informacji mamy człowieka, który ma szpiegować dla chińskiego rządu” – oburzał się w wypowiedzi dla „The Times” sir Iain Duncan Smith, jeden z objętych sankcjami Pekinu posłów Partii Konserwatywnej. „Jestem w szoku – mówił inny parlamentarzysta. – Ile jeszcze jest takich osób w parlamencie, dla których możemy być celem?”.

ZMIANA STRATEGII | Zanim trafił do Westminsteru, Cash studiował historię na szkockim Uniwersytecie St. Andrews, a następnie wyjechał do Chin, by w ramach projektu British Council uczyć literatury angielskiej w Hangzhou. Po powrocie kontynuował studia w Londynie, tym razem na kierunkach związanych z gospodarką i Chinami. A później udało mu się dostać do serca brytyjskiej polityki. Jeśli podejrzenia wobec niego się potwierdzą, to jest prawdopodobne, iż zwerbowano go podczas pobytu w Chinach.

Według Paddy’ego McGuinnessa, byłego doradcy rządu ds. bezpieczeństwa, Chiny od dawna starają się uzyskać wpływy w Westminsterze, ale dotąd robiły to przez pozornie komercyjne lobbowanie, uczestnictwo w wydarzeniach w parlamencie czy poprzez dezinformację. Rekrutacja brytyjskich pracowników – w celu uzyskania zarówno informacji, jak też wpływu na pracę partii politycznych – jest już czymś innym; to działanie „bardziej agresywne i trudniejsze do wykrycia”.

To jeden z najbardziej frapujących aspektów afery „szpieg w parlamencie”: pokazuje, że w zakulisowych działaniach Chin nie chodzi już tylko o informacje na temat technologii, o transfer wiedzy czy o przejęcie firm, lecz że gra toczy się o wyższą stawkę – o zmianę kierunku ustawodawstwa oraz uzyskanie wpływu na procesy decyzyjne rządu i parlamentu.

Już rok temu szef MI5 ostrzegał, że Chiny mają cele długoterminowe i mogą

inwestować w ludzi na początku ich kariery w polityce lub szerzej: w życiu publicznym. W połowie września okazało się też, że w ostatnich latach MI5 dwukrotnie informował Partię Konserwatywną, iż dwóch potencjalnych kandydatów na ich listach wyborczych prawdopodobnie pracuje dla Chin.

SOLIDNY PRAGMATYZM | „Przyszłoby mi łatwo, a może nawet z pewną satysfakcją ogłosić jakiś rodzaj nowej zimnej wojny i wskazać izolację Chin jako nasz cel – mówił w kwietniu szef brytyjskiej dyplomacji James Cleverly. – Byłoby to łatwe i byłoby to błędne, gdyż byłaby to zdrada naszego interesu narodowego i umyślne niezrozumienie współczesnego świata”. Cleverly podkreślał, że żaden z globalnych problemów nie może być rozwiązany bez udziału Chin. Niedawno, w sierpniu, Cleverly był z pierwszą od 2018 r. wizytą w Pekinie.

Również premier Sunak jest przeciwny zimnowojennej retoryce i idei ignorowania Chin. Zgadza się jednak, że wcześniej-sza rzekoma „złota era” we wzajemnych stosunkach była naiwnością i że po życzeniowym myśleniu przyszła pora na „solidny pragmatyzm”.

Jak on ma wyglądać w obliczu coraz szerszej szpiegowskiej aktywności Pekinu? W brytyjskim rządzie i parlamencie nie brakuje jastrzębi, prących do twardszego stanowiska i bardziej radykalnych gestów. Wśród nich prym wiedzie była premier Liz Truss.

W BLETCHLEY PARK | Po aresztowaniu podejrzanego analityka wzrosła presja na premiera Sunaka, by uznać oficjalnie Chiny za „potencjalne zagrożenie dla brytyjskiego bezpieczeństwa i interesów”. Oznaczałoby to, że każdy, kto w Wielkiej Brytanii pracuje dla chińskiego państwa lub instytucji z nim powiązanej, musiałby zgłosić to w powstającym rejestrze Foreign Influence Registration Scheme. Zatajenie takiej aktywności byłoby przestępstwem, karanym pięcioma latami więzienia.

Na razie jednak, mimo napięć, Chiny zostały zaproszone na organizowany przez Sunaka szczyt w sprawie sztucznej inteligencji i bezpieczeństwa. Odbędzie się w listopadzie w Bletchley Park – tam, gdzie w czasie II wojny światowej łamano szyfry wroga. ©© PATRYCJA BUKALSKA



*Pasażerowie
na stacji kolejowej
w Los Angeles,
31 sierpnia 2023 r.*

Powtórki z pandemii nie będzie

MACIEJ MÜLLER

Covid to dziś inna choroba niż jeszcze dwa-trzy lata temu. Jednak koronawirusa nie można ignorować. Rządy amerykański czy brytyjski podchodzą poważnie do rosnącej liczby pacjentów w szpitalach – w Polsce problem zniknął z agendy publicznej.

WSZYSTKIE WSKAŹNIKI ZNOWU ROSNĄ: zakażenia, powikłania, hospitalizacje – alarmują nagłówki mediów z prawie całego świata.

W Stanach Zjednoczonych od kilku tygodni rośnie liczba hospitalizowanych pacjentów z covidem. Ostatnie opublikowane dane, z 9 września, wskazywały, że w szpitalach leży ich 16 tys., podczas gdy

tydzień wcześniej było ich 14,7 tys., dwa tygodnie wcześniej: 12,9 tys. Ekspertci jednak uspokajają: to liczby niewielkie w porównaniu np. ze szczytem fali wywołanej wariantem Omikron: 15 stycznia 2022 r. w Stanach odnotowano prawie 151 tys. hospitalizacji. Szczególnego zaniepokojenia nie zgłaszają też anestezjolodzy: nie wzrasta istotnie liczba chorych, których trzeba leczyć na oddziałach intensywnej terapii.

Amerykański rząd federalny podszedł jednak do sprawy poważnie: postanowił przywrócić – od poniedziałku 25 września – program wysyłania do domów bezpłatnych testów antygenowych na covid. Z kolei Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorób (CDC; to agencja rządowa) zaleciło przyjęcie dawek przypominających szczepionki wszystkim Amerykanom od szóstego miesiąca życia.

Omikron, Eris, Pirola

Obawy przed koronawirusem rosną także w Europie – w Hiszpanii, Wielkiej Brytanii czy w Rosji. W niektórych regionach tych krajów wraca reżim noszenia maseczek ochronnych, wprowadzają je niektóre szpitale czy organy państwowe (np. Kreml, choć tutaj nie powinno to dziwić, zważywszy na obsesję Putina na punkcie zdrowia). W Hiszpanii w ostatnich tygodniach wskaźnik zachorowań wyniósł ponad 130 przypadków na 100 tys. mieszkańców, a w czerwcu było

to tylko 30 przypadków. Chorują głównie seniorzy.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła ostatnio, że Europie grozi wzrost hospitalizacji z powodu zakażeń SARS-CoV-2. Oraz sklasyfikowała wykrywany ostatnio coraz częściej wariant Pirola (BA.2.86) jako „będący przedmiotem zainteresowania”. Wcześniej na tę listę wpięła wariant Eris (EG.5.1).

Obecnie za większość zakażeń w Europie i USA odpowiedzialny jest właśnie wariant Eris (15 proc. infekcji w Wielkiej Brytanii i 20 proc. w USA) oraz wariant Kraken (XBB.1.5). Od tych dwóch Pirolę odróżnia ogromna liczba nowych mutacji – ponad trzydzieści.

Warto dodać, że wszystkie wymienione warianty są pochodnymi Omikrona, który w porównaniu do poprzednich wariantów, np. Deltę, o wiele skuteczniej zakażał, natomiast wywoływał znacznie mniej groźne objawy.

Rząd brytyjski po komunikacie WHO – i po wzroście hospitalizacji, przypominającym dynamikę tego w Stanach – rozpoczął wcześniej, niż pierwotnie planował, akcję szczepień dla osób z grup ryzyka: powyżej 65. roku życia oraz z osłabioną odpornością.

A w Polsce? Nie wiadomo

Polskie Ministerstwo Zdrowia raportowało 22 września liczbę 213 zakażeń koronawirusem. Wynika to jednak

→ ze znikomej liczby przeprowadzanych testów – tylko ok. tysiąca dziennie. Realnej sytuacji epidemicznej nie znamy, ale wątpliwe jest, by ominęły nas światowe trendy, także te dotyczące hospitalizacji. Wariantu Pirola jeszcze u nas nie wykryto, do 15 września odnotowano natomiast kilkanaście zakażeń wariantem Eris. Za większość infekcji jest nadal odpowiedzialny „starszy” Kraken.

Wirusolog prof. Agnieszka Szuster-Ciesielska w rozmowie z PAP wymieniła typowe objawy zakażenia Erisem: to chrypka, ból mięśni, katar, zmieniony smak i węch. „WHO zapewnia, że nie ma obecnie dowodów na cięższy przebieg infekcji” – zaznaczyła.

– Wzrost na świecie liczby cięższych przypadków covidu w wyniku zakażenia wariantem Eris wynika najprawdopodobniej nie ze wzrostu samej zjadliwości wirusa, czyli jego zdolności do mnożenia się w organizmie i jego uszkodzania – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem” epidemiolog i specjalista zdrowia publicznego dr Rafał Halik. – Chodzi raczej o to, że nowy wariant powoduje więcej infekcji „przebijających” odporność nabytą w wyniku szczepień i zachorowań. Do tego dochodzi ogólny spadek odporności, wynikający z malejącej liczby przeprowadzanych szczepień i naturalnego wytracania pamięci immunologicznej w populacji.

Covid i kampania

Covid nadal potrafi wywołać ciężkie zachorowania, choć jest ich niewiele. – W największym zagrożeniu są osoby starsze i dotknięte chorobami przewlekłymi. Dlatego tak ważne jest, by się szczepić. A rządy powinny zapewnić dostępność szczepionek dostosowanych do nowych wariantów – mówi Rafał Halik.

Odpowiadając na pytania dziennikarzy, Ministerstwo Zdrowia oznajmiło ostatnio, że w najbliższym sezonie infekcyjnym polscy pacjenci będą mieli dostęp do szczepionek, a wśród nich będą „także nowe, celowane w wariant Kraken. Jeśli proces rejestracyjny nowej wersji produktu zakończy się pomyślnie, zostaną one dostarczone do Polski jesienią tego roku”. Urzędnicy podkreślają przy tym, że Kraken „jest subwariantem Omikronu, co oznacza, że dotychczasowe szczepionki są względem niego skuteczne”.

Epidemiolog dr Rafał Halik oczekuje od władz, by zachęcały do podwójnych szczepień na covid i grype przed sezonem jesienno-zimowym, zanim poczekalnie wypełnią się kaszlącymi pacjentami.

Poza tym jednak, od kiedy 1 lipca zniesiono stan zagrożenia epidemicznego i ostatnie obostrzenia, czyli konieczność noszenia maseczek w szpitalach i aptekach, temat covidu właściwie zniknął w Polsce z agendy publicznej. W kampanii wyborczej jest nieobecny, choć niedawny raport NIK-u, pełen przykładów nieudolności władz i marnotrawstwa środków publicznych w okresie pandemii, powinien dostarczyć opozycji tematów.

Powtórki nie będzie

Co robić, aby nie stracić kontroli nad wirusem? – Testować – odpowiada Halik. – Obecnie testowanie nie ma cech nadzoru epidemiologiczno-wirusologicznego. Wykonuje się je w celach terapeutycznych, aby przez identyfikację zaradka powodującego infekcję dobrać odpowiednią metodę leczenia. Żeby kontrolować stan epidemiczny, należałoby systematycznie testować próbki z reprezentatywnych grup ludności i sekwencjonować wirusa, co pozwala określić jego wariant. Dzięki temu można za pomocą technik statystycznych dość precyzyjnie oszacować faktyczną skalę zachorowań w populacji. Taki system testowania i nadzoru epidemiologicznego o nazwie Sentinel istnieje w przypadku grypy. Władze powinny zastanowić się nad podobnym rozwiązaniem dla covidu.

Halik uważa, że nie grozi nam powtórka z roku 2020. SARS-CoV-2 nie będzie w stanie wywołać nowej światowej pandemii, nie zmusi rządów do ogłaszania lockdownów, a przed oddziałami ratunkowymi nie zobaczymy sznurów karetek z duszącymi się pacjentami.

– Musimy jednak pamiętać, że takie infekcje jak grypa i covid mogą doprowa-

dzić u osób starszych i schorowanych do groźnych dla życia powikłań sercowo-naczyniowych, mogących się kończyć chorobą zatorową, udarami, zawałami – podkreśla Halik. – Skala takich powikłań w całej populacji jest duża i często nawet nie zdajemy sobie sprawy, że udar albo zator u starszej osoby uruchomiła wcześniejsza infekcja. Dlatego warto przed sezonem jesienno-zimowym zaszczepić się i na covid, i na grype.

Problem w tym, że obecnie zaszczepić się na covid nie jest łatwo: trzeba dużo dobrej woli i determinacji. Rafał Halik oczekuje od władz, by zachęcały do akcji podwójnych szczepień przed sezonem jesienno-zimowym, jeszcze zanim poczekalnie lekarzy pierwszego kontaktu wypełnią się kaszlącymi pacjentami cierpiącymi na infekcje górnych dróg oddechowych. – A lekarze POZ powinni edukować pacjentów, by się szczepili i poznali zagrożenia związane z infekcjami – dodaje.

Gorsza kondycja

To sprawa, która dotyczy nie tylko indywidualnego zdrowia Polaków, ale całego systemu. – Polska ochrona zdrowia ma na tle krajów zachodnioeuropejskich wiele deficytów i ledwo radzi sobie z bieżącymi problemami zdrowotnymi ludności – uważa Halik. – Które, nawiasem mówiąc, także są poważniejsze niż w innych krajach unijnych.

Wśród nich jest tzw. dług zdrowotny, czyli problemy wynikające z zaniedbania różnych schorzeń w okresie pandemii, kiedy dostęp do lekarza był utrudniony lub wręcz niemożliwy. Opóźniona diagnostyka np. nowotworu czy choroby serca sprawiła, że leczenie jest znacznie trudniejsze, kosztowniejsze, a rokowania gorsze.

Halik ocenia, że Polacy mają gorszą kondycję zdrowotną niż społeczeństwa zachodnie. – W roku 2017 mieliśmy lekcję przy epidemii grypy: w styczniu umieralność podskoczyła o 24 proc. w stosunku do stycznia poprzedniego roku. To pokazało, w jak dużym stopniu polska populacja jest wrażliwa na takie ataki sezonowe zakażeń. A przecież do grypy czy RSV doszedł covid, czyli nowa choroba zakaźna powodująca powikłania.

Dlatego nawet jeśli covid nie jest dziś tak zabójczy jak w poprzednich latach, nie możemy go ignorować.



Lubow Jarowa z suczką Peremohą, Zaporże, sierpień 2023 r.

Gdyby nie pies

TEKST I ZDJĘCIA

PAWEŁ PIENIAŻEK Z ZAPOROŻA

Po tym, jak otarli się o śmierć, mieszkańcy obwodu zaporoskiego inaczej patrzą na zagrożenia, które niesie pobliski front. Oto historie dwojga z nich.

NA ZAPOROSKIM BŁOKOWISKU 60-LET-NIA Lubow Jarowa spaceruje z psem. Ten mały biały kundel w brązowe łaty uratował jej życie. Ale o tym za chwilę. Najpierw opowiedzmy, skąd kundelek się wziął.

14-tysięczny Orichiw, położony 60 km na południowy wschód od Zaporża, w którym był jej dom, i gdzie Lubow pracowała jako dyrektorka centrum twórczości dziecięcej i młodzieżowej, znalazł się blisko linii frontu już w pierwszych dniach rosyjskiej inwazji.

Pewnego dnia Lubow zwróciła uwagę, że mimo ostrzału sąsiedzi zostawiają psa na ulicy. Przestraszone zwierzę widziało, jak schodzi do piwnicy, i biegło za nią. Gdy ona szła do pracy, pies za nią biegł. Potem sąsiedzi uciekli z Orichiwa, a psa zostawili. Jarowa długo mówiła na czworonoga „pies”. W końcu uznała, że trzeba dać suczce imię. Zdecydowała, że będzie to Peremoha – Zwycięstwo.

W tym czasie dziecięce centrum rzecz jasna już nie funkcjonowało. Lubow zajęła się pomocą humanitarną dla mieszkańców, organizowała w szkole punkt niezłomności. Tam ludzie mogli się posilić, dostać leki, zrobić pranie, umyć się, skorzystać z satelitarnego internetu czy po prostu odpocząć. Gdy ona szła do punktu, Peremoha znów biegła za nią. Tak mijały im razem dni w ciągle ostrzeliwanym mieście.

Kiedyś pewien wojskowy powiedział o niej i innych wolontariuszkach, które zostały, że są samobójczyniami – bo choć wiedzą, że śmierć stale krąży nad nimi, nie opuszczają miasta. Najpierw się obraziła. Potem przyznała, że coś jest na rzeczy.

DŹWIĘKI Z MARIUPOLA | Także w Zaporżu mieszka dziś 64-letni Serhij Szewczuk. Mimo złego stanu zdrowia szybko i pewnie mknie po krętych korytarzach gmachu biblioteki naukowej. Jakby do-

brze znane mu ściany odmładzały go o dwie dekady. Historyk pasjonat, spędził tu dużo czasu, pracując nad książkami krajoznawczymi.

Kiedyś, przed inwazją, Serhij przyjeżdżał do zaporoskiej biblioteki z rodzinnej wsi Szewczenkowe, położonej 90 km na południowy wschód od miasta. Była niewielka, żyło w niej może 800 osób. Po 24 lutego wieś znalazła się pod okupacją, a on wraz z nią. Choć wcześniej działał w obronie terytorialnej i patrolował ulice, choć wywieszał flagę na domu i opowiadał się po stronie Ukrainy, został we wsi, gdy przyszli do niej Rosjanie.

Do wsi docierały dźwięki z Mariupola, oddalonego o 70 km, który był wówczas pod morderczym ostrzałem. Odbывało się to jakby zgodnie z grafikiem: zaczynali o piątej i walili do późnej nocy, potem było trochę spokoju. Odcięci od informacji, mieszkańcy wsi dopiero od uciekinierów dowiedzieli się, że w Mariupolu jest coraz gorzej. A przybywało ich coraz więcej. Szewczuk pamięta, że gdy chodził po chleb, to czuł się, jakby żył w mieście, takie były tłumy. Tylko Rosjan długo nie było tu widać. Choć ludzie mówili, że są dookoła.

Dlatego każdy, z kim rozmawiał Szewczuk, myślał, że ich wieś ominie najgorsze, a wojna szybko się skończy. On też tak myślał.

→ **TO NIE NASI** | Mimo że wraz z żoną mogli wyjechać jednym z tzw. korytarzy dla cywilów, które otwierały się od czasu do czasu, postanowili zostać. W telewizji słyszeli, że ukraińska armia wkrótce odzyska te terytoria. Szewczuk chciał być na miejscu, by w takiej sytuacji pomóc wojskowemu np. jako przewodnik.

Któregoś ranka poszli do miejsca, gdzie był zasięg i skąd można było zadzwonić. Zbierało się tam zawsze trochę ludzi. Słychać było straszny hurkot. Obok były tory, więc myśleli, że to pociąg. „To jedzie sprzęt wojskowy” – ocenił Szewczuk. „Nasi!” – krzyknęła jakaś kobieta z nadzieją w głosie. „To nie nasi” – uciął Szewczuk.

Sąsiedzi, których dom wychodził na drogę, naliczyli 250 pojazdów i zaprzestali rachunków. Z krótką przerwą na noc kolumna ciągnęła przez półtorej doby. Była zapowiedzią nowego – okupacji.

Choć początkowo nie było żadnych zmian, po pewnym czasie z sąsiednich wsi zaczęły docierać informacje o rewizjach. I znów, jak wcześniej – działo się to wszędzie dookoła, ale nie w Szewczenkowem, więc ludzili się, że ich to ominie. Aż któregoś deszczowego poranka przyjechały dwie ciężarówki. Jedna zablokowała drogę na początku wsi, druga na końcu. Uzbrojeni ludzie zaczęli wchodzić na podwórka, sprawdzać, co jest w stodołach. Zaglądali pod kanapy i do szafek. Gdy nie było właścicieli, włamywali się. Wtedy ominęli dom Szewczuka, ale potem przyjeżdżali wielokrotnie, więc ostatecznie i jego to nie ominęło.

ROSJANIE I „KOŁOBKI” | W trakcie okupacji najbardziej uderzyło Szewczuka to, jak zmienili się ludzie.

W Szewczenkowem od urodzenia żyło kilku etnicznych Rosjan. Mówili po rosyjsku i oczekiwali, że inni też będą z nimi rozmawiać w tym języku. Nie mieli z tego powodu problemów, żyli jak wszyscy. Ale gdy przyszły rosyjskie wojska, zaczęli powtarzać klisze, że wcześniej byli obrażani, a teraz mogą być wolni, i że Rosjanie to super naród. Mówili, że na Ukrainę trzeba rzucić bombę atomową. „A gdzie ty, głupku, mieszkasz?” – zachodził w głowę Szewczuk. Gdy mówił po ukraińsku, wyzywali go od banderowców.

Były też „kołobki”, jak Szewczuk żartobliwie określa kolaborantów. Nie mógł ich znieść. Tych młodych kobiet,



Zdjęcia, flagi i kwiaty upamiętniające poległych żołnierzy z Zaporozża

które piekły nadziewane bułki i przynosiły je rosyjskim wojskowym, kręcącym się po bazarze w sąsiedniej wsi. Tych mieszkańców, co prosili o rosyjskie flagi, o suchy prowiant czy propagandowe gazety. Ekspedientki w sklepie, co z własnej woli kazały płacić w rosyjskich rublach, a nie ukraińskich hrywnach. Miejskowych urzędników, którzy wydawali się rozsądni, a poszli na współpracę.

Nadzieje na kontrofensywę malały, za to coraz częściej docierały wieści o aresztach. Córka Szewczuka z mężem mieszkali w okupowanym Enerhodarze, gdzie jest największa w Europie elektrownia atomowa. Była ostrzeliwana i ostrzegano, że może dojść do katastrofy. Szewczuk martwił się o bliskich. Ale gdy córka z rodziną w końcu wyjechali (przez Krym i Rosję dotarli do Łotwy), zapomniał o zagrożeniu atomowym.

Wraz z żoną zaczęli rozważać wyjazd z Szewczenkowego. Na drodze stanęła im awaria samochodu. Plan ucieczki rozciągał się w nieskończoność.

NAGŁY WYJAZD | Aż nagle dopadła go ciężka choroba. Jego stan szybko się pogarszał. Trafił do szpitala. Lekarze powiedzieli mu, że jeśli nie trafi do lepszego szpitala, pożyje nie więcej niż kilka dni. Lekarz-Rosjanin chciał go wysłać do Doniecka lub na Krym. Ale on nie chciał jechać w głąb okupowanych terytoriów.

Ostatecznie kierowca zawiózł Szewczuka – za sowitą opłatą – przez wciąż otwarte wtedy rosyjskie i ukraińskie posterunki do Zaporozża. Tam przeszedł trzy

operacje. Żona dojechała po miesiącu, bo tuż po wyjeździe Szewczuka ruch cywilny poprzez linię frontu został wstrzymany. Miała szczęście, że nie zwlekała, bo mniej więcej tydzień później ostatni działający przejazd w linii frontu został zamknięty na dobre.

Znajomi nie mogli uwierzyć, że Szewczuk przeżył okupację. On sam też nie wie, jak to się stało, że nikt na niego nie doniósł. Wierzy, że gdy lata temu był nauczycielem, został dobrze zapamiętany. A może miał po prostu szczęście, może było tylko kwestią czasu, kiedy rosyjskie służby się nim zainteresują?

W Zaporozżu Szewczuk co i rusz zagląda do biblioteki, jak kiedyś. Spadającymi od czasu do czasu na miasto rakietami ani pobliską elektrownią atomową – jak twierdzi – się nie przejmując. Zwykły patrzeć w przyszłość z optymizmem.

PIWNICA NIE OCHRONI | Wróćmy do Lubow Jarowej i do jej Orichiwa.

Zanim powstał punkt niezłomności, organizowała pomoc w radzie miejskiej, zabytkowym budynku z XIX w. (zbudował go pierwszy mer miasta, menonita Heinrich Jantzen). Peremoha była z nią i niczym etatowy pracownik siedziała w rejestracji na swoim taborecie. Jechała też z Lubow, gdy ta wiozła pomoc humanitarną w teren, więc gdy ludzie widzieli kręcącą się Peremohę, wiedzieli, że coś przywieziono.

Początkowo, gdy zaczynał się ostrzał, urzędnicy z rady miejskiej biegli do piwnicy, do której wejście znajdowało się na podwórku. Z czasem przywykli i coraz



Serhij Szewczuk w podziemiach zaporoskiej biblioteki, sierpień 2023 r.

częściej ignorowali zagrożenie. Jak wtedy, gdy strasznie łupnęło. Wszyscy mieszkańcy, którzy akurat byli w budynku, mieli biec do ukrycia. Pracownicy zostali, bo chcieli dokończyć papierkową robotę.

Początkowo na miasto spadały głównie rakiety kasetowe, które rozpadają się na drobne ładunki o dużym polu rażenia. Ich ofiarami często padają cywile. Z tego względu wiele państw podpisało konwencję o niestosowaniu tej broni, jednak nie zrobiły tego Rosja ani Ukraina (ani też Polska). – Wówczas myśleliśmy, że kasety są bardzo niebezpieczne i straszne, ale przed nimi można się ukryć pod ziemią. A jak lecą kierowane bomby, to nie pomoże nawet piwnica – przyznaje Jarowa.

Tamtego dnia, gdy nastąpił drugi wybuch i posypało się szkło z okien, pobiegli do piwnicy. Siedzieli w niej, a ostrzał się nie kończył. Ziemia się trzęsła. Gdy wreszcie ucichło, wyszli i zobaczyli, że pierwsze piętro rady miejskiej częściowo nie istnieje.

Później budynek był wielokrotnie pod ostrzałem, więc pracownicy postanowili się z niego ewakuować. Wywieźli komputery i sprzęt do Zaporozia.

W PIWNICY | Pociski spadały na Orichiw coraz częściej. Obok domu Jarowej przynajmniej pięć. Po kolei niszczyły dach, okna, drzwi, aż wreszcie spłonęła klatka schodowa. Obecnie mieszkania są niezdatne do życia, a wszystko, co było w środku, strawił ogień. Pozostały wypalone ściany. Lubow została w tym, co miała na sobie.

Po jednym z ostrzałów wolontariusze zabronili chwilowo przychodzić ludziom do punktu niezłomności. Sami zostali, by przenieść stołówkę z parteru do piwnicy. Mieli nadzieję, że to uchroni ich w razie trafienia.

W trakcie tej roboty na ekranie telefonu Jarowej pojawiło się ostrzeżenie, że na miasteczko lecą kierowane bomby lotnicze. Zwykle mieli do czterech minut, by się ukryć. Zeszli do piwnicy: sześć kobiet, trzech mężczyzn i dwa psy. Rozsiadli się w pomieszczeniu służącym jako pokój odpoczynku. Kobiety rozmawiały. Lekarka zapraszała jedną z nich, Olhę, by pomogła jej przy rannych. Sama obecność innego człowieka koła nerwy rannych. W końcu zaczęły rozmawiać o tym, jak rozpoznać wstrząśnienie mózgu. Lekarka mówiła, że trzeba stanąć na jednej nodze. Olha od razu praktykowała to na sobie. Zanosił się śmiechem.

PIERWSZA BOMBA | Śmiech przysłał im oczekiwanie: czy bomba spadnie blisko, czy może tym razem przeleci dalej. Ale gdy pojawiała się informacja, że leci prosto na Orichiw, to nigdy nie oznaczało nic dobrego. – Tyle razy po nas bili, że straciłyśmy granicę strachu. Jak walnie, to podniesiemy się z krzeseł i weźmiemy do pracy – mówi dziś Jarowa, jakby opowiadała o końcu przerwy.

Peremoha siedziała obok niej. Rozległ się huk, wysiadł agregat, zgasło światło i zniknął internet. Zrozumieli, że uderzyło blisko. „Teraz nie będziemy wiedzieć, kiedy skończy się alarm” – narzekała Olha.

Jarowa poszła do innego pokoju, by zabrać plecak i latarkę. Peremoha nie poszła za nią. Dlatego nie została w tamtym drugim pokoju, lecz wróciła do pokoju odpoczynku, bo nie chciała, żeby pies był sam. W trakcie ostrzałów Peremoha trzęsła się i chciała, by trzymać ją na rękach. W tym samym pokoju została tylko jedna z kobiet, Tetiana.

Minęło kilka minut i walnęło znowu. Tym razem nastał zupełny mrok, bo wzbił się pył, którego nie przebijało nawet światło latarki. Coś posypało się na Jarową. Drugi pies żałośnie zawył i Jarowa, choć nie mogła nic dostrzec, rozumiała, że to krzyk agonii zwierzęcia. Szła po omacku, potykała się, bo wstrząs powywracał meble.

Pył trochę osiadł, a przez przebity sufit wpadało światło słoneczne. Wówczas Jarowa zaczęła się rozglądać. Jedna z kobiet była przytomna, ale ranna w nogę. Spod zawałiska dochodziły krzyki.

TERAZ TO GDYBANIE | Wejście do piwnicy było zawałone. Dopiero po jakimś czasie ludzie, którzy przybiegli na pomoc, wybili dziury. Spod zawałiska wyciągnęli trzy kobiety. Jedna miała ubrania w strzępach. Siedziała goła i w szoku mówiła, że musi znaleźć torbę z dokumentami. Kolejna kobieta miała rozległą ranę głowy. Innej Jarowa nie mogła poznać, bo całą twarz miała w pyłe i krwi, strasznie płakała. W końcu poznała ją po ubraniu.

Przyjechały służby ratunkowe i na noszach przez szczelinę udało się wynieść wolontariuszkę z raną głowy. Gdy przenosili drugą, opadła jej złamana ręka, a ona zaczęła wyć z bólu. Kolejna, bardziej korpulentna, nie mieściła się i musiała czekać, aż uda się poszerzyć wyrwę.

W piwnicy zginęło pięć osób. W tym Olha i jej mąż Witalij. Ich siedmioletni syn w jednej chwili został sierotą.

Dzisiaj Lubow Jarowa zastanawia się, że może zamiast sprzątać, trzeba było punkt niezłomności po prostu zamknąć. A może powinna była powiedzieć wszystkim, żeby wrócili z korytarza do pokoju? Ale teraz to już tylko gdybanie.

W każdym razie, powtarza sobie dziś Jarowa, gdyby nie pies, pewnie zostałaby z innymi. © PAWEŁ PIENIAŻEK

Tekst powstał dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Lot ku legendzie

DOMINIK WILCZEWSKI

Miał to być dar, jaki dwaj emigranci składają młodej Litwie: ich przelot przez Atlantyk. 90 lat temu Steponas Darius i Stasys Girėnas nie dotarli jednak do celu. Dziś kraj wspomina ich jak bohaterów.

NAZYWANI SĄ DZISIAJ „SKRZYDLATYMI Litwinami”. Taki ich wizerunek, wykreowany wkrótce po ich śmierci, utwierdził – paradoksalnie – film zrealizowany w czasach sowieckich, w 50. rocznicę katastrofy „Lituaniki” (jak nazywali swój samolot). „Lot przez Atlantyk” Raimondasa Vabalasa był hitem: w kinach i domach kultury obejrzało go wtedy 650 tys. widzów, co piąty mieszkaniec sowieckiej Litwy.

Jednak w tamtych czasach ich historia mogła być opowiedziana tylko zgodnie z dyrektywą komunistycznej propagandy. W swoim filmie Vabalas przemycił wprawdzie akcenty patriotyczne – jak scena rozgrywająca się w USA, gdy zebrani wokół ognisk litewscy emigranci śpiewają pieśń „Litwo droga” do słów wieszczki z przełomu XIX i XX w., księdza Maironisa – film sugerował zarazem, że samolot zestrzelili Niemcy. W jego scenach końcowych, gdy rozpętuje się burza, słychać strzały.

Komentarz zza kadru precyzował: Niemcy zestrzelili „Lituanicę”, bo chcieli ukryć przed światem informację o obozie koncentracyjnym, nad którym lecieli Litwini. „Naziści ogłosili, że do katastrofy doszło z powodu trudnych warunków atmosferycznych i zapalenia się samolotu nad Soldinem [dziś Myślībórz]” – głosił lektor, dodając, że „burżuazyjny rząd Litwy” pomógł ukryć zbrodnię.

W rozpowszechnianiu propagandowej wersji nie przeszkodziło, że we wraku nie było śladów po kulach, ani to, że rzekomy obóz w Berlinchen (Barlinku) nigdy nie istniał.

Dla młodej Litwy

Fakty są takie: rankiem 15 lipca 1933 r. z lotniska w Nowym Jorku wystartował jednopłatowiec Bellanca CH-300 Pacema-

ker. Celem było Kowno, wtedy stolica Litwy. Długość trasy wynosiła 7186 km (nie planowano międzylądowania). Samolot miał lecieć wzdłuż wybrzeża Ameryki w stronę Nowej Funlandii, potem przez Atlantyk, nad Irlandią, Londynem, Świnoujściem i Królewcem.

Na pokładzie było dwóch Litwinów, obywateli USA: 37-letni Darius i 39-letni Girėnas (w paszportach mieli inne dane; o perypetiach związanych ze zmianą nazwisk za chwilę). Urodzili się na ziemiach litewskich, wówczas we władaniu Rosji, ale większość dorosłego życia spędzili w USA. Ich lot poprzedziła kampania, dziś powiedzielibyśmy marketingowa, w czasie której zbierali środki na realizację swojego planu. Lot miał być darem dla młodej Litwy, świętującej 15-lecie państwowości.

Byli bliscy sukcesu. Pokonali Atlantyk, powtarzając wyczyn Charlesa Lindbergha, który w 1927 r. jako pierwszy przeleciał z Ameryki do Europy bez międzylądowania. Tragiczny finał nastąpił, gdy „Lituanica” znalazła się nad Niemcami, w okolicy Szczecina. Samolot wpadł w chmury burzowe, piloci musieli zmienić kurs i obniżyć lot. Przy ograniczonej widoczności, będąc na niskiej wysokości, uderzyli w wierzchołki drzew.

Był 17 lipca, 24 minuty po północy, gdy samolot roztrzaskał się w lesie w okolicy wsi Kuhdamm (dziś Pszczelnik w powiecie myśliborskim). Piloci zginęli na miejscu.

Początek legendy

Choć byli obywatelami USA, odpowiedzialność za ustalenie przyczyn wypadku wzięła na siebie Litwa (Stany zgodziły się na to, wyłączając się ze sprawy – dominiowały tam nastroje izolacjonistyczne,



nie chciano też zadrażniać relacji z Niemcami, gdyby okazało się, że samolot zestrzelono.). Władze III Rzeszy, choć nie były wcześniej poinformowane o locie, podjęły współpracę z Litwą, organizując przekazanie ciał i wraku.

Na Litwę, gdzie ogłoszono żałobę narodową, trumny dotarły 19 lipca. Na kowieńskim lotnisku czekało na nie 50 tys. ludzi. Lotników obwołano bohaterami. Prezydent Antanas Smetona, rządzący od zamachu stanu w 1926 r., uhonorował ich Krzyżem Pogoni, zasadniczo przyznawanym za odwagę na polu walki. 20 lipca odbył się uroczysty pogrzeb; mszy przewodniczył abp Juozapas Skvireckas, przemówienie wygłosił premier Juozas Tūbelis.

Taki był początek legendy. W jej rozpowszechnieniu w społeczeństwie pomogła wielokrotnie cytowana, także przez Tūbelisa, podniosła deklaracja, wpisana przez Dariusa i Girėnasa do księgi pamiątkowej lotu. Stała się ich testamentem: „LITUANICA zwycięska niech umacnia duch synów młodej Litwy i zachęca ich do nowych wyczynów / LITUANICA przez zwyciężoną i tonącą w głębinach Oceanu Atlantyckiego niech wychowuje młodych Litwinów w uporze i stanowczości, aby Skrzydlaci Litwini pokonali wreszcie zwodnicze wody Atlantyku na chwałę Ojczyzny Litwy! / Tak i ten nasz



NAC

*Steponas Darius (z lewej)
i Stasys Girėnas przed samolotem
„Lituanica”, lipiec 1933 r.*

lot dedykujemy i ofiarowujemy Tobie,
Młoda Litwo!”.

Z ziemi żmudzkiej

W paszportach pilotów widniały zangielszczone wersje ich nazwisk: Stephen W. Darius i Stanley Girch. Z niewymawialnych w Stanach litewskich form zrezygnowali, wstępując w 1917 r. do armii amerykańskiej. Darius było prawdopodobnie zdrobnieniem od drugiego członu nazwiska ojca (Jucevičius-Darašius), a Girch – zangielszczoną formą nazwiska Girskis. W czasie kampanii na rzecz wsparcia dla ich lotu ten pierwszy znów stał się Steponasem Dariusiem, a Girch – za radą emigracyjnego dziennikarza Petrasa Jurgėli (odpowiedzialnego za kampanię) – Girėnasem, od litewskiego słowa „*giris*” oznaczającego puszcę.

Kościelne metryki świadczą, że byli Żmudzinami. Darius urodził się w 1896 r. w wiosce Rubiškės jako Steponas Jucevičius, a Girėnas w 1893 r. w Vytogali jako Stanislovas Girskis. Te żmudzkie wsie dzieli 30 km. Popularny na Litwie stereotyp przypisuje Żmudzinom praktyczność i zapobiegliwość, a zwłaszcza upór. Obaj pochodzili z chłopskich domów, niezamierzonych, choć rodzinie Jucevičiusów, o korzeniach częściowo szlacheckich, powodziło się nieźle. Gospodarstwo Gir-

skisów było z kolei małe, nie dało się z niego utrzymać. Przyszli lotnicy w młodym wieku stracili bliskich – Darius ojca, a Girėnas oboje rodziców.

Amerykański sen

Dla wielu Litwinów ucieczką przed biedą, a czasem też przed represjami carskich władz była wtedy emigracja, głównie do Ameryki Północnej. Na początku XX w. przybrała charakter masowy: o ile do 1899 r. w USA osiedliło się 50 tys. Litwinów, o tyle do 1914 r. przybyło ich kolejne 250 tysięcy. Tworzyli duże kolonie w takich stanach jak Pensylwania, Nowy Jork, Michigan czy Illinois.

Większość pracowała ciężko w kopalniach, hutach, szwalniach. Do poprawy warunków pracy doprowadziła wydana w 1906 r. i głośna wtedy powieść lewicującego pisarza Uptona Sinclaira „The Jungle” (polski przekład „Grzęzawisko” ukazał się w 1949 r.), pokazująca realia życia Litwinów zatrudnionych w maszyniach w Chicago, urągające godności. Poruszony lekturą prezydent Theodore Roosevelt nakazał inspekcję w zakładach, a powołane wówczas federalne struktury kontrolne dały początek późniejszej Agencji Żywności i Leków.

Za ocean ruszyła też rodzina Jucevičiusów. W Chicago otworzyli stołówkę dla rodaków. Do tego miasta trafił również Stanislovas Girskis: wraz z bratem dołączył do mieszkających tam kuzynek i pracował m.in. jako goniec w drukarni. Gdy w 1917 r. Stany włączyły się do Wielkiej Wojny, obaj Litwini zgłosili się ochotniczo. Darius trafił na front, walczył we Francji, a za odniesione rany dostał Purpurowe Serce. Girskis, wówczas już Girch, służył w USA jako mechanik w oddziale lotnictwa w Teksasie.

Dalej, wyżej, szybciej

Wojna doprowadziła do upadku imperia rządzącego Europą Środkową. Pojawiły się nowe państwa, także Litwa: jej niepodległość ogłoszono 16 lutego 1918 r. Ale również ona musiała jeszcze wywalczyć swoje granice, a Darius zapragnął dołączyć do armii litewskiej: zaczął zbierać chętnych wśród żołnierzy litewskiego po-

chodzenia, organizował broń. Udało mu się wrócić na Litwę ze stu ochotnikami.

Spędził tam kolejne lata. Został oficerem, w 1923 r. dołączył do bojowników, którzy wywołali w Kłajpedzie (jako miasto sporne będącej pod zarządem Francji) udane powstanie i przyłączyli ją do Litwy. Młoda armia potrzebowała lotników – gdy okazało się, że nie boi się wysokości i ma orientację w przestrzeni, skierowano go na kurs pilotażu. Brał też udział w organizowaniu życia sportowego: uprawiał wyczynowo boks, grał w koszykówkę i piłkę nożną (trafił do reprezentacji kraju), popularyzował baseball, zakładał litewski aeroklub.

Girch, zwolniony do cywila, osiadł znów w Chicago, kupił auto i zaczął pracować jako taksówkarz. Później prowadził firmę taksówkarską, zatrudniając ok. 50 kierowców. Rozwijał swoją pasję jako mechanik, a w 1927 r. otrzymał uprawnienia pilota i latał amatorsko.

Także w 1927 r. Darius zwolnił się z litewskiego wojska i wrócił do USA, co po latach tłumaczono konfliktem z przełożonymi (mieli być niechętni pomysłem młodego oficera, jak reformować armię na wzór USA). W Stanach został zawodowym pilotem w lotnictwie cywilnym. Rozpoznawalny w środowisku diaspory, założył Aeroklub „Vytis”. Były to pionierskie czasy długodystansowego lotnictwa, a piloci budzili podziw wyczynami. Trwała rywalizacja, kto polecie dalej, wyżej, szybciej. Darius był pod wrażeniem lotu Lindbergha.

Tandem

Wokół znajomości Dariusa i Girėnasa narosło wiele mitów. Ostatnio mierzyła się z nimi historyczka Grażina K. Sviderskytė, która sprawie „Lituaniki” poświęciła kilka lat badań, a w 2019 r. wydała na Litwie książkę „Lituanica. Nematoma pusė” (Lituanica. Niewidoczna strona). Wcześniej przekopła się przez 40 tys. stron dokumentów w archiwach na Litwie, w Niemczech i USA, z których wiele było dotąd nieznanym rodzimym badaczom.

Przyszli towarzysze poznali się więc najpewniej w prowadzonej przez siostry Dariusa stołówce, którą odwiedzał Girskis. Wbrew obiegowej opinii nie łączyła ich przyjaźń, swoją współpracę traktowali niemal jak partnerstwo biznesowe. Ideę lotu wymyślił →

→ Darius, który w tym tandemie był liderem. Girsksis, zainteresowany techniką, akceptował to. Negocjowanie umowy trwało rok, ostatecznie partnerzy zdecydowali się na zakup samolotu ze wspólnych środków, wspólny lot i podzielenie się zyskami z książki, którą miał potem napisać Darius.

Kupiona w 1932 r. bellanca kosztowała 3,2 tys. dolarów. Przez kolejne miesiące obaj uczestniczyli w kampanii promocyjnej: na festynach lotniczych i zawodach akrobacyjnych, organizowanych w skupiskach litewskiej diaspory, zbierano środki na przebudowę samolotu (m.in. dodatkowe zbiorniki i lepszy silnik). Zebrano 8,5 tys. dolarów. Pomalowana na pomarańczowo, maszyna otrzymała imię „Lituanica”. Władze Litwy nie były wcześniej zaangażowane we wsparcie lotu, jedynym partnerem po stronie litewskiej był aeroklub.

Według ustaleń Sviderskytė, Darius i Girėnas nie byli jednak tak dobrze przygotowani do lotu, jak przedstawiano to po katastrofie. Nie byli też aż tak dobrymi i doświadczonymi pilotami. Zaryzykowali jednak.

Plotki

Dochodzenie trwało kilka miesięcy. Komisja, której przewodniczył Antanas Gustaitis (jeden z pionierów litewskiego lotnictwa wojskowego), ogłosiła wyniki swych prac w październiku 1933 r.: samolot miał dość paliwa, by dolecieć do Kowna, a przyczyną, dla której zmienił kurs i obniżył lot, najprawdopodobniej był silnik, który w warunkach burzy zaczął przygasać (komisja wskazała na zanieczyszczenie rdzą filtra paliwa i gaźnika). Piloci zapewne chcieli lądować. We wraku nie znaleziono śladów po strzałach.

Rezultaty badań nie przekonały rozmocjonowanej opinii publicznej, która zaczęła dawać wiarę najbardziej nieprawdopodobnym plotkom. Wówczas, po dojściu do władzy nazistów, Litwini postrzegali Niemcy jako kraj nieprzychylny. Wiadomo było, że III Rzesza chce odebrać Kłajpedę i wybrzeże Bałtyku, gdzie dominowała ludność niemieckojęzyczna. Antyniemieckie nastroje umacniały Litwinów w przekonaniu, że za katastrofą musiał stać Berlin. Prasa pisała o „promieniach śmierci” – tajnej broni przeciwlotniczej, która



Msza w miejscu śmierci Steponasa Dariusa i Stasysa Girėnasa, Pszczelnik, lipiec 2007 r.

oślepiła pilotów. Mimo dementi władz Litwy i Niemiec plotki zataczały coraz szersze kręgi.

Synowie ludu

Po II wojnie światowej Litwa znalazła się pod sowiecką okupacją, a Darius i Girėnas popadli w zapomnienie. Poświęconą im ekspozycję w kowieńskim Muzeum Wojny, której główną częścią był wrak „Lituaniki”, rozebrano. Komuniści likwidowali wszystko, co kojarzyło się z wolną Litwą.

O pilotach przypomniano sobie w czasie „odwilży” pod koniec lat 50. Patriotyczne akcenty były teraz mile widziane, ale pod warunkiem, że służą komunistom. Tak stało się z Dariusem i Girėnasem: kierując się wytycznymi Komunistycznej Partii Litwy, z przedsięwzięcia „self-made manów” propaganda uczyniła „synów ludu pracującego”.

Wedle tej narracji piloci rzucili wyzwanie nie tylko Atlantykowi, lecz też władzom „burżuazyjnej” Litwy i III Rzeszy, zostali zestrzeleni, a rząd w Kownie potwierdził kłamliwe tezy niemieckiego śledztwa. Ich szczątki, które zabalsamowano i umieszczono w kaplicy wydziału medycznego uniwersytetu w Kownie, zostały w 1963 r. „odnalezione” (jak ogłosiła propaganda). Urządzono im nowy pogrzeb, a w 1968 r. ekshumowano i znów pochowano. Spoczywają na cmentarzu w kowieńskiej dzielnicy Aukštėjėi Sančiai (Górne Szańce).

Są dziś jeszcze na Litwie ludzie, którzy wierzą w plotkę o zestrzeleniu, choć po odzyskaniu niepodległości w 1991 r. była ona wielokrotnie dementowana. Na potrzeby badań Sviderskytė przeprowadzono analizę hydrometeorologiczną, która umożliwiła rekonstrukcję warunków lotu i potwierdziła wersję o katastrofie.

Dzień Jedności

Gdy po 1945 r. miejsce katastrofy znalazło się w PRL, zadanie bycia kustoszami pamięci wzięła na siebie litewska społeczność w Polsce. W tamtej epoce kolejne rocznice wypadku pod Pszczelnikiem były dla polskich Litwinów (zamieszkujących głównie Suwalszczyznę) jedną z niewielu okazji do manifestacji swojej odrębności i tożsamości. O pamięć o Dariusie i Girėnasie dbają oni i dziś. W Muzeum Etnograficznym w Puńsku (woj. podlaskie) przechowywana jest drewniana 6-metrowa kapliczka słupowa, którą w 1936 r. delegacja z Litwy ustawiła w miejscu katastrofy.

Uwolnieni od roli „synów ludu pracującego” Darius i Girėnas weszli dziś w nową. Dla rozsianych po świecie Litwinów – którzy podobnie jak ich rodacy sprzed stu lat ruszają za granicę w poszukiwaniu lepszego życia – są symbolem oddania dla ojczyzny, bez względu na miejsce zamieszkania. A rocznica katastrofy obchodzona jest na Litwie i w diasporze jako Światowy Dzień Jedności Litwinów.

© DOMINIK WILCZEWSKI

JACEK

Podsiadło: Licznik gazowy rozbija głowy



FUSZERKI BUDOWLAŃCÓW I MIESZKANIA nienadające się do mieszkania były w PRL-u tak powszechne, że narzekano na nie właściwie tylko *pro forma*. Już w piosence Zofii Grabińskiej z 1956 r. młodzi małżonkowie cieszą się, że w nowym domu nic nie działa: „Po schodach tup tup tup, bo winda wciąż jak słup... Do wody różę wstaw, brak wody, ach... Okna jakoś domkniemy, monter zreperuje gaz... Za wąskie drzwi ciut ciut, mówiłam, żebyś schudł... Jedno pociesza nas: rakiety rychły start na jedną z gwiazd” (rok później ZSRR wystrzeli na orbitę Sputnika). Ta głęboko budyjska postawa akceptująca kosmiczny porządek świata, nawet gdy oznacza on kosmiczny bałagan w mieszkaniu, potwierdził się w 1973 r., kiedy reporter „Przemian” spędzi jeden „dzień przyjęć” w gabinecie prezesa Kieleckiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Opiszę m.in. przypadek Zofii S. co roku przychodzącej dopłacać do mieszkania, którego jeszcze nie otrzymała, a które z roku na rok drożeje. Kiedy prezes na pożegnanie dodaje jej otuchy słowami: „Proszę być dobrej myśli, jeszcze w grudniu przyjdzie pani ze skargą na usterki”, trudno wyobrazić go sobie inaczej niż jako Gustawa Lutkiewicza, który grał prezesa u Barei. Inną petentkę, która już się wprowadziła do M2, prezes zapytał, jak się mieszka. Odpowiedź brzmiała: „Na razie mamy kłopoty z drzwiami, oknami i podłogą, ale jesteśmy szczęśliwi, bo jesteśmy u siebie”.

Elżbieta Cebula po odwiedzinach przyjaciółki w Bytomiu w 1956 r. była w takim szoku, że nawet „rakiety rychły start” nie złagodził przykrych wrażeń. Podzieliła się nimi w liście do „Przyjaciółki”: „Gdy kładłyśmy się spać, koleżanka zamknęła okna. Po długich moich perswazjach zostawiła okna otwarte. (...) Owej nocy zabiłyśmy 6 myszy w łóżkach i dwie na firankach. Gdy pada deszcz albo gdy jest wiatr, w kuchni nie chce się wcale palić i dym bucha z komina do mieszkania. Z sufitu natomiast ciurkiem leje się woda tak, że mieszkanie zamienia się w staw i można łowić ryby. Balkon jest dziurawy, ledwo wisi i grozi zawaleniem”.

Walka z własnym nieprzytulnym gniazdkiem była nieraz walką o życie. „Kronika Filmowa” z 1962 r., pokazując nowe mieszkanie w bloku, niepokoiła się: „Łazienka gazowa, trumienka gotowa. Nie wiadomo tylko, czy najpierw nastąpi wybuch, czy też przedtem woda zaleje cały lokal”. „Myślę czasem o samobójstwie” – zwierzał się „Głosowi Koszalińskiemu” w 1973 r. 78-latek, któremu dwa lata wcześniej w związku z „nadmetrażem” przymusowo dokwaterowano lokatorów. Lokatorzy jak lokatorzy: „Piją, libacje urządzają, a z kuchni co i raz coś ginie. Droga Redakcjo – nie mogę całą noc pilnować kawałka kielbasy czy chleba”. A uczestniczka konkursu pamiątnikarskiego „Robotnicze losy” wspominała wspólne mieszkanie z córką i zięciem:

„Oboje moi »sublokatorzy« palili dużo, nawet w nocy. (...) W końcu doszło do rękoczynów. Zaczęło się od złamania palca podczas wydzierania mi z ręki listu nie do nich adresowanego (...) a kiedy podczas remontu próbowałam ocalić rodzinną pamiątkę – portret męża, który wisiał w pokoju, zostałam dotkliwie pobita i wrzucona pod maszynę do szycia, w wyniku czego doznałam wstrząsu mózgu”.

Wielką życiową przegraną stanowiło zamieszkiwanie w Krakowie przy ul. Wygranej 4, przynajmniej w latach 70. „Dziennik Polski” informował: „Od przeszło trzech miesięcy zatkałe są oba pionys, w związku z czym fekalia z ustępów wylewają się na piętra, ponieważ w tym domu na każdym półpiętrze na balkonach są dwa ustępy, używane przez cztery rodziny”. Na miejsce katastrofy wysłano red. Antoniego Kowalskiego – niestety bez fotografa, w związku z czym kwestię dwóch ustępów na każdym balkonie musimy pozostawić wyobraźni. Reporterski zwiad wykazał, że mieszkańcy odmalowali rzeczywistość w na zbyt brązowych barwach. Np. mieszkańcy drugiego piętra mogli po nim spacerować suchą stopą, „ponieważ poziom w przewodach kanalizacyjnych jeszcze do nich nie doszedł, tak że na schody się nie wylewało. Po kostki było na parterze i między nim a pierwszym piętrzem”.

Białoszewski w „Chamowie” opisał swoje pierwsze dni w mrówkowcu na Saskiej Kępie w 1975 r. Także wizytę „wstrzeliwaczo-uszczelniacza”, który miał przyjść z zamkowstawiaczem, ale przyszedł sam, bo kumpel „widocznie sobie popił”. „Umówiłem się na zamek jutro. Bo ten jedyny dotychczasowy obluźował się i wczoraj nie bardzo chciał mi się zamknąć. Drzwi po obiciu blachą gorzej się otwierają. (...) Zepsuł się do reszty rezerwuar w łazience. (...) Wczoraj nagle nie było wody. Dobrze, że miałem w butelkach, do picia”.

W „Filipie z konopi” (Józefa Gębskiego, nie Barei) ankier zadał mieszkańcom pytanie: „Czy państwo zmieniliście coś w mieszkaniu?” „Tak: przestawiliśmy łazienkę, przesunęliśmy licznik, zmieniliśmy podłogę, zburzyliśmy jedną ściankę, postawiliśmy nową i zamurowaliśmy otwory wentylacyjne”. „A co by pani jeszcze chciała zmienić w mieszkaniu?” „Mieszkanie”.

Można by pomyśleć, że co jak co, ale przesunięty licznik w tym dialogu musiał wymyślić scenarzysta. Jednak niekoniecznie. Mieszkańców nowego bloku w Kielcach pytała o to samo w 1983 r. Irena Jarosz, znowu z „Przemian”: „Przestawiłem ściankę korytarza i mam teraz mieszkanie rozkładowe. Nic się nie zawaliło”. „Drzwi, jak się otworzy wejściowe i te do łazienki i jak się klamki zaczepią, to ani gościa wypuścić, ani się zamknąć w przybytku”. „Licznik gazowy rozbijał wchodzącemu głowę, więc przestawiłem przy okazji likwidacji kilku metrów zbędnego orurowania gazowego. Teraz chyba będę kuć sufit, bo idealny regał »Goleniów« trochę za wysoki”.

©

ZŁOTE SERCE

Piewca wsi w malarstwie, w kulturze rozpoznawalny
jako Gospodarz z „Wesela” Wyspiańskiego.
Mniej znany jako współtwórca niepodległości:
Włodzimierz Przerwa-Tetmajer.

PIOTR HAPANOWICZ

NALEŻAŁ DO GENERACJI POLAKÓW URODZONYCH W LATACH 60. I 70. XIX wieku, zwanej pokoleniem niepokornych. Był to okres przejściowy między upadkiem ducha po klęsce powstania styczniowego a powolnym jego dźwiganiem się u progu lat 80. tego stulecia.

Na świat przyszedł w ostatni dzień roku 1861 w Harklowej na Podhalu, w rodzinie ziemiańskiej, która w drugiej połowie XVIII w. przybyła do Galicji z Kurlandii lub Niemiec i szybko się spolonizowała. Jego ojciec Adolf brał udział w powstaniu listopadowym i konspiracji galicyjskiej, a gdy zabór austriacki uzyskał autonomię, był marszałkiem nowotarskiego powiatu i posłem na Sejm Krajowy we Lwowie.

Dom rodzinny Tetmajerów był miejscem obywatelskiej edukacji. Światopogląd Włodzimierza kształtowały wyniesione stąd ideały, a także lektura romantycznych poetów.

WOLNOŚĆ I RÓWNOŚĆ | Lata młodości Włodzimierza, który studiował filozofię i filologię klasyczną na UJ oraz sztuki plastyczne w Szkole Sztuk Pięknych, to czas, gdy Galicja korzysta już z autonomii. To także początek fermentu ideowego na ziemiach polskich: rosnącego udziału mas ludowych w życiu publicznym i powstania ruchów masowych – socjalistycznego, ludowego, narodowego, syjonistycznego.

On swoją działalność – początkowo artystyczną – wywodził z zainteresowania

polskimi dziejami i tradycją. Zafascynowany kulturą ludową, miał szacunek dla wsi. Ożenił się zresztą z chłopką z podkrakowskich Bronowic Małych, Anną z Mikołajczyków. Ich ślub w 1890 r. stał się sensacją towarzyską Krakowa, a nawet powodem izolacji Tetmajera ze strony sporej części jego środowiska. Dekadę później będzie pierwowzorem dla postaci Gospodarza z „Wesela” Wyspiańskiego.

Jego obrazy z motywami wiejskimi to spojrzenie na naturę i człowieka, i na często trudny związek między nimi. Ale paść tę wyrażał nie tylko obrazami – jako polityk będzie potem propagować wyzwolenie ludu wiejskiego z wszelkich zależności i włączenie go do wspólnoty narodowej. Wierzył, że chłopci odegrają znaczącą rolę w odrodzeniu Polski.

W RUCHU LUDOWYM | Jego ojcem duchowym był Tadeusz Kościuszko (nieprzypadkowo w latach 90. XIX w. współpracował z Wojciechem Kossakiem i Janem Styką przy „Panoramie Racławickiej”). Podobnie jak Kościuszko, Tetmajer uważał, że wolność to największe dobro, które powinno być dane każdemu narodowi i człowiekowi. Myślał przy tym w kategoriach nowoczesnego narodu politycznego, postulując wolność i równość dla każdego, niezależnie od statusu społecznego i materialnego.

Takie poglądy, jak również wrodzony optymizm, temperament i wiara w odzyskanie niepodległości – wszystko to

skłoniło go u progu wieku XX do wejścia w politykę. Wierzył, że marzenie o wolnej Polsce można ziszczyć tylko solidarnym wysiłkiem wszystkich warstw społecznych (nurt ten nazwano potem solidaryzmem narodowym).

Około roku 1900 włączył się w działalność tajnej Ligi Narodowej, która mobilizowała społeczeństwo do aktywności. Środowisko to wpłynęło potem na powstanie ruchu ludowego – i ostatecznie to z nim Tetmajer się związał. W PSL współpracował blisko z Wincentym Witosem; uchodził za łącznika między pravicowym nurtem PSL a Narodową Demokracją.

Pod wrażeniem masowych uroczystości z okazji 500-lecia bitwy pod Grunwaldem, które odbyły się w 1910 r. w Galicji, postanowił mocniej zaangażować się w sprawy publiczne. Był to czas, gdy wielu polskich polityków dochodziło w Austrii do stanowisk rządowych, z korzyścią dla Galicji. W 1911 r. Tetmajer został posłem z okręgu krakowskiego do parlamentu w Wiedniu. Odtąd dzielił czas między politykę, malarstwo i publicystykę.

„POLSKI PIEMONT” | W 1913 r. wraz z Witosem zaangażował się w działalność nowo powstałego PSL „Piast”, wchodząc później do jego władz. Jak pisał ludowiec Józef Rączkowski: „Nie było w klubie piastowca, który by się cieszył taką ogólną sympatią wśród kolegów, jak Tetmajer”.



Włodzimierz Tetmajer z małżonką Anną Mikołajczykówną, 1890 r.,
ze zbiorów rodziny artysty

Jako polityk i utalentowany publicysta wiele uwagi poświęcał idei odrodzenia państwa, gdy tylko pojawiały się sprzyjające warunki; interesował się też ekonomiczną przyszłością wsi. W opinii historyka Michała Sokolnickiego jako pierwszy z galicyjskich ludowców włączył się w prace wojskowe inicjowane przez Piłsudskiego – stał się współtwórcą Towarzystwa „Strzelec”, legalnej organizacji przysposobienia wojskowego.

Galicja była dla Tetmajera „polskim Piemontem” – tak jak region północnych Włoch stał się załącznikiem ich zjednoczenia, tak Galicja miała być załącznikiem wolnej Polski obejmującej wszystkie zabory. Należał do grona tych, którzy pracowali nad powołaniem organizacji mającej koordynować akcję niepodległościową w Galicji. W sierpniu 1912 r. brał udział w zjeździe organizacji niepodległościowych w Zakopanem i wszedł do zarządu

Polskiego Skarbu Wojskowego (Skarb zapewniał później wsparcie finansowe dla Legionów).

„Chwila nadchodzi ważna i dziwna, coś w powietrzu wisi, coś się gotuje jak w 1812 r.” – pisał jesienią 1912 r. w liście do poety Władysława Orkana. Uczestniczył wtedy w poufnych konferencjach ludowców, demokratów, konserwatystów i socjalistów, na których zapadały uchwały popierające organizacje strzeleckie, a potem wojskowe. Podczas takiej konferencji w październiku 1912 r. w Krakowie apelował o współdziałanie wszystkich ugrupowań, a w listopadzie jako delegat PSL przewodniczył w Wiedniu założycielskiemu zebraniu Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych.

WIELKA WOJNA | Jego największa aktywność publiczna przypada na czas I wojny światowej. Poparł czyn legionowy Piłsudskiego i wraz z innymi ludowcami był przeciwnikiem tzw. rozwiązania austro-polskiego – połączenia Galicji i Kongresówki w państwo związkowe należące do monarchii habsburskiej.

Podniesiona przez niego w Kole Polskim w Wiedniu w maju 1917 r. rezolucja w sprawie Polski niepodległej, złożonej z ziem trzech zaborów oraz z dostępem do Bałtyku, była aktem odwagi – za to mógł zostać posądzony o zdradę stanu.

Witos tak go opisał: „Był szczerym demokratą wierzącym w lud i budującym na nim. W czasie Wielkiej Wojny wykazał bardzo wiele odwagi i poświęcenia. Jako zwolennik koalicji [Ententy] nie tylko wierzył w jej zwycięstwo, ale i głośno o tym mówił. Wiarę w odrodzenie umiał także przelać na drugich”.

Jan Stapiński, też ludowiec i poseł w Wiedniu, pisał: „Jego niezwykła inteligencja, wielka wiedza, (...) poetyczna, szlachetna dusza, a co w działaniach politycznych bardzo ważne jego serdeczne ukochanie wsi polskiej i chłopów, to są skarby, które poseł Tetmajer wnosi do naszej pracy”.

ROZPACZ I BÓL | W październiku 1918 r. włączył się w proces przejmowania władzy z rąk austriackich. Uczestniczył w powołaniu Polskiej Komisji Likwidacyjnej dla Galicji i Śląska Cieszyńskiego i był szefem jej wydziału wojskowego. →



Legitymacja Włodzimierza Tetmajera uprawniająca do pozostania w Twierdzy Kraków, 1915 r., ze zbiorów rodziny artysty



Włodzimierz Tetmajer, *Krzyż w pustkowiu*, 1915 r., ze zbiorów Muzeum Krakowa

⇒ Uczestniczył w pracach mających zjednoczyć ruch ludowy, a na życzenie Piłsudskiego wszedł w skład grupy polskich ekspertów na konferencję pokojową w Paryżu.

Jednak, paradoksalnie, po odzyskaniu niepodległości on, jeden z jej współtwórców, nie odegrał już większej roli. Przed wyborami do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1919 r. oświadczył, że nie będzie kandydować. W okresie wojny polsko-bolszewickiej działał jeszcze w Komitecie Obrony Państwa na terenie Małopolski, wspierał też udział członków krakowskiego Związku Strzeleckiego w trzecim powstaniu śląskim w 1921 r.

Ostatnie trzy lata życia były jednak pełne rozpacz i bólu. Ciosem była dla niego śmierć ukochanego syna Jana Kazimierza, który 28 lipca 1920 r. zginął w walce z bolszewikami pod Brodami. Po tym odsunął się od świata i ludzi, od życia towarzyskiego, które dotąd tak lubił.

MIĘDZY NIEMCAMI A ROSJĄ | Obawiał się o przyszłość Polski, czemu dał wyraz w „Pismach politycznych” – mało znanych, a pisanych w ostatnim okresie życia. Podnosił w nich priorytetową kwestię wypracowania w państwie perspektywicznego programu polityki wewnętrznej

i zagranicznej. Jedyłą gwarancję bezpieczeństwa kraju widział w systemie sojuszy. Chciał ścisłego współdziałania z Węgrami i wskazywał, że szansą jest nawiązanie dobrych relacji z Litwą, Łotwą i Estonią.

Dostrzegając odradzającą się siłę Niemiec i przestrzegając przed ponownym zagrożeniem ze strony rosnącej w potęgę Rosji Sowieckiej. Zauważał, że carski imperializm „Iwanów, Piotrów, Katarzyn i Mikołajów zmienił tylko formę i »sztandar«, a na jego drodze do Europy leży Polska”. Pisał: „Pod jakimkolwiek sztandarem, przez jakich bądź wodzów prowadzona, Rosja nie zaniecha swego imperialistycznego programu dojścia do Bałtyku i wspólnej granicy z Niemcami”. Przestrzegając, że „razem tedy z Niemcami (...) dążyć będzie – bo musi – do zniszczenia Polski”.

TEMPERAMENT I SERCE | Zmarł 26 grudnia 1923 r. w wieku niespełna 62 lat. Żegnali go artyści i politycy od lewicy po prawicę. Wśród wienców był jeden z szarf: „Gorącemu i szlachetnemu sercu – Józef Piłsudski”. Spoczął na wiejskim cmentarzu w Bronowicach Wielkich.

Romantyk i idealista, ale obdarzony intuicją polityczną, on, człowiek czynu, w gruncie rzeczy stał się zaprzeczeniem postaci Gospodarza z „Wesela” – ten u Wyspiańskiego tracił jednak swój złoty róg. Towarzyski i popularny w środowisku artystycznym, dobrze czuł się i we fraku podczas oficjalnych spotkań, i w sukmanie.

Cechą, jaką podkreślało jego otoczenie, był optymizm. Witos notował, że słowa Tetmajera „[napębiają] nas otuchą, bo inaczej należałoby się chyba powiesić”. A w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” czytamy: „Orator typu dawnych sejmikowiczów szlacheckich, mówca urodzony i miodopłynny (...) odezwania się jego umiały trafiać zarówno do umysłu, jak do serca słuchaczy”.

Socjalista Emil Haecker tak o nim napisał: „Złote serce, fantazja »bajeczna«, charakter prawy i dzielny, popularna postać arcy-polska”. © PIOTR HAPANOWICZ

Do 12 listopada w Pałacu Krzysztofory, przy Rynku Głównym 35 w Krakowie, można zobaczyć wystawę „Włodzimierz Tetmajer. Siła barw i temperamentu”.

Człowiek, który milczał

JACEK TARAN

Banalność zła i obojętność wobec jego istoty – to oś biografii niemieckiego ornitologa Günthera Niethammera. Przez jej koleje prowadzą Beata Dżon-Ozimek i Michał Olszewski.

BYŁ ÓSMYM Z DZIEWIĘCIORG A DZIECI bogatego przemysłowca, zaangażowanego w życie polityczne Saksonii. Na świat Günter Niethammer przychodzi w roku 1908. W domu panuje kult mundurowości i dyscypliny. Starsi bracia Güntera walczą na froncie najpierw pierwszej, później drugiej wojny światowej. On sam, nie mogąc doczekać się powołania, już jako uznany i szanowany naukowiec zgłasza się ochotniczo do Waffen SS. Liczy na służbę w oddziałach zmotoryzowanych, ale ku swojemu rozczarowaniu zostaje wysłany do obozu w Auschwitz, gdzie przypada mu rola wartownika. Przez cały ten czas nie przestaje prowadzić swoich badań – a są to czasy, w których zabijanie zwierząt w celach naukowych jest normą.

Grozę budzą zestawienia jego zapisów ze śladami zbrodni zapisanymi w obozowych dokumentach. Warto przytoczyć kilka z takich zestawień: 16 czerwca 1941 r. Niethammer strzela do pustułki i cierniówki; z obozu ucieka Antoni Jeliński. 17 czerwca strzela do wróbla, a grupa pościgowa zabija uciekiniera Leona Zollowskiego, numer 9889. Tego samego dnia komendant Rudolf Höss, w odwecie za ucieczkę Jelińskiego, skazuje dziesięciu więźniów na śmierć gilotyną. Kiedy w sierpniu 1941 r. w czasie apelu Maksymilian Kolbe ofiaruje swoje życie za jednego ze współwięźniów, ko-

lekcja Niethammera powiększa się o cyrankę, główkę i podgorzałkę.

KONFRONTACJA jego codziennych zapisów z obozowymi dziennikami buduje dramaturgię tej opowieści. W przesłaniu, w której do gazu wysyłane są wagony z ludźmi, funkcjonuje człowiek, który nie wychodzi z roli naukowca, liczy ptaki – 128 gatunków w obozowej „strefie interesów”. Robi to wszystko w obliczu zbrodni, by później publikować wyniki badań, podpisując się jako żołnierz Waffen SS. Nie dostrzega dysonansu. Odwracając się plecami do zła, nie przestaje myśleć o karierze naukowej. Autorzy „Ptaki krzyczą nieustannie” – taki tytuł nosi książka Dżon-Ozimek i Olszewskiego – chłodno wyliczają jego kolejne naukowe osiągnięcia, uzyskiwane na tle krematorium.

„Ptaki krzyczą nieustannie” to nie tylko opowieść o człowieku, bezkrytycznie wpisującym się w system, ale też historia podporządkowywania nauki zbrodniczej ideologii. Dzieje się to często przy zgodzie naukowców albo przy ich bierności. Niethammer jest właśnie kimś takim. Sprawa, że nawet ornitologia służy systemowi. A ten się odpląca: uczeni stają się ważni, szanowani.

Autorzy stawiają pytania: o źródło zła, o postawy wobec spraw, które w swojej ostateczności przybierają najbardziej przerażającą formę. Nie szukają też dla Niethammera usprawiedliwienia – to, że nie stał w pierwszym szeregu zbrodniarzy, nie robił mienia zabijanych w obozie, w żaden sposób nie usprawiedliwia jego milczenia.

Rybitwa czarna schwytana przez Günthera Niethammera w Harmężach k. Oświęcimia. Kwiecień 1941 r.



Metryczka z podpisem Niethammera, 1941 r.

W CZASIE PROCESU czterdziestu strażników z Auschwitz, który odbył się pod koniec 1947 r. w Krakowie, esesman-ornitolog przyjmuje linię obrony powszechną dla podobnych postaci tamtych czasów: nic nie widział, nie wiedział, nic nie pamiętał. Otrzymuje wyrok ośmiu lat więzienia. Oburzona rodzina do końca próbuje udowodnić jego niewinność, doprowadza do skrócenia wyroku. Autorzy wprowadzą nie przytaczając dowodów na to, by móc zaliczyć Niethammera w poczet zbrodniarzy, ale próżno też szukać świadectw, by komuś pomógł w przeżyciu obozowego piekła.

To, co chyba najważniejsze w tej historii, to opis mechanizmu, który sprawia, że inteligentni i wrażliwi ludzie stają się bezrefleksyjnymi sługami ideologii. „Ptaki krzyczą nieustannie” to opowieść o cierpliwym wieloletnim formowaniu zbrodniarzy przez stopniowe nasączanie ich umysłów

atmosferą przyzwolenia na coraz śmielej postępujące zło. Wychowanie, wzorce, kult dyscypliny, władzy i siły prowadzą do zachowań, które pozwalają nie dostrzegać zła, być na nie obojętnym, impregnowanym. Auschwitz nie spada z nieba, ale mozolnie wykuwa się przez lata obojętności i konformizmu, często w imię do-
rażnych korzyści materialnych czy politycznych.

©P

Beata Dżon-Ozimek,
Michał Olszewski
**PTAKI KRZYCZĄ
NIEUSTANNIE**
Czarne,
Wołowiec 2023.



Debata o Markowej

ZUZANNA RADZIK

Nie mamy pewności, że zdarzyło się to, co opisuje Jehuda Ehrlich. Ale czytelnikowi znającemu realia okupacji i inne relacje z okolic Łańcuta jego opowieść nie wyda się zaskakująca.

POLEMIZUJĄCY Z MOIM TEKSTEM O BE-
atyfikacji Ulmów („TP” nr 39 oraz
na TygodnikPowszechny.pl/ulmowie)
Wojciech Pięciak stara się udowodnić, że
w Markowej podczas niemieckiej oku-
pacji nie miała miejsca krwawa syme-
tria zasług i win polskiej ludności, którą
rzekomo zbudowała jednym zdaniem
mojego tekstu („TP” nr 37). Nie starałam
się zbudować symetrii, lecz jedynie szyb-
ko naszkicować historię Ulmów, by za-
jąć się ich „życiem po życiu”. Chciałam
zaznaczyć, że choć w Markowej ocalało
21 Żydów, to rzeczywistością okupacyj-
ną tej, podobnie jak wielu innych wsi,
były także mordy i denuncjacje doko-
nywane przez nieżydowskich obywateli
Polski. Zrobiłam to, przywołując przy-
pominane w prasie i naukowych artyku-
łach świadectwo Jehudy Ehrlicha. Rozu-
miem, że realia polsko-żydowskich rela-
cji pod okupacją, które dają temu świa-
dectwu uwiarygadniający je kontekst,
nie dla wszystkich są oczywiste.

Nie ośmieliłabym się budować syme-
trii postaw mieszkańców Markowej rów-
nież dlatego, że z lektury opracowań hi-
storyków na temat tej wsi i okolic rysuje
się obraz mroczny, w którym nie może
być mowy o symetrii, choć jest krwawa.
Jak w wielu innych miejscach okupowa-
nej Polski, proporcja ratujących w sto-
sunku do zaangażowanych w wyszuki-
wanie, wydawanie i mordowanie zdaje
się nie wypadać korzystnie.

Zastanawiam się, co wzbudziło kontro-
wersje i zaskoczyło czytelników oraz mo-
jego redakcyjnego kolegę. Czy to, że we-
dług świadectwa Ehrlicha ukrywający
zamordowali 24 ukrywanych dokładnie
dzień po egzekucji Ulmów, co w sumie
wydaje się racjonalną, choć okrutną odpo-
wiedzią na brutalny mord i denuncjacje,
które miały służyć zastraszeniu ludności?
Czy też samo zestawienie, że w Markowej
nie tylko ratowano, ale też mordowano?

REKONSTRUKCJA REALIÓW ukrywania się
Żydów na polskiej prowincji po deporta-
cji z gett, czyli w trakcie tzw. trzeciej fazy
Zagłady, jest trudna do przyjęcia dla Pola-
ków. Nie tak wyobrażaliśmy sobie okupa-
cję, bo znaliśmy ją wspominaną głównie
z nieżydowskiej perspektywy. Uzupeł-
nienie obrazu o świadectwa Żydów i akta
powojennych procesów zmieniło funda-
mentalnie naszą wiedzę. Po to autorzy



**Markowa:
symetrii
nie było**

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Wojciech Pięciak

Kiedy z tą wiedzą spojrzymy na Mar-
kową, różnorodne postawy mieszkańców
tej wsi nas nie zdziwią. Szczegóły tej histo-
rii można poznać, zestawiając ostrożny
w formułowaniu wniosków artykuł Ma-
teusza Szpytmy („Zeszyty Historyczne
WiN-u”, nr 40/2014) i czerpiący mocno
z relacji żydowskich świadków artykuł
Dariusza Libionki i Jana Grabowskiego
(„Zagłada Żydów. Studia i Materiały”,
nr 12/2016). Pewien schemat możliwych
osób i ich postaw powtarza się w całym
kraju, co pokazywali już w 2005 r. Jakub
Petelewicz i Alina Skibińska („Zagłada
Żydów. Studia i Materiały”, nr 1/2005).
Zmienną jest gorliwość, własna inicjatywa
i motywacje poszczególnych aktorów.

TRZONEM KRYTYKI Wojciecha Pięciaka jest
podważanie wiarygodności świadectwa
Jehudy Ehrlicha. W polemice zdziwiło
mnie, to że jej autor podważa wiarygod-
ność Ehrlicha z pomocą o pół wieku póź-
niejszej wersji wydarzeń, opowiedzianej
w audycji radiowej przez Abrahama
Segala [Żyda z Markowej, uratowanego
– red.]. Zaskoczyły mnie też spekulacje, że
prawdopodobnie Ehrlich pomylił dzień
po egzekucji Ulmów z łapaną z jesieni
1942 r., gdy zginęła podobna liczba Ży-
dów. Ehrlich jako dorosły obserwator,
który musi wiedzieć, co dzieje się w oko-
licy, by przetrwać, zdaje się bardzo świa-
domy chronologii wydarzeń, gdy pisze
o własnym ukryciu się, o nachodzących
jego gospodarzy niedługo po tym Pola-
kach i potem dopiero o tym, co zdarzyło
się w Markowej.

Tak, jest to jedyne znane nam świa-
dectwo o pomordowanych po egzeku-
cji Ulmów innych ukrywanych Żydach.
Tu wyłania się większe metodologiczne
pytanie: o wiarygodność pojedynczego
świadectwa ofiary Zagłady. To również
pytanie o wiarygodność pojedynczego
żydowskiego świadectwa oskarżającego
Polaków, których głosy siłą rzeczy są bar-
dziej liczne i przeczą jego opisowi zda-
rzeń. Jak większość Żydów, Ehrlich nie
czekał na możliwość złożenia świadectwa
przed powojennym sądem, tylko ratował
się ucieczką i emigracją. Swoje zeznanie
powierzył nowo powstałej żydowskiej in-
stytucji dokumentującej Zagładę. Nawet
jeżeli jego świadectwo nie jest precyzyjne,
czytelnikowi znającemu realia okupacji
i inne relacje z okolic Łańcuta jego opo-
wieść nie wyda się zaskakująca. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 40/2023

A photograph of a city skyline, likely Chicago, reflected in a pool of water. The skyline features several prominent skyscrapers, including the Willis Tower. The reflection is clear and detailed, mirroring the buildings and the sky. The water is calm, and the sky is blue with some clouds.

**MUZEUM
HISTORII POLSKI
OTWARCIE**

Punkty wspólne

ROBERT KOSTRO, DYREKTOR MUZEUM HISTORII POLSKI:

Z mojego doświadczenia wynika, że wbrew pozorom istnieje w Polsce możliwość wypracowania konsensusu co do rzeczy ważnych i fundamentalnych, nawet budzących takie emocje jak narodowa historia.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Już za chwilę otwarcie gmachu Muzeum Historii Polski.

ROBERT KOSTRO: Prace trwały w sumie 17 lat i obfitowały w dramatyczne zwroty akcji. Był nawet moment, w okolicach 2013 r., gdy wydawało mi się, że nic już z tego nie będzie. Później jednak wsparła nas minister Małgorzata Omiłanowska, a potem, kluczowy dla naszego projektu, wicepremier Piotr Gliński – i to za jego przyczyną sprawy nabrały tempa. W 2015 r. zrodził się pomysł, żeby Muzeum znalazło się na terenie warszawskiej Cytadeli. Gdy już decyzje o finansowaniu zapadły, wydawało się, że najtrudniejsze za nami. Ale to jak z chodzeniem po górach – co jakiś czas wydaje się, że szczyt jest już blisko, a nie jest to prawda. Po drodze mieliśmy poważne wyzwania techniczne, wydarzyła się także pandemia, wojna w Ukrainie, kryzys ekonomiczny. Na szczęście to wszystko już za nami. Przed nami pozostanie jeszcze zbudowanie wystawy stałej MHP – wierzę, że otworzymy ją do 2026 r. Pierwszych zwiedzających przywita wystawa czasowa „Wielkie i małe historie. Tworzenie kolekcji Muzeum Historii Polski”.

Budynek to jedno – a koncepcja merytoryczna Muzeum? Też były przygody?

Sama idea Muzeum zrodziła się na początku lat dwutysięcznych. Ministrem kultury był podówczas Kazimierz Ujazdowski, a wiceministrem Tomasz Merta. Wtedy polityka pamięci, tak jak ją rozumiemy dziś, dopiero nabierała kształtów, nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. Wcześniej, pod koniec lat 90. powstał Instytut Pamięci Narodowej, a Andrzej Przewoźnik wybudował cmentarze katyńskie i rozpoczął renowację Cmentarza Orłąt Lwowskich. Ale jeśli mówimy o dużych muzeach z własnym gmachem

– stworzonych zarówno fizycznie, jak i merytorycznie od zera – to właściwie od końca lat 30. aż do 2004 r., gdy otworzono Muzeum Powstania Warszawskiego, żaden tego typu projekt nie został w Polsce zrealizowany.

Nastaly lepsze czasy dla muzeów?

W latach 90. na całym świecie zaczęto nieco inaczej myśleć o przeszłości, także w kontekście muzealniczym. W tym okresie w Niemczech powstały Muzeum Historii Niemiec i Dom Historii Republiki Federalnej Niemiec. Nieco wcześniej otworzono Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie oraz nową wystawę w Yad Vashem. Trwała też debata wokół planowanego podówczas w Niemczech Centrum przeciwko Wypędzeniom. To ważne konteksty, gdyż pokazują, że pomysł Muzeum Historii Polski nie zrodził się w próżni, tylko był częścią szerszego, globalnego procesu. Wówczas też rodziło się przekonanie, że wiele elementów polskiej historii wymaga ponownego przemyślenia, większej uwagi, przedstawienia w formie muzealnej – od Rzeczypospolitej Szlacheckiej, przez II wojnę światową aż po czasy Solidarności.

Niektóre z tych wątków czy wydarzeń doczekały się tymczasem odrębnych instytucji pamięci.

Co mnie ogromnie cieszy, choć oczywiście żałuję, że Muzeum nie otwarto wcześniej. Powstanie takich nowoczesnych instytucji jak Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum POLIN, Europejskie Centrum Solidarności, Muzeum Drugiej Wojny Światowej, Muzeum Piłsudskiego w Sulejówku czy mniejszych wystaw, jak choćby „Kraków – czas okupacji 1939-1945” w Fabryce Schindlera, pokazuje, że zapotrzebowanie na muzea poświęcone polskiej historii jest ogromne.

Muzeum Historii Polski ma jednak większe, bardziej przekrojowe ambicje.

To rzeczywiście nieco inna perspektywa, niemniej analogiczne muzea istnieją, niektóre działają już od XIX wieku, choćby w Pradze, Budapeszcie, w Niemczech czy krajach skandynawskich i USA.

Interpretacja przeszłości, nie tylko przecież w Polsce, zawsze budzi duże emocje. W przypadku muzeum traktującego historię kraju całościowo musiały być one szczególnie duże.

Polemizowałbym z tezą o nieuniknionych kontrowersjach. Spory, które obserwowaliśmy w ostatnich latach wokół różnych muzeów, dotyczyły przede wszystkim obsady i pomysłów na prowadzenie placówki. Wyjątkiem jest sytuacja Muzeum Drugiej Wojny Światowej, gdzie faktycznie doszło do zderzenia wokół wystawy stałej odmiennych wizji tego, jak należy przedstawiać przeszłość. Z mojego doświadczenia wynika, że wbrew pozorom istnieje w Polsce możliwość wypracowania konsensusu co do rzeczy ważnych i fundamentalnych, nawet budzących takie emocje jak narodowa historia.

To budująca myśl.

Życie polityczne i medialne rządzi się swoimi prawami – to właśnie spór jest ich podstawowym paliwem, siłą rzeczy jest więc podsycany. Na co dzień oglądamy rzeczywistość przez określony filtr, bo wszyscy jesteśmy konsumentami mediów. Przy powstawaniu Muzeum przez 17 lat współpracowałem z członkami muzealnej Rady o różnych poglądach – na przykład z Wojciechem Roszkowskim i z Andrzejem Friszkiem, Andrzejem Nowakiem i Andrzejem Chwalbą. I przez ten czas nie było między nami żadnego fundamentalnego sporu co do scenariusza wystawy stałej Muzeum. A te, które



RAFAŁ CHMIELEWSKI / MHP

Siedziba Muzeum Historii Polski, sierpień 2023 r.

się pojawiały, dotyczyły dość nieoczekiwanych tematów.

Na przykład?

Gorąca dyskusja towarzyszyła wolnej elekcji w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a raczej tego, na ile powinna być ona istotnym elementem naszej wystawy. Profesor Zofia Zelińska, wybitna ekspertka od polskiej historii XVIII wieku, sprzeciwiała się temu, argumentując, że wolna elekcja była szkodliwa dla państwa, nie powinna być więc powodem do narodowej dumy. Ostatecznie wątek ten będzie jednak wyeksponowany na przyszłej wystawie stałej, byłem w tej sprawie dość uparty.

Jak wyglądają tego typu dyskusje w szerokim gronie ekspertów?

Unikaliśmy głosowań, zawsze starając się wypracowywać konsensus. Jeżeli podchodzimy do siebie z szacunkiem i dyskutujemy przy pomocy argumentów merytorycznych, to okazuje się, że nie jest to aż takie trudne. Tak było choćby w przypadku fragmentu scenariusza poświęconego sanacji. W pierwszym wariantcie miał on wydźwięk raczej apologetyczny, co wśród członków Rady wzbudziło silne kontrowersje. Bar-

dzo zbliżoną w tonie krytykę wygłosili zarówno profesor Friszke, jak i profesor Roszkowski, a ja przyznałem im rację, bo argumenty obu były bardzo przekonujące. Jeśli mogę sobie tu przypisać jakąś zasługę, to byłoby nią odpowiednie dobieranie współpracowników – różnice poglądów są jak najbardziej pożądane, niemniej unikam ludzi o apodyktycznej naturze. Gotowość do dyskusji i zawierania kompromisów jest dla mnie bardzo ważna. W przypadku wystaw czasowych kontrowersyjność może mieć pewną wartość, bo prowokuje do debaty. Jednak ciągle stawianie spraw na ostrzu noża uniemożliwiałoby pracę nad wystawą stałą. Ona ma służyć nie takiemu czy innemu partykularnemu środowisku, nie jakiejś doktrynie, ale – mówiąc nieco podniosło – wszystkim Polakom, stać się ważnym punktem odniesienia dla naszej wspólnej świadomości historycznej. To dla szerokiej publiczności budujemy tę opowieść, chcemy więc, żeby większość zwiedzających potrafiła się w niej odnaleźć.

Taki jest cel planowanej wystawy?

Jest ich oczywiście kilka. Po pierwsze, nowoczesne muzea idealnie pasują do sposobu, w jaki dziś poznajemy świat.

Wolimy obrazy i narracje, w jaką się układają, niż uczone książki historyczne. Dlatego też w Polsce i na całym świecie powstaje tyle nowych muzeów. A więc edukacja. Po drugie, muzeum tego typu powinno budować kanon punktów odniesienia. Czasem będzie szła za tym wspólna ocena, jak w wypadku unii z Litwą, a czasem sprawa sporna. I znowu, możemy się spierać w ocenie, na przykład polskiej tradycji powstańczej, bo nie chodzi nam o stworzenie jednej, oficjalnej wykładni historycznej. Wręcz przeciwnie, to właśnie spór o ich ocenę, o ile jest toczony w odpowiednich ramach, jest cenną wartością naszej kultury i tożsamości narodowej. Muzeum ma za zadanie przedstawić w jednym miejscu najważniejsze wydarzenia, procesy czy postaci, które przez wieki były kamieniami milowymi w rozwoju naszej wspólnoty. Dlatego na wystawie będzie zarówno o bitwie pod Grunwaldem, jak i o skomplikowanej mozaice etniczno-kulturowej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej czy o zamachu majowym. Po trzecie wreszcie, muzeum o tak przekrojowym profilu ma możliwość zbierania unikatowych eksponatów, które trudno byłoby w należyty sposób zaprezentować zwiedzającym w innym miejscu.



→ Na przykład?

W naszych zbiorach znalazła się tzw. polska enigma, choć to nieco myląca nazwa, bo chodzi o maszynę, przy pomocy której łamano niemieckie szyfry. Co ciekawe, jest ona znacznie cenniejsza niż oryginalne enigmaty, bo te pojawiają się co jakiś czas na aukcjach, a nasz eksponat jest jedynym ocalałym egzemplarzem, jaki wyprodukował polski wywiad. Przez lata była przechowywana w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie, szacownej instytucji, która jednak nie jest w stanie przyjąć więcej niż 2 tysiące zwiedzających rocznie. U nas w tym samym czasie będzie mogło ją podziwiać nawet ponad milion osób.

Co wyjątkowego będzie można jeszcze zobaczyć w Muzeum?

Pozyskaliśmy detale architektoniczne z Pałacu Villa Regia wybudowanego przez Władysława IV – marmury, które Szwedzi w trakcie potopu próbowali wywozić barkami wiślanymi. Jedną z nich zatoniła na wysokości Żoliborza, a kilkanaście lat temu archeolodzy wydobyli jej ładunek z dna. Elementem wystawy stałej będzie rekonstrukcja fasady tego pałacu, częściowo z oryginalnego materiału. Mało osób, nawet w Warszawie, pamięta dziś o jego istnieniu.

Muzeum będzie też opowiadać o procesach społecznych i cywilizacyjnych, o których niestety mało uczymy się w szkołach.

W części poświęconej średniowieczu będziemy pokazywać rozwój miast i wsi. Nieco dalej opowiadamy o sposobie funkcjonowania handlu zbożowego w dorzeczu Wisły i jego doniosłym znaczeniu dla całego państwa. W części XIX-wiecznej, na przykładzie łódzkich zakładów tkackich, prezentujemy przemiany społeczne związane z rewolucją przemysłową. Pokażemy również rekonstrukcję warszawskiej kamienicy wraz ze strukturą społeczną jej mieszkańców z początku XX wieku. Najlepsze mieszkania były oczywiście od frontu, ale nie na parterze, tylko na pierwszym i drugim piętrze. Oprócz tego mamy służbówki, sutereny i inne pomieszczenia – wszystko to oddaje złożone relacje społeczne miast tamtego okresu. Wzorowaliśmy się na istniejącym przed wojną budynku, wraz z jego zachowanym spisem lokatorów.

■ Wierzę, że fundamenty naszej wspólnoty nie są poważnie naruszone, więc wciąż mamy sporo możliwości, aby ją naprawiać. Scalanie wspólnoty to proces ciągły. Trochę jak z dbaniem o dom – nie da się go wyremontować i posprzątać raz na zawsze.

Muzeum będą odwiedzać również obcokrajowcy. Wystawa powstała także z myślą o nich?

Przez naszą wystawę chcemy zabrać głos w międzynarodowej debacie na temat dziejów tej części świata. To oczywiście kolejne ważne zadanie – opowiadanie o polskiej historii w pełni, ale równocześnie zrozumiałe dla kogoś z zewnątrz. Przez całą wystawę przewijają się pewne wątki tematyczne, które powinny być czytelne także dla słabo zaznajomionych z dziejami Polski.

Jakie?

Z jednej strony to historia wolności i to rozumianej możliwie szeroko – zarówno w wymiarze ustrojowo-prawnym, czyli droga od przywilejów szlacheckich, przez unię lubelską do Konstytucji 3 maja, ale także wolność traktowana jako niepodległość, czyli od konfederacji barskiej po Solidarność i upadek komunizmu. Z drugiej – zależy nam na pokazaniu historii polskiej tożsamości, tego, jak kształtowała się ona i ewoluowała przez wieki, ale także wydarzeń, nierzadko bolesnych i tragicznych, w wyniku których Polska utraciła sporo ze swojej dawnej różnorodności kulturowej, etnicznej czy religijnej. To szczególnie ważny wątek w części nowożytniej, gdzie opowiadamy o religiach Rzeczypospolitej, i w XIX-wiecznej, gdzie prezentujemy procesy powstawania nowoczesnych narodów – oczywiście

przede wszystkim polskiego, ale opowiadamy także o Litwinach, Białorusinach czy Ukraińcach i ich pomysłach na nowe wspólnoty polityczne, zazwyczaj budowane w opozycji do polskości.

Dziś, nie tylko w Polsce, przeżywamy kryzys myślenia wspólnotowego.

Jestem niepoprawnym optymistą i wierzę, że fundamenty naszej wspólnoty nie są poważnie naruszone, więc wciąż mamy sporo możliwości, aby ją naprawiać. Scalanie wspólnoty to proces ciągły. Trochę jak z dbaniem o dom – nie da się go wyremontować i posprzątać raz na zawsze. Myśl niby oczywista, ale rozmaitości uczestnicy debaty publicznej często o tym zapominają. Wiara w to, że kiedyś dojdziemy do punktu, w którym wszystkie kryzysy zostaną zażegnane i zapanuje powszechna zgoda, jest nie tylko naiwna, ale wręcz szkodliwa. Powinniśmy raczej pracować nad szukaniem wspólnych celów i obniżeniem temperatury niektórych konfliktów, aby nie wymknęły się one całkowicie spod kontroli.

Powstanie Muzeum pomoże w tym?

Chciałbym, aby stanowiło przykład dobrej praktyki – tego, że konieczne jest, nawet za cenę pewnych nie zawsze łatwych kompromisów, budowanie płaszczyzny do dyskusji. To umiejętność kluczowa dla poprawnego funkcjonowania każdego demokratycznego społeczeństwa. Silny wpływ tradycji romantycznych w polskiej polityce – skądinąd bezcennych i ważnych dla naszej tożsamości – sprawia, że w dyskusjach zbyt szybko i za często sięgamy po kategorie moralne, które mają to do siebie, że właśnie utrudniają budowanie kompromisów. A polityka to przecież spór nie tylko o idee, ale częściowo o uprawnione interesy, więc bezkompromisowość nie zawsze jest wartością nadrzędną. © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



ROBERT KOSTRO
– historyk,
dziennikarz,
publicysta
i polityk, od
2006 r. jest
dyrektorem
Muzeum Historii
Polski.

Opowiedzieć tysiąc lat

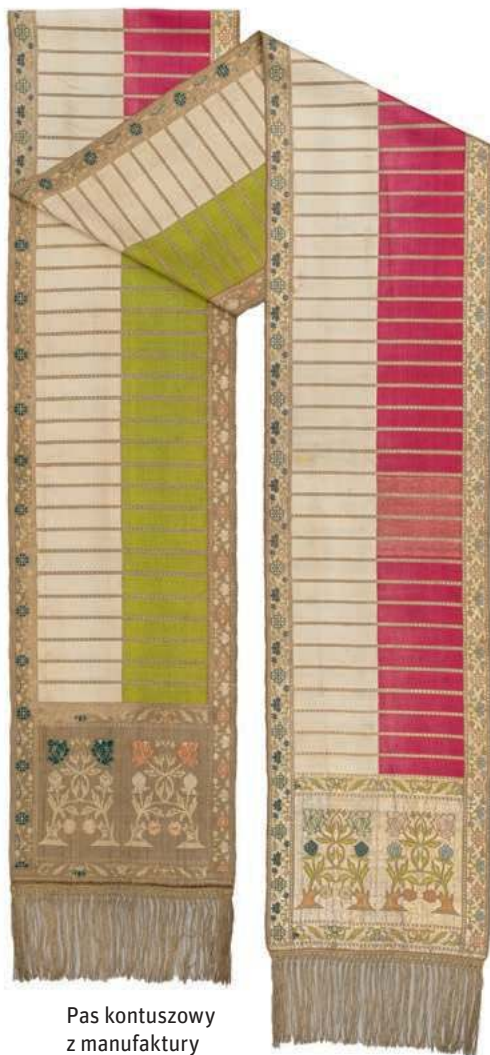
– Tworzenie kolekcji porównać można do podróży. Znamy jej cel, ale nie do końca jesteśmy w stanie przewidzieć, co nas spotka po drodze – mówi dr Monika Matwiejczuk, kierownik Działu Zbiorów MHP.

Muzeum gromadzi obiekty, które obrazują dzieje polskiego państwa i Polaków, najważniejsze wydarzenia, przemiany, ale też postęp cywilizacyjny, rozwój naukowy i kulturowy. Najstarsze muzealia w kolekcji pochodzą z epoki średniowiecza, najnowsze dokumentują czasy nam współczesne.

Tworzenie kolekcji rozpoczęło się zaraz po powstaniu Muzeum w 2006 r. „Darem założycielskim” stał się zbiór pamiątek po przedwojennym premierze Kazimierzu Bartlu, przekazanych w 2007 r. przez jego córkę, Cecylię Bartel. Ważnym etapem w budowie kolekcji była za inaugurowana w 2016 r. akcja Małe Wielkie Historie. Przekonała ona wielu ludzi, że przedmioty, które posiadają w rodzinnych zbiorach, mają dużą wartość, a MHP to dla nich dobre miejsce.

– Darczyńcy prywatni to dla nas ważna grupa donatorów. Powierzają nam nie tylko cenne przedmioty, ale i łączące się z nimi historie rodzinne. Stanowią one niezbędną część naszej opowieści o historii Polski. Nadają jej wymiar lokalny czy osobisty. Pokazują, że historia to nie tylko daty, fakty czy statystyki – podkreśla Monika Matwiejczuk. – Doceniamy również to, że jedne osoby zachęcają kolejne, by także zostały naszymi darczyńcami. Dzięki temu muzeum zdobywa zaufanie publiczne.

Budowa kolekcji odbywa się też dzięki zakupom muzealiów. Pracownicy instytucji przeszukują zarówno oferty domów aukcyjnych i antykwariatów, jak i popularne portale internetowe. Poszukiwanie i odnajdywanie cennych obiektów, spo-



Pas kontuszowy z manufaktury Radziwiłłów w Słucku, 1767–1776 r.

tkania z darczyńcami, sprowadzanie pamiątek polskiej historii z zagranicy, zawsze powoduje dreszcz emocji. Decyzje w sprawie nabycia podejmuje komisja zakupów, niekiedy zamawiane są także ekspertyzy dotyczące szczególnie cennych artefaktów.

– Musimy pamiętać, że zakup danego obiektu do muzeum jest jego ściągnięciem z rynku. On już nigdy na rynek nie

powróci. Nie wszyscy posiadacze dzieł sztuki czy obiektów o wartości historycznej są tym zainteresowani. Z drugiej strony czasem wolą sprzedać jest, by dany artefakt właśnie powrócił do Polski i znalazł się w kolekcji muzealnej, dostępnej dla społeczeństwa. To poruszające chwile, gdy pakujemy eksponat, a sprzedawca cieszy się, że wraca on do domu – mówi Matwiejczuk. – Ważna jest także dla nas współpraca międzyinstytucjonalna, koleżanki i koledzy z innych muzeów sugerują czasem kontakt z nami tak w celu sprzedaży danych artefaktów, jak i ich przekazania.

Kolekcja Muzeum Historii Polski liczy obecnie nieomal 60 tysięcy eksponatów, z czego około 2/3 stanowią dary i przekazy (tzn. dary instytucjonalne). Wśród najciekawszych muzealiów znajdziemy m.in. polską enigmę, maszynę zbudowaną przez polski wywiad i służącą do łamania niemieckich szyfrów, detale architektoniczne z wazowskiego Pałacu Villa Regia, kolekcję pasów kontuszowych, bibliotekę i archiwum ambasadora Michała Sokolnickiego, jednego z najbliższych współpracowników marszałka Piłsudskiego, czy mundur generała Stanisława Maczka.

Do zbiorów MHP trafiają także dzieła pochodzące z restytucji prowadzonej przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego – często są to obiekty zagrabione przez okupantów lub utracone z powodu wojny. W ten sposób odzyskano m.in. serię historycznych obrazów Bractwa św. Łukasza przygotowanych na wystawę światową w Nowym Jorku w 1939 r. i strzelbę Wincentego Kraśińskiego, która – skradziona przez Niemców – odnalazła się w muzeum w Cleveland (USA).

W nowym budynku Muzeum na magazyny i pracownię konserwatorską przeznaczono ok. 3 tysięcy metrów kwadratowych. – Wraz z otwarciem nowego gmachu Muzeum pojawiają się przed nami dalsze możliwości rozwoju kolekcji. Nasza podróż w kolejnych latach na pewno będzie nie mniej fascynująca – dodaje Monika Matwiejczuk.

© Opracował MICHAŁ SOWIŃSKI



MARIUSZ BODNAR / MHP

Transport eksponatów wielkogabarytowych do muzeum, 2020 r.

Wejdź do historii!

Od 29 września do 1 października Muzeum Historii Polski zaprasza na warszawską Cytadelę – do swojego nowego gmachu. W programie Festiwalu Otwarcia wiele atrakcji: kuratorskie oprowadzanie po wystawie czasowej, debaty, warsztaty dla najmłodszych, wizyta na tarasie widokowym, spektakle i pokazy filmowe.

Dzięki inwestycji sfinansowanej przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego warszawska Cytadela stanie się wreszcie częścią otwartej przestrzeni publicznej. Zbudowana blisko dwa wieki temu jako budząca grozę carska twierdza przekształci się w dostępny dla wszystkich park kultury i rekreacji, miejsce refleksji, edukacji i rozrywki. Przede wszystkim zaś: Warszawa zyska wspaniałe miejsce, zapraszające wszystkich Polaków na spotkanie z przeszłością.

Festiwal Otwarcia Muzeum Historii Polski to propozycja dla tych wszystkich, którzy chcą poznać nowe miejsce na mapie polskich instytucji kultury, malowniczo ulokowane na warszaw-

skim Żoliborzu, na wysokim brzegu Wisły, blisko Nowego Miasta. Muzeum Historii Polski zaprasza do wspólnego świętowania: od 29 września będzie można zwiedzać wystawę czasową, prezentującą unikatowe zbiory, a także obejrzeć jedyny w swoim rodzaju gmach. W ramach Festiwalu Otwarcia będzie można wziąć udział w zajęciach edukacyjnych, warsztatach, koncertach, debatach i atrakcjach-niespodziankach.

„WIELKIE I MAŁE HISTORIE.

Tworzenie kolekcji

Muzeum Historii Polski” – to tytuł inauguracyjnej wystawy czasowej, czekającej na pierwszych gości Muzeum.

Tworzy ją 500 z blisko 60 tysięcy obiektów z kolekcji MHP. Pokazuje ona, skąd biorą się eksponaty prezentowane w muzealnych salach: jak się je pozyskuje, jak ważna jest w tym procesie rola współpracy z konserwatorami zabytków, z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz udział indywidualnych, prywatnych darczyńców. A przy okazji to barwna panorama tysiąca lat polskich dziejów.

Każdy obiekt stanowi początek fascynującej opowieści. Strzelba hrabiego Wincentego Krasińskiego, dzieło sztuki z epoki Napoleona, zagrabiona przez Niemców w czasie II wojny światowej, powróciła do Polski dzięki wytrwałym staraniom polskich muzealników. Dziś symbo-

lizuje zarówno historię ścisłych więzów polsko-francuskich, jak i sam proces mozolnego odzyskiwania utraconych zabytków prowadzony przez MKiDN.

Ekspozyty prezentowane na wystawie są często świadectwem poruszających losów ich właścicieli. Tak jest w przypadku munduru generała Stanisława Maczka. Pamiątka po twórcy polskich wojsk pancernych znalazła się w zbiorach Muzeum Historii Polski dzięki jego rodzinie. Przypomina o bohaterstwie polskich żołnierzy, ale i symbolizuje ich tułaczkę na obczyźnie.

WIELKIE I MAŁE HISTORIE opowiadają o dziejach dawnych i tych bliskich. Jest tu miejsce i na archeologiczne odkrycia w rodzaju pozostałości Pałacu Villa Regia, wzniesionego w Warszawie w czasach Władysława IV, i na ekspozyty związane z agresją rosyjską na Ukrainę oraz pomocą udzieloną narodowi ukraińskiemu przez Polaków. Bo każdy człowiek tworzy historię i historia każdego człowieka ma znaczenie.

■ ■ ■

Przyszła wystawa stała MHP – przedstawi dzieje państwa i narodu zamknięte w sześciu galeriach poświęconych kolejnym epokom. Pierwsza doprowadza historię średniowiecznej Polski aż do końca panowania dynastii Jagiellonów i podpisania aktu unii lubelskiej. Druga jest poświęcona dawnej Rzeczypospolitej aż do chwili jej upadku, a trzecia okresowi zaborów. Czwarta łączy przedstawienie zmagania Polaków o niepodległość w czasie I wojny światowej oraz budowę niepodległego państwa po roku 1918. Dwie ostatnie opowiadają o II wojnie światowej i o najnowszych dziejach Polski. Dzieje minionego stulecia pozostają podstawowym punktem odniesienia w historycznych debatach i wywierają wpływ na naszą teraźniejszość. Dlatego też połowa galerii – i niemal dokładnie połowa przestrzeni wystawienniczej – dotyczy XX wieku.

Jaką historię będzie opowiadać MHP? Kluczową ideą jest ukazanie dziejów

Polski przez pryzmat historii wolności. Wokół tej wartości zbudowana jest narracja o państwie i narodzie. Dzieje parlamentarne i konstytucyjne, niepodległość i konsekwentna walka o jej odzyskanie jest dla twórców wystawy szczególnie wątkiem polskiej historii. Drugim z przewodnich tematów jest kształtowanie się i ewolucja polskiej tożsamości od Polski Piastów, przez Polskę Jagiellonów aż po współczesność. Z tej perspektywy dzieje kultury nie będą na wystawie stałą MHP przedstawiane jedynie jako ciąg wybitnych twórców i ich dzieł – złączą się w proces kształtowania się wspólnego kodu kulturowego. Trzeci temat to cywilizacja – przemiany społeczno-gospodarcze, nauka i technika. Wszystko to razem tworzy opowieść o historii Polski, opowieść, jakiej dotąd nie było.

■ ■ ■

Nowa siedziba Muzeum Historii Polski stanowi dzieło samo w sobie. 44 tysiące metrów kwadratowych, cztery kondygnacje naziemne i dwie podziemne – to imponujący gmach, który koniecznie trzeba poznać, jeden z najnowocześniejszych budynków, jakie powstały w ostatnich latach w Polsce. Gratka dla pasjonatów historii i jednocześnie uważnych obserwatorów.

Marmurowa elewacja nawiązuje do kolejnych warstw naszej historii: od czasów najdawniejszych do współczesności. Można w tym dostrzec metaforę historii jako procesu: nakładanie się kolejnych warstw wydarzeń i powstawanie wspólnego dziedzictwa. Kamienne płyty fasady są zdobione reliefami, nawiązującymi do symboli polskiej architektury. Począwszy od Drzwi Gnieźnieńskich, przez ornamenty romańskie i gotyckie, zdobienia inspirowane detalami architektonicznymi Wawelu, aż po XII-wieczny modernizm. W ich poszukiwaniu warto uważnie studiować elewację budynku ze wszystkich czterech stron świata!

We wnętrzu znajduje się miejsce nie tylko dla wystaw czy przechowywania

i konserwacji eksponatów, także nowoczesne przestrzenie o funkcjach edukacyjnych i kulturalnych. Przykładem niech będzie audytorium, pozwalające na organizację koncertów muzyki symfonicznej, z widownią liczącą blisko 580 miejsc. Będzie to stała sala koncertowa Polskiej Orkiestry Sinfonia Iuventus im. Jerzego Semkowskiego. Także tu MHP będzie w przyszłości zapraszać na konferencje, widowiska czy debaty. Uniwersalność sali uzyskano dzięki szczególnym rozwiązaniom konstrukcyjnym (tzw. *box in the box*), a jakość dźwięku możliwa do uzyskania w audytorium jest porównywalna z tą w najlepszych salach kamealnych.

Sala kinowo-teatralna pomieści ponad 130 widzów, 30 września i 1 października będzie jedną z aren Festiwalu Otwarcia. Właśnie tu można będzie wziąć udział w pokazach filmowych oraz edukacyjnych spektaklach teatralnych dla dzieci z cyklu „Piastodzieje” i „Jagiellada”. Tutaj także można będzie przysłuchiwać się debatom towarzyszącym otwarciu nowego gmachu MHP. Jak ciekawie mówić o historii na scenie, w literaturze i kinie? Co zrobić, żeby ożywić historię? – do dyskusji na te tematy zaproszeni zostaną eksperci, ale i goście Festiwalu Otwarcia.

Gmach MHP dominuje nad warszawską Cytadelą. Ale warto tu po prostu przyjść na spacer, skorzystać z placu zabaw, cieszyć się zielenią w samym środku miasta. Obowiązkowym punktem będzie specjalnie zaprojektowany Park Edukacyjny – przestrzeń do edukacyjnych gier i zabaw, dla młodszych i nieco starszych fanów historii. Podczas Festiwalu Otwarcia muzealni edukatorzy zaproszą tu do udziału w zajęciach edukacyjnych oraz do gry terenowej.

Efektownym zwieńczeniem gmachu jest taras widokowy, miejsce, z którego imponująco prezentuje się panorama Warszawy – ten widok nie ma sobie równych. Warto pamiętać o rodzinnym zdjęciu!

© Opracował MICHAŁ SOWIŃSKI

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 40/2023

REDAKCJA: Michał Sowiński

ZDJĘCIA NA OKŁADCE: Widok na Warszawę z dachu Muzeum Historii Polski

/ FOT. Aleksander Małachowski / MHP | TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak

FOTOEDYCJA: Edward Augustyn



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



PRECZ Z LUDZKOŚCIĄ!

Dwa wpływowe nurty myślenia snują utopijne wizje świata pozbawionego człowieka. Antyhumaniści chcą zepchnąć nas w niebyt, transhumaniści – wynieść do boskości.

JAREK GRYZ

MOTYW KOŃCA ŚWIATA OBECNY JEST w naszej kulturze od zawsze. Rozumiemy przez to po prostu koniec ludzkości, bo dla większości z nas opustoszała Ziemia to kres naszego świata. Nasza obecność tutaj może zakończyć się w wyniku naturalnego kataklizmu albo z naszej własnej winy, co, jak twierdzi np. australijski filozof Toby Ord, jest nawet bardziej prawdopodobne. Jakkolwiek to nastąpi, wizja końca ludzkości napędza nas grozą. Ale czy powinna? Adam Kirsch, w wydanej w tym roku

książce „The Revolt Against Humanity”, przedstawia poglądy dwóch bardzo odmiennych grup myślicieli, których łączy jedno radykalne stanowisko. Otóż nie dość, że kres ludzkości jest bliski, to nie będzie on żadną katastrofą i powinniśmy wyglądać go z radością i nadzieją. Tę zdumiewającą tezę stawiają zarówno nieprzejednani obrońcy środowiska, których ideologię Hirsch nazywa „antyhumanizmem antropocenu”, jak i fanatyczni futuryści spod znaku transhumanizmu.

Najlepiej się nie urodzić

Ideologia pierwszej grupy jest reakcją na pogłębiający się kryzys środowiska naturalnego. Według antyhumanistów jest on na tyle głęboki, że być może już nieodwracalny i jedyną nadzieją dla naszej planety jest samounicestwienie się ludzkości. Transhumaniści też wieszczą koniec naszego gatunku, ale nie przez jego zniszczenie, lecz technologiczne ulepszenie aż do wytworzenia wspieranych komputerowo nieśmiertelnych cyborgów. Na pierwszy rzut oka obie doktryny



wydają się na tyle absurdalne, że trudno je traktować poważnie. Tyle że – jak sugerują Kirsch – nie są to teorie niszowe i mają wśród swych orędowników myślicieli o niewątpliwym autorytecie intelektualnym.

Co więcej, obie z nich zasługują na uwagę także dlatego, że są kolejnymi odsłonami mitów obecnych w naszej kulturze od wieków. Antyhumanizm chce dla nas kary za grzechy wobec Natury, tak jak gniewni bogowie chcieli jej dla swych poddanych za ich nieposłuszeństwo. Tym razem nasze winy są jednak tak wielkie, że żaden Noe nie zasługuje na ocalenie i budowanie lepszego świata. Temu fatalizmowi transhumaniści przeciwstawiają optymistyczną wizję życia wiecznego osiągniętego właśnie dzięki pokonaniu ograniczeń przez naturę nam narzuconych. Tak jak chcieli twórcy Golema czy doktor Frankenstein.

Centralnym elementem antyhumanizmu antropocenu jest antynatalizm, czyli przekonanie, że prokreacja jest moralnym złem. Antynatalizm uzasadnia się na wiele sposobów: a to istnieniem zła na świecie, a to nieuchronnością śmierci czy wreszcie powszechnością ludzkiego cier-

pienia. Każdy z tych argumentów wie- dzie jednak do tej samej konkluzji: wszyscy, którzy mieli nieszczęście już się urodzić, mają moralny obowiązek powstrzymać się od powoływania na świat kolejnych ofiar.

Antynatalistyczne głosy pojawiły się już w Starym Testamencie, gdzie w Księdze Koheleta powiedziane jest: „Chwaliłem więc bardziej los umarłych, tych, którzy już odeszli, aniżeli los tych, którzy jeszcze pozostają przy życiu. Lecz za szczęśliwszego od jednego i drugiego uważam tego, co się jeszcze nie urodził i nie widzi zła, które się popełnia pod słońcem”. Kilka lat później, na początku naszej ery w „O pocieszeniu do Marcji” niemal dosłownie powtarza to Seneka: „Najszczęśliwszy los to wcale się nie urodzić”. W czasach nowożytnych najwybitniejszym wyrazicielem antynatalizmu był Arthur Schopenhauer, który wychodzi od konstatacji istnienia zła na świecie. Jego wszechobecność jest tak oczywista, że nie dostrzegać jej można tylko przez zaślepienie, które jest ucieczką przed strasliwą rzeczywistością. Lepiej więc tej rzeczywistości nigdy nie doświadczyć: „Jeśli dzieci powoływane byłyby na ten świat przez akt rozumu, to czy ludzkość nie przestałaby istnieć? Czy człowiek nie miałby dość współczucia dla następnych pokoleń, by oszczędzić im jarzma istnienia?”.

Nie wiecie, jak bardzo cierpicie

Współczesnym ideologiem antynatalizmu jest największy – według „New York Timesa” – pesymista wśród żyjących filozofów, David Benatar. Dla Benatar, inaczej niż dla Schopenhauera, punktem wyjścia jest powszechność ludzkiego cierpienia, a nie ontologicznego zła. Podobnie jak Schopenhauer, uważa, że większość ludzi żyje w nieświadomionej samoułudzie: prawdopodobnie zaprzecziliby, że ich życie jest pełne bólu i cierpienia. Takie samooceny, jak twierdzi Benatar, są zupełnie bezwartościowe jako skażone tzw. efektem Pollyanny. Według tej zasady ludzie mają naturalną skłonność do optymizmu, zarówno we wspomnieniach, jak i w oczekiwaniach. Badania psychologiczne, omawiane m.in. w książce Shelley Taylor „Positive Illusions: Creative Self-Deception and the Healthy Mind” pokazują, że pytani o jakieś zdarzenia z przeszłości przypominamy sobie zdecydowanie więcej przyjemnych chwil, bo te nieprzyjemne spychamy w niepamięć. Selektywność wspomnień fałszuje w rezultacie naszą ocenę jakości własnego życia. Ten psychologiczny mechanizm bywa uznawany za ewolucyjną adaptację służącą zapobieganiu samobójstwom.

Z tym argumentem można oczywiście dyskutować – skoro subiektywnie oceniamy nasze życie jako przyjemne, to czy ma znaczenie, że ta ocena jest →

Rzeźba „Syn Ziemi” na plaży Gobi w Guazhou. Chiny, 13 sierpnia 2023 r.



→ zafałszowana? Możemy się spodziewać, że nasze dzieci też będą sądziły, że żyją przyjemnie – nieuświadomione nie-szczęście nie wydaje się czymś trudnym do zniesienia.

Antynataliści twierdzą w każdym razie, że mieliby rację nawet wtedy, gdyby stosunek przyjemności do bólu był w życiu bardziej zbalansowany. Otóż według Benatara mamy moralny obowiązek nie powoływać do życia nieszczęśliwych ludzi, ale nie mamy obowiązku powoływać do życia szczęśliwych ludzi. W tym pierwszym przypadku cierpienie naszych potomków jest złem, a jego brak – gdybyśmy ich nie spłodzili – dobrem. W drugim zaś przypadku przyjemność doświadczana przez naszych potomków byłaby dla nich dobrem, ale jej brak – gdyby w ogóle nie istnieli – nie byłby złem, bo nie byłoby komu tej przyjemności doświadczać. Jeśli zaakceptujemy tę – dość dyskusyjną – asymetrię, to życie obciążone nawet niewielką ilością cierpienia nie powinno być nigdy inicjowane.

Grzechy przeciw Naturze

Motywacja dla antynatalizmu wśród antyhumanistów jest nieco inna niż u Benatara. Powinniśmy zniknąć z tej planety, bo przynosimy cierpienie i śmierć nie tylko sobie, ale również jej pozostałym mieszkańcom. Realizując boski nakaz „rośnijcie i mnożcie się, i napełniajcie ziemię, a czynicie ją sobie poddaną”, staliśmy się pasożytami, którzy dla realizacji własnych potrzeb nie wahają się

poświęcić całej reszty natury. Według antyhumanistów stawia to ludzkość poza czy wręcz w kontrze do porządku natury.

Samo pojęcie antropocenu jest wyrazem tego przekonania. Na gruncie geologii „antropocen” to nazwa proponowana przez niektórych geologów dla końcówki aktualnie trwającej epoki geologicznej, formalnie określanej jako holocen. Ale odrębność czy też wyjątkowość antropocenu nie jest czysto geologiczna. Oto bowiem ludzkość, która jest produktem natury, odwróciła ten jednokierunkowy proces i sama tę naturę przestacza. Nasza dominacja nad planetą jest tak kompletna, że nawet ewolucja musi być przededefiniowana. Dobór naturalny, który oznaczał przetrwanie osobników przystosowanych, dziś oznacza przetrwanie najbardziej dla nas użytecznych. Kurczaki stały się najliczniejszym gatunkiem ptaków na Ziemi, a hodowane przez nas bydło waży więcej niż wszystkie pozostałe kręgowce razem wzięte. Jedynym ratunkiem dla Natury jest wedle antyhumanistów całkowite usunięcie się ludzkości z powierzchni Ziemi. Australijska filozofka Patricia MacCormack nie przebiera w słowach: „Śmierć naszego gatunku to afirmacja życia, bo uwolniłaby świat naturalny od naszego jarzma. (...) Jestem głęboko zawiedziona, że żadna zaraza ani wojna nie zdołała nigdy unicestwić ludzkości”.

Antyhumanizm antropocenu nie jest osadzony na argumentach pragmatycznych, które czasem pojawiają się w dys-

kusjach dotyczących środowiska naturalnego – np. że powinniśmy powstrzymać globalne ocieplenie, bo przyniesie ono szkodę, a być może śmierć, wielu ludziom. Dla antyhumanistów inspiracja jest moralna. Zwierzęta czy rośliny stoją wyżej w porządku moralnym niż ludzie, ponieważ nie eksterminują innych istot na taką skalę jak ludzie. Wielu pisarzy tego ruchu stara się wręcz kultywować pewien rodzaj mistyki wokół pojęcia Natury (słynny biolog O.J. Wilson nazywa to „biofilia”), by zachęcać do poświęceń na jej rzecz, w podobny sposób jak poświęcamy się dla Boga czy ojczyzny. Jeden z radykalnych antyhumanistów, Paul Kingsnorth, mówi wprost, że jeśli miałby wybierać między naturą a ludzkością, wybrałby tę pierwszą.

Kiedy w końcu wyginiemy

Dla większości z nas wypowiedzi MacCormack czy Kingsnortha to w najlepszym razie hiperbole, bo nie możemy sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby naprawdę chcieć końca ludzkości. Stanowisko antynatalistów zmusza nas jednak przynajmniej do konfrontacji z ich apokaliptyczną perspektywą. Sceptycy powiedzieliby, że katastroficzne wizje końca ludzkości kreślono już wcześniej i za każdym razem okazywały się one zupełnie chybione. W 1798 r. Robert Malthus przewidywał niechybną katastrofę demograficzną na Ziemi wynikającą z arytmetycznie rosnącej produkcji żywności wobec geometrycznie rosnącej

Serwis specjalny o największych wyzwaniach epoki człowieka – czytaj w otwartym dostępie



powszech.net/antropocen

liczby ludzi (czym zresztą zainspirował Karola Darwina do myślenia o przyrodzie w kategoriach ekonomicznej rywalizacji i naprowadził go na trop idei doboru naturalnego). W 1968 r. w podobnym duchu bił na alarm Paul R. Ehrlich, wskazując tym razem na wyczerpujące się surowce naturalne: „Walka o wyżywienie całej ludzkości dobiegła końca. W latach siedemdziesiątych [XX wieku] setki milionów ludzi umrze z głodu”.

Paradoksalnie utopia antyhumanizmu może spełnić się bez naszego aktywnego udziału. Jak pokazują bowiem dane demograficzne, ludzkość może zniknąć dużo szybciej, niż nam się wydaje. Współczynnik dzietności w Europie i w Ameryce Północnej jest już od kilkadziesiąt lat poniżej poziomu gwarantującego zastępowalność pokoleń. Podobnie jest w większości krajów Azji i Ameryki Południowej. Jedyne regiony na świecie, gdzie ludzie przybywa w sposób naturalny, a nie przez imigrację, to Afryka i Bliski Wschód. Ale demografowie przewidują, że tu także wraz ze wzrostem możliwości i wykształcenia kobiet (który jest najsilniej skorelowany z dzietnością) trend się odwróci. Według danych ONZ ogólnosiwiatowy współczynnik dzietności spada systematycznie od lat 70., kiedy wynosił 4,5, do 2,5 dzisiaj. W 2010 r. „The Lancet” opublikował wyniki badania, według którego pod koniec tego wieku współczynnik ten spadnie do 1,66 – a zatem znacznie poniżej poziomu zastępowalności pokoleń. Populacja Ziemi osiągnie swoje maksimum 10 mld ludzi w 2064 r., potem zacznie spadać.

Kilka lat temu „The New York Times” przeprowadził badanie wśród młodych ludzi, pytając ich, dlaczego mają mniej dzieci, niżby chcieli. Jedna trzecia z nich podała jako przyczynę obawy o przyszłość planety. Jak widać, antyhumanizm antropocenu nie jest zjawiskiem niszowym.

Zbawienie dla cyborgów

Druga grupa radykalnych myślicieli omawiana przez Hirscha to transhumaniści, którzy zgadzają się, że ludzkość skazana jest na zagładę, ale widzą w tym szansę, a nie zagrożenie. Ich marzeniem jest bowiem wykorzystanie technologii dla całkowitej transformacji naszego gatunku. Opublikowana w 1998 r. Deklaracja transhumanizmu definiuje cele ruchu jako „pomnożenie ludzkiego po-



COSTFOTO / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Wyobraźmy sobie, że wszyscy ludzie dożywają naturalnego końca swych dni, ale po ich śmierci nikt więcej już się nie rodzi.

Ta perspektywa wzbudza w nas trwogę.

Ale dlaczego?

tencjału przez przezwyciężenie procesu starzenia się, ograniczeń poznawczych, niepotrzebnego bólu i cierpienia i wreszcie ziemskiej niewoli”. Ludzkie życie trwać będzie wieki, a nie dekady. Nasze zmysły zostaną udoskonalone tak, żeby dać nam dostęp do barw, dźwięków i odczuć, których dziś nie potrafimy nawet nazwać. Myśleć będziemy tak szybko jak komputery, a nasze ciała będziemy w stanie ulepszać estetycznie w dowolnie wybrany sposób. Choć deklaracje te brzmią jak *science fiction*, to mają one przecież swoje uzasadnienie. Nasze ciała wspomagane są technologią od dawna, a sztuczny staw biodrowy czy rozrusznik serca już robi z nas cyborga.

To, co czyni transhumanizm zauważalnym, to pieniądze, które za nim stoją. Kilku znanych miliarderów z Doliny Krzemowej inwestuje w badania nad technologiami, które mają doprowadzić do transformacji naszego gatunku. Peter Thiel jest udziałowcem firmy Alcor Life Extension, która kriogenicznie przechowuje mózgi zmarłych w oczekiwaniu na pojawienie się technologii pozwalającej

na przywrócenie ich do życia. Sergey Brin i Larry Page utworzyli w Google osobną komórkę badawczą, Calico, prowadzącą prace nad powstrzymaniem procesu starzenia. W 2021 r. założyciel Amazona, Jeff Bezos, zainwestował podobno sporą sumę w Altos Labs, start-up biotechnologiczny obiecujący pracę nad cofaniem starzenia się komórek.

Ale prawdziwi wizjonerzy idą jeszcze dalej. Skoro nasze myśli, wyobrażenia i uczucia wywołwane są przez procesy elektrochemiczne zachodzące w mózgu, to żadne prawo przyrody nie powinno przeszkodzić w tym, by nasz umysł dało się „zainstalować” w innym medium. Wystarczy zrobić swego rodzaju „skan” mózgu, wychwytyjąc stan wszystkich jego synaps, a następnie zakodować to np. w komputerze. Efektem tego procesu będzie kopia ludzkiego umysłu zachowana w komputerowej pamięci. A stąd już tylko krok do odcieśnienia człowieka. Holenderski neuronaukowiec Randal Koene pisze: „Twoja tożsamość, twoja pamięć mogą być fizycznie urzeczywistnione na wiele sposobów”. Odcieśniony umysł nie będzie już miał doświadczeń typowych dla swego naturalnego środowiska, ale spektrum doznań, jakie będzie można w nim generować, wirtualnie będzie – jak w grach komputerowych – niczym nieograniczone. Dla dużej części ludzkości to niewątpliwie atrakcyjna perspektywa.

Optymizm transhumanistów co do możliwości technologii wydaje się nie mieć granic. Ray Kurzweil, jeden z czołowych przedstawicieli tego ruchu, przyjmuje każdego dnia kroplówkę i łyka 250 pigułek suplementów, by do maksimum przedłużyć swe naturalne życie. Robi to po to, by dotrwać do momentu, kiedy stanie się możliwe odwrócenie procesu starzenia. Kurzweil – który ma 75 lat – wierzy, że wydarzy się to jeszcze w tej dekadzie. Optymizm czy wręcz arogancja transhumanistów może ich jednak zaślepić na zagrożenia, jakie niesie agresywna ingerencja w naturę. Pięć lat temu chiński naukowiec He Jiankui zamienił jeden z genów w dwóch ludzkich embrionach, żeby uodpornić je na HIV. Spotkało się to z powszechnym potępieniem ze strony środowiska naukowego, bo nie wiemy jeszcze, jakie skutki uboczne może przynieść bezpośrednia edycja ludzkiego genotypu. To technologia właśnie →

→ umożliwiła radykalną zmianę naszej planety, a miejscami wręcz jej spustoszenie. Kiedy zaczniemy przerabiać nasze ciała, skutki mogą być równie opłakane.

Ludzkość ma sens

Antyhumaniści chcą zepchnąć ludzkość w niebyt, transhumaniści wynieść ją do boskości. Tymczasem przeciętny człowiek potrzebuje jej, by nadać sens swemu istnieniu. Kilka lat temu amerykański filozof Samuel Scheffler przeprowadził interesujący eksperyment myślowy, który zdaje się pokazywać, że przetrwanie ludzkości jest dla nas ważniejsze niż nasze własne życie. Wyobraźmy sobie, że dopełnia się utopia antyhumanizmu i wszyscy ludzie dożywają naturalnego końca swych dni, ale po ich śmierci nikt więcej już się nie rodzi. Ta perspektywa wzbudza w nas trwogę. Ale dlaczego? – pyta Scheffler. Przecież nikt nie cierpi i nie umiera przedwcześnie.

Otóż wydaje się, że życie na pustoszejącej Ziemi w dużej mierze straciłoby

Antyhumanizm epoki antropocenu chce dla nas

kary za grzechy wobec Natury,

tak jak gniewni bogowie chcieli jej dla swych poddanych za ich nieposłuszeństwo.

swój sens. Żeby to lepiej naświetlić, zastanówmy się, jak zmieniłyby się nasze wybory życiowe na wieść o nadchodzącym kresie ludzkości. Niewątpliwie stracilibyśmy motywację i emocjonalne przywiązanie do kontynuowania wielu naszych przedsięwzięć. Jakakolwiek działalność społeczna czy polityczna przestałaby mieć sens. Nikt nie projektowałby ani nie budował niczego, co miałoby trwać

więcej niż kilka lat. Poniechano by zapewne twórczej działalności artystycznej i naukowej. Tymczasem nikt z nas nie zaprzestaje robienia żadnej z tych rzeczy, mając w perspektywie swoją własną śmierć, bo sens takiej działalności nie zostaje przez indywidualną śmierć umniejszony. Nieunikniona wydaje się zatem konkluzja, twierdzi Scheffler, że ważniejsze jest dla nas przetrwanie ludzkości niż nasze własne przetrwanie. Nasze życie traci sens w perspektywie zagłady ludzkości, ale nie traci go w perspektywie naszej własnej śmierci.

Opowiedzenie się po stronie anty- czy transhumanizmu wymaga gigantycznego samozaparcia emocjonalnego i psychicznego. Większość z nas nie potrafiłaby tego zrobić i zapewne nawet by nie chciała. Bo jak pisał w „Roku 1984” George Orwell: „Przed człowiekiem nie było nic. Po nim także nic nie będzie. Bez człowieka nic nie ma”. © JAREK GRYZ

Autor jest profesorem informatyki i filozofii na York University w Toronto.

Wspieraj na powszech.net/patronite



**TYGODNIK
POWSZECHNY**



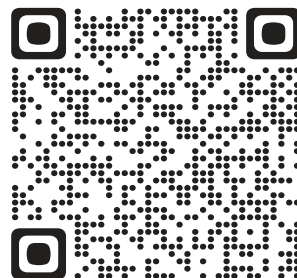
Fundacja
**Tygodnika
Powszechnego**



PATRONITE

Pomogaj Tygodnikowi

Zostań stałym patronem i odbieraj nagrody:
zamknięte newslettery autorów Tygodnika,
udział w webinarach Tygodnika i zaproszenia
na wydarzenia, festiwale, spotkania.



Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 26/22 postępowanie z wniosku Mikołowskiego Banku Spółdzielczego w Mikołowie o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Kazimierzu Szczęśniaku, zmarłym 25.02.2021 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Marka Mrocza, pod sygnaturą I Ns 231/21, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia udziałów we współwłasności należących do Rozalii Trzewik i Władysława Abramowskiego, w nieruchomości położonej w miejscowości Kazimierzów, gmina Kałuszyn, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 10, dla której Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim prowadzi księgę wieczystą SI1M/00001661/3.

Sąd wzywa zainteresowanych, a w szczególności: spadkobierców: Rozalii Trzewik i Władysława Abramowskiego, ewentualnie innych zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu w I Wydziale Cywilnym toczy się pod sygnaturą akt I Ns 17/23 postępowanie z wniosku Banku Spółdzielczego w Zaleszanych z udziałem Bożeny Kasak i Barbary Kasak o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Stefanii Mańkowskiej, c. Franciszka i Julii, zmarłej w dniu 28 lipca 2021 r. w Tarnobrzegu, o ostatnim miejscu zwykłego pobytu w Orlikach.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 804/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Hannie Wiesławie Krupa, córce Bartłomieja i Marii z domu Lisko, zmarłej w dniu 29 października 2020 r. w Warszawie, ostatnio stałe przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim I Wydziale Cywilnym toczy się pod sygnaturą I Ns 172/22 postępowanie z wniosku Mikołowskiego Banku Spółdzielczego w Mikołowie o stwierdzenie nabycia spadku po Alojzym Buczek, zmarłym w dniu 9 lutego 2019 roku w Toruniu, ostatnio zamieszkałym w Rywałdziku.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim i wykazali prawo do spadku pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

Sąd Rejonowy w Słubicach w sprawie o sygnaturze I Ns 106/22 o stwierdzenie nabycia spadku po Jarosławie Bułgajewskim, synu Floriana i Krystyny, urodzonym 25.02.1974 r. w Dębnie, zmarłym pomiędzy 31.10.2017-1.11.2017 r. w Berlinie, którego ostatnim miejscem stałego pobytu był Kostrzyn nad Odrą, wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od chwili ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sąd nie ma wiedzy o majątku pozostawionym przez spadkodawcę.

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 366/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wiktorii Panek, ur. 20.03.1923 r. w Witanowicach, zm. 14.03.2015 r. w Wieliczce, ostatnio zamieszkałej w Wieliczce. Sądowi nie jest znany skład spadku.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 347/22 toczy się postępowanie z wniosku ING Bank Śląski S.A. z/s w Katowicach o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Prajsnar synu Kazimierza i Józefy, urodzonym 10 sierpnia 1942 r. w Haczowie, zmarłym 27 grudnia 2020 r. w Sanoku, gdzie ostatnio stałe mieszkał.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 71/23 toczy się postępowanie z wniosku Henryki Zielińskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Lucjanie Zielińskim, synu Jana i Michaliny z domu Biernat, zmarłym w dniu 17 listopada 2019 roku w Janowie Lubelskim, ostatnio zamieszkałym w Skowierzynie.

Wzywa się wszystkich spadkobierców po Lucjanie Zielińskim, aby w terminie trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SUPERORGANIZM. CZY CIAŁO MA GRANICE?

FESTIWAL PRZEMIANY W KOPERNIKU

Czym on jest? Możemy go zobaczyć, przeglądając się w lustrze. Znajdziemy go także, patrząc na Ziemię z lotu ptaka oraz podpatrując mikroświat przez okular mikro-skopu. Interpretacji może być wiele. Dlatego właśnie superorganizm został bohaterem tegorocznego Festiwalu Przemiany, który odbędzie się w Centrum Nauki Kopernik 6-9 października 2023 r.

■ ŚWIAT SUPERORGANIZMÓW

Mianem tym określa się np. kolonie owadów społecznych (mrówek, pszczół), w których przedstawiciele tego samego gatunku wspólnie dbają o dobrostan swojej społeczności. Z ludźmi jest podobnie. Choć nie rodzimy się jako robotnicy czy żołnierze, wykonujemy pracę, z której korzysta społeczeństwo. Same nasze ciała również można nazwać superorganizmami. Nie tylko dlatego, że to doskonale działające maszyny. Są także domem ok. 10 tys. różnych gatunków bakterii, które tworzą unikatowy mikrobiom, pomagający nam w prawidłowym funkcjonowaniu. Wiemy o sobie coraz więcej. Dzięki osiągnięciom nauki i techniki możemy dogłębnie poznawać ludzki organizm, badać go, odkrywać nowe terapie i metody usuwania „usterek”. To nam jednak nie wystarcza. Jak mówi Rafał Kosewski, kurator festiwalu: „Tegoroczne Przemiany biorą pod lupę przedrostek »super« jako wyraz ducha naszych czasów (Zeitgeist), w których przyszłość Homo sapiens napędzana jest potrzebą coraz sprawniejszego i dłuższego życia”. Chcemy stać się najlepszą wersją samych siebie – najładniejszą, najsilniejszą, doskonałą. Czy to złe? Czy istnieją jakieś nieprzekraczalne granice? Jaką stworzymy sobie przyszłość? Podczas festiwalu można będzie spojrzeć na superorganizm z różnych perspektyw, poznać stan aktualnej wiedzy naukowej, opinie i spekulatywne wizje ekspertów i artystów oraz poszukać własnych odpowiedzi na trudne pytania. „Przemiany to platforma nieskrępowanej wymiany myśli pomiędzy naukowcami, technologami, projektantami, artystami i wszystkimi tymi, którzy zainteresowani są możliwymi kierunkami rozwoju na różnych płaszczyznach życia społecznego” – dodaje Kosewski.

■ TRZY DNI

Program tegorocznego festiwalu obejmuje interdyscyplinarne panele eksperckie, debaty poświęcone biohakerom, żońnierom i sportowcom przyszłości, pokazy filmowe, performanse

i wystawę o charakterze art&science. Będą również koncerty muzyki elektronicznej z wizualizacjami na kopule Planetarium oraz spotkania i warsztaty w kawiarni festiwalowej.

Dni i godziny: 6.10 (piątek), godz. 19.00-23.00,

7.10 (sobota), godz. 11.00-22.00,

8.10 (niedziela), godz. 11.00-20.00.

Wstęp jest bezpłatny za wyjątkiem wydarzeń towarzyszących – biletowanych koncertów w Planetarium.

Uczestnicy festiwalu mogą również zwiedzić nową wystawę Centrum Nauki Kopernik „Przyszłość jest dziś”.

■ WIECZÓR OTWARCIA

Trójka gości specjalnych Festiwalu Przemiany spojrzysz na hasło „superorganizm” z trzech różnych perspektyw (6.10, godz. 19.00). Dr Ruth Dudek-Wicher z Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu opowie o badaniach nad mikrobiomem. To główny obiekt jej zainteresowań naukowych, obok biofilmu, chorób jamy ustnej oraz racjonalnej antybiotykoterapii. Prof. Bogusław Pawłowski z Uniwersytetu Wrocławskiego na co dzień zajmuje się ewolucją człowieka, biologicznym podłożem ludzkich zachowań i preferencji, a w szczególności znaczeniem cech fizycznych postrzeganych jako atrakcyjne. Podczas spotkania oceni poziom adaptacji naszego gatunku. Trzeci gość – Olivia Arthur – to londyńska fotografka, znana z dogłębnych badań tożsamości osobistej i kulturowej. Przedstawi swój projekt fotograficzny, dokumentujący współczesną ewolucję technologiczną człowieka.

Po spotkaniu rozpocznie się wernisaż wystawy „Superorganizm” (godz. 20.30). Na zakończenie zagra poeta i muzyk Maciek Polak, znawca syntezatorów analogowych. Występ będzie swoistym niedopowiedzeniem pomiędzy formułą setu DJ-skiego, otwartej improwizacji, koncertu a próbą nawiązania dźwiękowego dialogu z otoczeniem w miejscu i czasie zdarzenia (godz. 21.30).

■ WYSTAWA

Syntetyczna krtąń wydająca dźwięki wpływające na rozwój komórek macierzystych. Patchwork z antybiotykopornych bakterii. Ludzie szerszenie. Drukarka replikująca ludzkie tkanki. Zwierzęco-roślinne hybrydy. Ulepszone serce, odporne na choroby. Historia pewnej jabłotki. Zwierzęta-rośliny, potrafiące prowadzić fotosyntezę. Na wystawie zaprezentowane zostaną prace uznanych polskich i zagranicznych artystów, działających w obrębie sztuki nowych mediów, bioartu oraz sztuki kinetycznej (6-8.10).

■ PANELE EKSPERCKIE

Sobotnie spotkania (7.10) obejmą obszary, w których szczególnie intensywnie wykorzystywana jest biotechnologia. Wybitni przedstawiciele świata nauki i sztuki zabiorą słuchaczy w podróż w głąb ludzkiego ciała – od komórek, przez organy, kończąc na holistycznych programach przedłużania życia całego organizmu. Każdy panel rozpoczynać się będzie od krótkich prezentacji, wprowadzających w arkana badań lub twórczości gości. To punkt wyjścia do nieskrępowanej dyskusji i zadawania pytań o przyszłość naszego zdrowia.

O medycynie regeneracyjnej mówić będą prof. Maria Anna Cie-

merych-Litwinienko (Uniwersytet Warszawski), zajmująca się komórkami macierzystymi, oraz dr Marco Costantini (PAN), ekspert od biodruku (godz. 13.00).

Projekt bionicznej trzustki zaprezentuje dr n. med. Marta Klak (Fundacja Badań i Rozwoju Nauki), a model ulepszonych serca – amerykańska artystka Amy Karle (godz. 14.30).

Dr Rafał Lolo (AstraZeneca Pharma Poland) i dr Łukasz Jurek (Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu) rozpoczną dyskusję o długowieczności i jej ewentualnych konsekwencjach społecznych (godz. 16.00).

■ DEBATY O CZŁOWIEKU PRZYSZŁOŚCI

Nowe osiągnięcia oraz możliwości nauki i technologii fascynują, ale i budzą sprzeciw. Zwłaszcza jeśli dotyczą ulepszania człowieka. Wyobraźmy sobie armie cyborgów walczących na froncie, olimpiadę, na której rywalizują sportowcy z genetycznymi modyfikacjami, czy dzieci z ulepszeniami zamawianymi w laboratorium. Gdzie leży granica? Jakie zmiany jesteśmy w stanie zaakceptować? Festiwalowe debaty (8.10) dotyczyć będą problemów etycznych związanych z badaniami i technikami stosowanymi we współczesnej biologii, biotechnologii i medycynie. Nie można będzie zachować neutralności. Format spotkań wymaga opowiedzenia się „za” lub „przeciw”. Kontrowersyjne zagadnienia przedstawiać będą eksperci związani z konkretnymi dziedzinami: dr hab. Łukasz Kamiński z Uniwersytetu Jagiellońskiego (żołnierz przyszłości, godz. 13.00), dr Paweł Kaliszewski z Polskiego Laboratorium Antydopingowego (sportowiec przyszłości, godz. 14.30) oraz dr Joanna Różyńska z Uniwersytetu Warszawskiego (biohakerzy, godz. 16.00).

■ ARTIST TALK

Dr Ellen Pearlman zaprezentuje interaktywną instalację multimedialną „Language Is Leaving Me – An AI Opera Of the Skin”, zgłębiającą związki pomiędzy sztuczną inteligencją, pamięcią, traumą i wojną. To spotkanie przeznaczone jest tylko dla dorosłej widowni (7.10, godz. 18.00).

Elvin Flamingo pokaże „Plant Animals. Symbiosis of Creation” – instalację odkrywającą świat unikalnych roślin-zwierząt, które są przykładem symbiozy bezkręgowców z żyjącymi w ich ciele mikroalgami (8.10, godz. 14.00).

■ PERFORMANS „PRZEDŁUŻENIE”

Osobista wiwisekcja Pameli Leończyk. Próba zrozumienia i poznania siebie przez pryzmat bliskiej osoby (8.10, godz. 17.30 i 19.30).

■ KINO PRZEMIAN

Filmowa podróż w głąb ludzkiego ciała, skupiająca się na jego możliwościach i granicach, a także na relacji między człowiekiem a jego fizycznością. Pięć dokumentów, które znalazły się w tegorocznej sekcji filmowej, to różne spojrzenia na ludzką cielesność – od sacrum do profanum, od definiowania granic biologicznych do ich przekraczania, od merytoryki do kina autorskiego i eksperymentującego wizualnie (6-8.10).

■ ZAMKNIĘCIE

Wydarzenie kończące festiwal (8.10, godz. 18.30) będzie okazją do podsumowania omawianych przez trzy dni wątków oraz spekulacji na temat przyszłości naszego gatunku. Przewodnikami po różnorodnych wizjach biotechnologicznej ewolucji człowieka będą: wybitny prozaik, eseista, autor nagradzanych

powieści science fiction Jacek Dukaj oraz prezeska Digital University i badaczka nowych technologii Jowita Michalska. Goście porozmawiają m.in. o transhumanistycznych projektach radykalnego przedłużania życia, o granicach ulepszania organicznych ciał oraz o tym, czy wybierzemy kiedyś ich syntetyczne zamienniki.

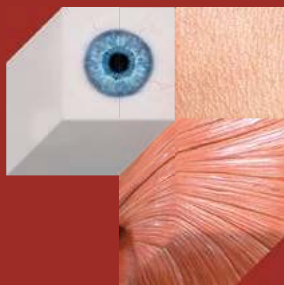
■ KAWIARNIA FESTIWALOWA

W kawiarni pop up czekać będzie specjalne festiwalowe menu – dania oparte na sezonowych i lokalnych produktach, słone i słodkie przekąski, napoje w różnych odstonach oraz selekcja kaw specjality wraz ze specjalną kompozycją festiwalową. Nie zabraknie także spotkań #przywspólnymstole – warsztatów i degustacji.

CENTRUM
NAUKI
KOPERNIK

FESTIWAL
PRZEMIANY
6-8.10.2023

SUPERORGANIZM. CZY CIAŁO MA GRANICE?



TYGODNIK
POWSZECHNY

Nowość!

PEŁNE DOŚWIADCZENIE TYGODNIKA W DOBREJ CENIE

Najlepsza opcja!

Papierowy premium + cyfrowy roczny



- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Gwarancja szybkiej dostawy
 - Natychmiastowy dostęp
 - Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

729,99 zł

Papierowy + cyfrowy



- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
 - Natychmiastowy dostęp
 - Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

599,99 zł

Prenumerata roczna



- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Nie musisz szukać w kiosku

550,00 zł

Prenumeratę papierową + cyfrową kupisz na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- prenumeratę papierową kupisz przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz

W sprawie prenumeraty cyfrowej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY

SALESi||manago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 40/2023

W Polsce rośnie zainteresowanie sztuką

PIOTR KOSIEWSKI

W cieniu wielkich obrotów domów aukcyjnych zachodzą zmiany, które będą miały duże znaczenie nie tylko dla rynku sztuki, ale też dla niej samej.



Juliusz Windorbski prowadzi aukcję obrazu Jacka Malczewskiego. Powyżej: Jacek Malczewski, Rzeczywistość, 1908 r.

Polski rynek sztuki radził sobie w ostatnich latach całkiem nieźle. Według danych GUS tylko w zeszłym roku wartość sprzedanych w naszym kraju dzieł i antyków wyniosła 650,7 mln zł. Wzrosła ona w porównaniu do roku 2021 o 59,5 mln zł, czyli o ponad 10 proc. Na samym rynku aukcyjnym obroty wyniosły natomiast 590 mln zł. Te liczby, a zwłaszcza ceny po-

jedynczych dzieł, przyciągają uwagę publiczności i mediów.

Ubiegłoroczną sensacją była sprzedaż „Rzeczywistości” Jacka Malczewskiego z 1908 r. (Desa Unicum) za 20,4 mln zł. Dziewięć kolejnych najdroższych prac, w tym obrazy Jana Matejki, Malczewskiego oraz „Portret damy” Petera Paula Rubensa (po raz pierwszy dzieło tej klasy pojawiło się na polskiej aukcji),

sprzedano łącznie za ponad 55 mln zł. Te kwoty – w porównaniu z wielkimi zagranicznymi aukcjami – są nadal dość skromne, ale od wybuchu pandemii rynek sztuki rośnie globalnie.

JAK TYLKO ZACZĘŁO SIĘ MÓWIĆ o boomie na polskim rynku sztuki, obrót na aukcjach nieco spadł. W pierwszym półroczu tego roku wyniósł, jak podaje portal →



BARTOSZ GÓRKA / ZBIORY FSP.ING



JUSTYNA CHROBOT / MATERIAŁY PRASOWE

U góry:
Karolina
Jabłońska,
Bijące się
dziewczyny,
2016 r.

Po lewej:
Hotel Warszawa
Art Fair 2023.
Prezentacja galerii
Lokal_30,
obraz Jana
Moźdzynskiego.
8 września 2023 r.

→ Arinfo.pl, ok. 191,9 mln zł – oznacza to spadek aż o 28,5 proc. w porównaniu z I poł. 2022 r. Trudno powiedzieć, czy to zapowiedź dłuższego trendu. Już teraz można się jednak zastanawiać nad przyczynami tego spowolnienia i szukać ich m.in. w uwarunkowaniach zewnętrznych, przede wszystkim związanych z niepewnością na rynkach finansowych i coraz wyraźniejszych zapowiedziach spowolnienia gospodarczego. Te czynniki mogą okazać się dużo bardziej znaczące niż wojna w Ukrainie.

Ale powody spowolnienia mogą tkwić również w samym rynku aukcyjnym. Najważniejszym z nich jest po prostu coraz mniejsza liczba obiektów wysokiej klasy, które znacząco podbijają kwotę ogólnych obrotów.

Jest jeszcze jeden problem, na który zwraca uwagę Piotr Bazyłko, prowadzący galerię Import Export: wątpliwość, czy estymacje dokonywane przez domy aukcyjne nie są zbyt wysokie, przez co do transakcji w ogóle nie dochodzi. Inna możliwa przyczyna zmniejszenia obrotów to aktywność art advisorów, którzy na rynku wtórnym bezpośrednio konkurują z domami aukcyjnymi, a dodatkowo zapewniają dyskrecję transakcji – twierdzi Bazyłko.

W CIENIU WIELKICH OBROTÓW i rekordów cenowych na aukcjach zaszły zmiany, które być może będą miały znaczenie nie tylko dla rynku sztuki, ale też dla niej samej. Weźmy malarstwo, które zawsze dominowało nad Wisłą. Według danych GUS w 2022 r. uzyskano za nie aż 563 mln zł, czyli 86,5 proc. łącznej kwoty sprzedaży. Udział w tej kwocie dawnego malarstwa stanowił 342,8 mln zł (52,7 proc. ogólnej kwoty sprzedaży), współczesnego zaś 220,2 mln zł (33,8 proc.). Na świecie to sztuka nowoczesna przyciąga coraz większą uwagę. Najstarszy z 10 najdrożej sprzedanych obrazów pochodził z 1888 r., ale połowa z nich powstała po 1945 r. (najnowszy, Jeana-Michela Basquiata, powstał w 1982 r. i został sprzedany za 85 mln dolarów).

W Polsce zainteresowanie sztuką nowoczesną daje o sobie znać bardzo powoli. Wiele prac, zwłaszcza klasyków nowoczesności, osiąga już jednak ceny przez lata zarezerwowane dla sztuki pochodzącej z XIX i początku XX w. Dotyczy

to zarówno klasyków tamtego czasu, np. Magdaleny Abakanowicz (jej instalację „Bambini” sprzedano w 2021 r. za 13,6 mln zł), która nadal należy do rekordów na naszym rynku sztuki, Wojciecha Fangora, Tadeusza Kantora czy Andrzeja Wróblewskiego, jak i sztuki powstającej współcześnie.

Ten zwrot pokazuje znaczącą zmianę: nie tylko gustów, ale też hierarchii artystycznych. Jeszcze ważniejsze jest jednak coraz większe zainteresowanie sztuką powstającą współcześnie. Nie chodzi jedynie o najgłośniejsze nazwiska i rekordy, jakie w ostatnich latach osiągają na aukcjach prace Wilhelma Sasnała (od 160 do 280 tys.) czy Ewy Juszkiewicz (od 220 do 400 tys.; w 2021 r. w Desie Unicum „Dziewczyny do wzięcia” z 2010 r. wylicytowano za ponad 1 mln zł).

WIĘCEJ MÓWIĄ NAM ceny sztuki w obiegu galeryjnym. to on bowiem – a nie zmitologizowane medialnie sławetne aukcje młodej sztuki – mają kluczowe znaczenie dla sytuacji materialnej artystek i artystów. Owszem, aukcje młodej sztuki stały się – ze względu na skalę – stałym segmentem rynku. Organizują je chętnie domy aukcyjne, łącznie z największymi, jak Agra-Art, Sopocki Dom Aukcyjny, Rempex czy Desa Unicum. Ten ostatni w 2021 r. zaoferował ok. 1000 prac młodych artystów. Ten sposób sprzedaży dla pewnej grupy stał się jednym ze źródeł dochodu, jednak nie ma znaczenia dla budowy pozycji artystek i artystów. Desa

Unicum wyliczyła, że średnia cena sprzedanych na jej zeszłorocznych aukcjach prac wyniosła zaledwie 4 tys. zł. Tymczasem na odbywających się w Warszawie na początku września tego roku Hotel Warszawa Art Fair, w których uczestniczyła większość najważniejszych, nie tylko warszawskich galerii, oferowano m.in. obrazy Karoliny Jabłońskiej (Raster) w cenach od 22 tys. do ok. 100 tys., Jana Możdżyńskiego (Lokal 30) za 38 tys., Mikołaja Sobczaka (Polana Institute) od 18 tys. do 98 tys.

Wszyscy wymienieni, urodzeni po 1985 r. artyści reprezentują najmłodsze pokolenie w sztuce. I to z nimi związana jest kolejna z najważniejszych zmian, jakie zaszły po 2020 r.: bardzo szybko, w porównaniu z ich poprzednikami, zostali oni zauważeni przez prywatnych kolekcjonerów i galerie. Znaczące jest to, że niektórzy z tych artystów, mimo młodego wieku, rozpoczęli już współpracę z tymi najbardziej wpływowymi i najstarszymi instytucjami, jak Fundacja Galerii Foksal (Karol Palczak, Agata Słowak) czy Raster (Karolina Jabłońska, Emilia Kina, Dominika Olszowy). Ich prace są niejednokrotnie sprzedawane za kwoty, na które nie mogli liczyć reprezentanci wcześniejszych pokoleń.

Bazyliko: – 5-10 lat temu tylko kilkoro artystów miało szansę zadebiutować w galeriach komercyjnych, a pewnie i tak nie wszyscy mogli się utrzymać z tworzenia sztuki. Dziś ta grupa jest znacznie liczniejsza, choć oczywiście przede wszyst-

kim dotyczy malarek i malarzy. Ale to też już się zmienia i coraz więcej artystek oraz artystów tworzących w innych mediach niż malarstwo będzie w stanie się utrzymać z tworzenia sztuki.

Jak zwraca uwagę Michał Woliński, prowadzący warszawski Piktogram: – Pozycja młodego pokolenia świadczy o jego rosnącej świadomości i profesjonalizacji, co powoduje też m.in. dostosowywanie się do rynku. Jednak ze wzrostem znaczenia młodych artystek i artystów związane są też zagrożenia, wynikające przede wszystkim ze zmian, jakie zaszły w Polsce w instytucjach publicznych.

Ich zanik czy automarginalizacja sprawiły, jak podkreśla Marika Zamojska z Polana Institute, że funkcje wspierające artystów przejęły prywatne podmioty i oddolne inicjatywy: – Bardzo trudno budować karierę, tzn. brać udział w wystawach, współpracować z kuratorami, kuratorami, kiedy liczące się kiedyś muzea, poza pojedynczymi przykładami, po prostu przestały mieć znaczenie.

JEDNOCZEŚNIE TO GALERIE PRYWATNE w ostatnich latach są największymi beneficjentami zmian, jakie miały miejsce po 2020 r. W bardzo krótkim czasie udało im się poszerzyć grono kupujących. Nastąpiła też profesjonalizacja samych galerii. Nabywanie dzieł sztuki, także współcześnie powstającej, niezależnie od intencji – pasji kolekcjonerskiej bądź lokaty kapitału – przestało być zajęciem dla wąskiego grona.



REKLAMA

słowo/obraz terytoria



Krzysztof Pomian

Muzeum. Historia światowa
Tom 2: Zakotwiczanie w Europie,
1789–1850

W przygotowaniu:
Tom 3: Na podbój świata, 1850–2020

NOWOŚĆ





Dominika Olszowy, *Krajobraz zimowy*, 2018, wideo, 5'17" (kadr z filmu)



Emilia Kina w galerii Raster.

→ Jeszcze ważniejsze jest to, że to galerie prywatne zdobyły zaufanie klientów. Wreszcie, znacząco wzrosło zainteresowanie publiczności – tegoroczne Hotel Warszawa Art Fair w ciągu trzech dni odwiedziło ponad 4 tysiące osób! Odrębną kwestią jest pytanie o to, czy galerie prywatne potrafiły wypełnić lukę, jaka powstała po upadku znaczenia zwłaszcza największych instytucji publicznych, i stały się miejscem społecznej debaty o sztuce. Tylko nielicznym to się udało.

Są wreszcie inne zjawiska, które odbyły się na rynku sztuki, np. przyspie-

szony przez pandemię i lockdown, jak pisała krytyczka Michalina Sablik, „proces zlewania się rzeczywistości online i offline”. Dzisiaj trudno być artystą czy artystką „bez kont w mediach społecznościowych, a przede wszystkim na Instagramie, który stał się (...) ważnym miejscem czerpania informacji na temat art worldu”. Ale też – trzeba dodać – narzędziem prezentacji twórczości i jej dystrybucji. W przypadku niektórych bardzo skutecznym. Kiedyś, choć sprzedawaliśmy dużo rzadziej i mieliśmy mniej kolekcjonerów, handlo-

waliśmy dziełami tworzonymi w różnych mediach: fotografią, wideo, rzeźbami, obiektami, *ready mades*, kolażami – sztuką mniej dekoracyjną, a bardziej intelektualną – podkreśla Justyna Kowalska z BWA Warszawa.

Nie można zapominać, jak zwraca uwagę Marika Zamojska, że chociaż od malarstwa zazwyczaj zaczyna się kolekcjonować sztukę, to nowe media są kolejnym stopniem wtajemniczenia na tej drodze. Podejmowane są próby przyzwyczajania osób zbierających sztukę do mediów kojarzonych zazwyczaj z rzemiosłem, jak tkanina czy mural.

Stąd innym nowym zjawiskiem jest pojawienie się osób zajmujących się *art advisory*, czyli doradzaniem kolekcjonerom, jak tworzyć zbiory, co i kiedy nabywać, jakie strategie zakupowe przyjmować. I to te osoby pełnią rolę pośrednika między kolekcjonerami a galeriami i artystami.

Co znaczące, coraz częściej próby poszerzenia zainteresowania kolekcjonerów podejmują także domy aukcyjne. Znaczące wzrosty cen w ostatnich latach dotyczyły nie tylko malarstwa, czy też budzącej coraz większe zainteresowanie rzeźby, ale też chociażby prac na papierze – na niedawnej aukcji Desy Unicum poświęconej twórczości kobiet kolaż Ewy Juszkiewicz wylicytowano za 28 tys. zł. Wreszcie, podejmuje się próby zainteresowania nowymi mediami – na tej samej aukcji znalazły się prace wideo. Sprzedała się jednak tylko jedna – „Letnia opowieść”, z cyklu „W sztuce marzenia stają się rzeczywistością”, Katarzyny Kozyry z 2008 r. Osiągnęła cenę 190 tys. zł.

ZMIANY NA RYNKU SZTUKI, wręcz moda na twórczość młodych artystek i artystów – wszystko to sprawiło, że mówi się o cywilizacyjnej zmianie w naszym kraju. O społecznej dojrzałości Polek i Polaków. Jest jednak pytanie postawione niedawno przez krytyka Aleksego Wójtowicza na łamach magazynu „Szum”: „skoro jest tak dobrze, to dlaczego dla większości jest tak źle?”. Dla tych wszystkich, którzy „nie załapali się” na cenowy boom. Rynek, nawet najsilniejszy, nie rozwiąże problemów wszystkich artystek i artystów. I nie zastąpi instytucji publicznych w funkcjach, jakie pełnią dla twórców, a tym bardziej dla odbiorców sztuki.

© PIOTR KOSIEWSKI



Mikołaj Sobczak, The Smiths, 2019

Młode malarstwo ma mocną pozycję na rynku sztuki

KAMILA BONDAR, PREZESKA FUNDACJI SZTUKI POLSKIEJ ING:

Przez wiele lat grono kolekcjonerek i kolekcjonerów sztuki współczesnej w naszym kraju było niewielkie – obejmowało kilkadziesiąt osób. Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu miesięcy bardzo się powiększyło. Dzięki temu także galerie znalazły się w lepszej sytuacji.

PIOTR KOSIEWSKI: Są, nie tylko w Polsce, dwie podstawowe grupy kolekcji prywatnych: korporacyjne oraz tworzone przez indywidualne osoby. Czym się różnią?

KAMILA BONDAR: W Polsce kolekcje korporacyjne powstają z potrzeby realizowania misji firm albo ze względu na chęć wypełnienia dziełami sztuki przestrzeni biurowych. Za niektórymi stoi po prostu osoba

prezesa lub kogoś z zarządu, kto własną pasję kolekcjonerską postanawia przenieść na grunt firmowy.

Kolekcja Fundacji Sztuki Polskiej ING powstała w 2000 r. z dwóch powodów. →

→ Po pierwsze, cała grupa ING posiada kilkadziesiąt tysięcy prac, co wiąże się z tradycją kolekcjonowania sztuki w Holandii, gdzie każda instytucja, nawet szpitale publiczne, mają własne zbiory.

Drugim powodem było powstanie nowej siedziby ING w Warszawie, w której, zgodnie z praktyką firmy, pojawiły się dzieła sztuki.

Ale było jeszcze jedno wydarzenie, które poprzedziło powołanie Fundacji: w 1997 r. ING wsparło odbywającą się w Zachęcie wystawę grupy CoBrA. Od tego czasu rozpoczęła się stała współpraca z tą instytucją, która nadała kształt kolekcji.

Od samego początku powstanie kolekcji ING było częścią strategii banku w obszarze określanym niegdyś jako *corporate social responsibility*. Dziś jest to po prostu mecenat. A zadaniem Fundacji jest udzielanie wsparcia dla środowiska artystek i artystów oraz opieka nad samą kolekcją.

Potem doszły kolejne działania: prowadzenie projektu „Artysta-Zawodowiec”, program wydawniczy czy współpraca z Warsaw Gallery Weekend.

Państwa kolekcję wyróżniało skupienie się na sztuce powstającej aktualnie. Dopiero niedawno mBank zdecydował się na podobne sprofilowanie zbioru – sprzedał swoją dawną kolekcję i zaczął zbierać młode polskie nowe malarstwo. Jak wyglądają korporacyjne kolekcje w naszym kraju?

Decyzja mBanku jest bardzo ciekawa. Wybranie zaś malarstwa wpisuje się w jego strategię wizerunkową, wskazuje też, że tworzenie kolekcji ma potencjał inwestycyjny.

Dla nas ważna jest wartość symboliczna prac wchodzących do kolekcji, mimo że nie zawsze ich wartość rynkowa jest znacząca. Celem Fundacji ING jest tworzenie kanonu.

Wybieramy to, co jest ciekawe w polskiej sztuce, i pokazujemy, jak kolejne pokolenia artystek i artystów opowiadają o tym, co się aktualnie dzieje w kraju.

W ten sposób budowana od niemal ćwierć wieku kolekcja jest zapisem historii Polski tego czasu.



ARCHIWUM PRYWATNE

KAMILA BONDAR – prezeska Fundacji Sztuki Polskiej ING i kuratorka jej kolekcji. Współzałożycielka Fotoklubu. Menedżerka kultury, producentka międzynarodowych festiwali sztuki współczesnej Villa Reykjavík, Villa Tokyo i Villa Toronto.

W statucie Fundacji – to w Polsce nadal rzadkie rozwiązanie – zapisano, że w przypadku zaprzestania jej działalności kolekcja zostanie przekazana do zbiorów publicznych, dostanie ją warszawska Zachęta.

To ważny zapis, bo nadał kolekcji charakter publiczny. Nikt w ING nie traktował tych dzieł jako własności banku. Przez cały czas staramy się dzielić nimi z publicznością: prace są regularnie wypożyczane na wystawy, a cała kolekcja prezentowana jest na stronie ingart.pl. Udało się nam również stworzyć ich ekspozycję publiczną w siedzibie przy pl. Unii Lubelskiej w Warszawie.

Wspomniała Pani o Warsaw Gallery Weekend, czyli przeglądzie organizowanym nie tylko przez stołeczne galerie. To obecnie największa tego typu impreza w naszej części Europy. Jak zmienilo się funkcjonowanie galerii w Polsce w ostatnich latach?

Przez wiele lat grono kolekcjonerek i kolekcjonerów sztuki współczesnej było niewielkie – obejmowało mniej więcej 60 osób. Można było dosłownie wszystkie

te osoby zaprosić na spotkanie do domu. W ostatnim czasie – i pandemia na to wpłynęła – grono to bardzo się powiększyło. Sztuka współczesna stała się interesująca. Dzięki temu także galerie znalazły się w dużo lepszej sytuacji. To ważne, bo chociaż nadal jest ich niewiele, to pełnią bardzo ważną funkcję: zapewniają artystkom i artystom byt i bezpieczeństwo.

Jak rynek galleryjny w Polsce wygląda na tle Europy?

Polska scena artystyczna bardzo różni się na tle regionu. Jest to różnorodne i aktywne środowisko, z wieloma podmiotami na rynku. Nic takiego nie dzieje się ani w Pradze, ani w Budapeszcie. W porównaniu do Berlina czy Londynu mamy o wiele krótszą historię, ale rynek szybko rośnie, przybywa kolekcjonerów, w galeriach zaczynają pojawiać się także zagraniczni artyści, co znaczy, że rynek dojrzeje.

Co sami kolekcjonerzy mówią o powodach, dla których rozpoczęli zbieranie sztuki?

Często mówią, że o pierwszym zakupie decydował przypadek, a po jakimś czasie okazało się, że zbieranie sztuki ich wciągnęło. Kupowanie stało się sposobem na życie. Kolekcjonerzy coraz wyraźniej dostrzegają też rozmaite ograniczenia, wynikające chociażby z braku miejsca do eksponowania czy przechowywania zbiorów. Przede wszystkim zaczynają sobie zdawać sprawę z wartości posiadanych dzieł, a także z odpowiedzialności za ich przyszłość. Kiedyś część tych prac znajdzie się w muzeach.

Trzeba oczywiście pamiętać, że zbiory prywatne nie zastąpią kolekcji instytucjonalnych, bo instytucje mają zupełnie inne możliwości magazynowe, opiekę konserwatorską, a przede wszystkim – skalę samych zbiorów.

Kupowanie sztuki jest też traktowane po prostu jako kapitałowa inwestycja.

Także w Polsce?

Na pewno potraktowanie sztuki jako lokaty bardzo często jest pierwszym impulsem. Dotyczy to wielu osób, które potem zaczynają tworzyć kolekcje i już nie myślą o sprzedawaniu posiadanych dzieł. Inni obracają częścią zbioru, by kupować nowe prace.

Z obecnym, gwałtownym wzrostem rynku sztuki wiąże się moda na malarstwo. Prace młodych twórców, niejednokrotnie świetne, mają często wysokie ceny, zbliżone do osiągniętych przez artystów z mocną pozycją w kanonie polskiej sztuki.

Trzeba pamiętać, że w tym świecie jest dużo fałszywych obietnic, ale też bardzo dużo podmiotów – zarówno wśród domów aukcyjnych, jak i galerii – które działają w sposób nie do końca uczciwy. Dlatego tak ważna jest współpraca z tymi, którzy dają gwarancję jakości i zbudowali zaufanie odbiorców.

A jak Pani ocenia dzisiejszy stan kolekcji publicznych?

Są niedofinansowane, nie ma też zbyt dużych możliwości nabywania nowych dzieł. Środki publiczne są rozproszone. W tej sytuacji ważniejszy jest potencjał, jakim dysponują kolekcje prywatne.

Chętnie powtarza się, że zmiana, która zaszła na rynku sztuki, ułatwi artystom funkcjonowanie. Jednak rynek galerii wszystkich nie obejmie. W jakiej sytuacji są dziś młodzi twórcy?

Długo dominowały dwie strategie. W pierwszej, po studiach trzeba było od 3 do 5 lat budować rozpoznawalność, brać udział w wystawach koleżeńskich, by potem znaleźć się w galerii, która będzie nas reprezentowała. W drugiej – działalność artystyczna była oparta o rezydencje i projekty realizowane dla instytucji publicznych. W ten właśnie sposób funkcjonowało wielu twórców, którym udawało się utrzymywać ze sztuki. To jednak się skończyło. Instytucje stały się bardzo słabe albo zupełnie zmieniły profil. Obecnie możliwych scenariuszy jest o wiele więcej, ale wszystkie wymagają od twórców pomysłowości i przedsiębiorczości.

W Fundacji już dawno myśleliśmy o stworzeniu programu, który opowie

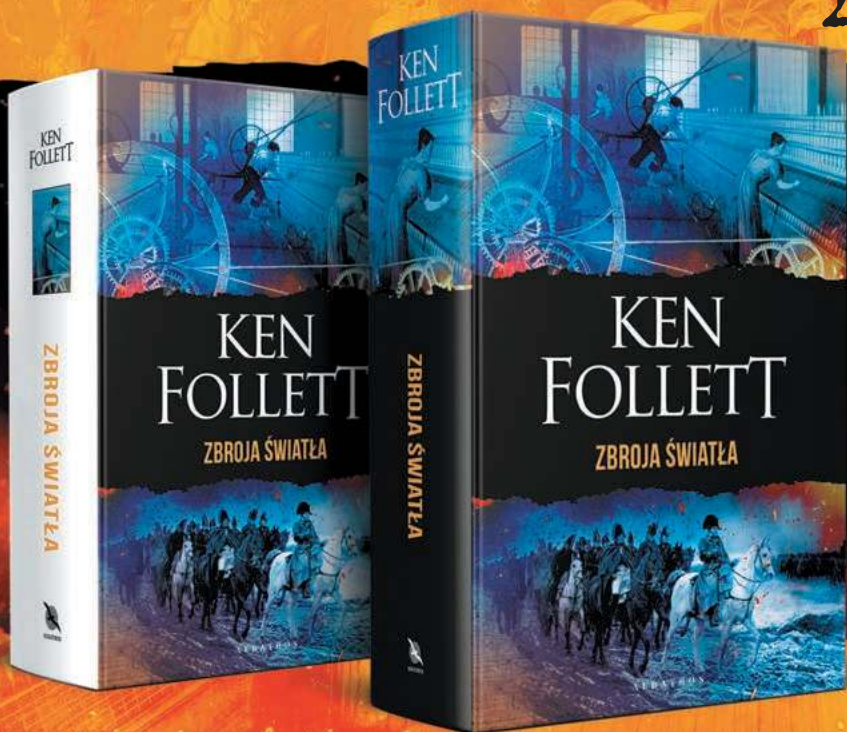
młodym artystkom i artystom o praktycznych aspektach funkcjonowania w świecie sztuki. Stąd wziął się projekt „Artysta-Zawodowiec”. Staramy się zmienić sposób myślenia o byciu artystą i traktować go jako zawód, a nie rodzaj powołania, przywilej czy realizację pasji. Ludzie muszą utrzymać się, mieć poczucie bezpieczeństwa, prawo do odpoczynku.

Uprawianie sztuki przyjmuje różne oblicza, czasem efemeryczne albo aktywistyczne. W każdym scenariuszu artyści, żeby funkcjonować, muszą pełnić kilka ról: znaleźć sposób na dotarcie do potencjalnych odbiorców, zadbać o dalszą edukację i rozwój, zdobyć stypendium, zorganizować sobie miejsce do pracy, ubezpieczyć się, rozliczyć z księgową itd.

Nasz program podejmuje wiele tematów związanych z różnymi aspektami funkcjonowania, od kwestii bytowych po macierzyństwo czy specyfikę pracy kolektywnej. I cieszy się ogromnym zainteresowaniem.

© Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI

NAJWIĘKSZA LITERACKA PREMIERA 2023 ROKU!



Ukoronowanie cyklu rozpoczętego przez „Filary Ziemi”, a zarazem pomost między nim a trylogią „Stulecie”.

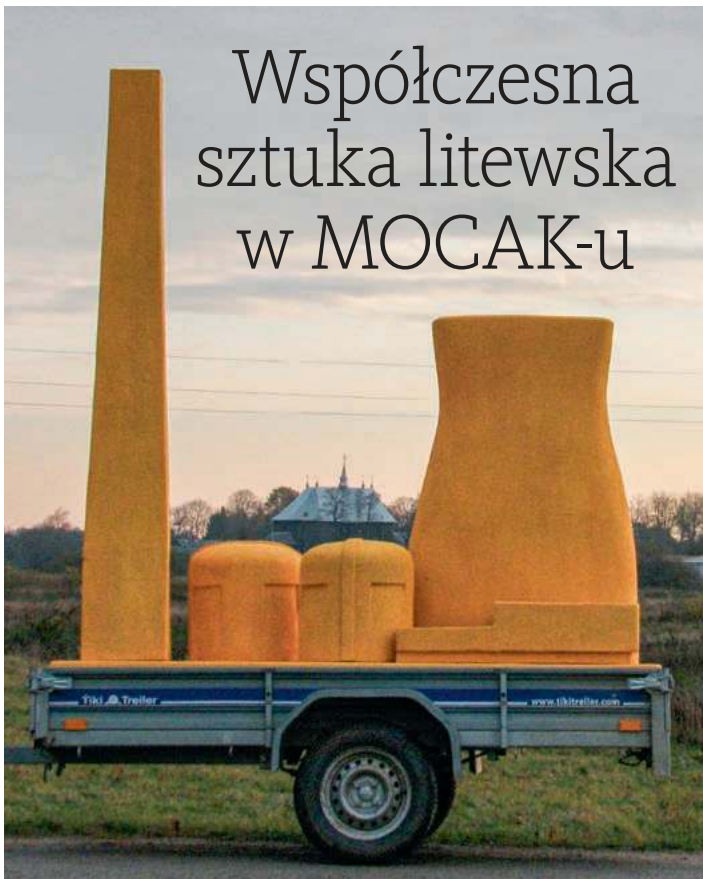
Wielka historia widziana oczami zwykłych ludzi. Losy jednostek wtłoczonych w beznamiętne tryby postępu. Bunt i desperacka walka o wolność i przetrwanie.

Rewolucję czuć w powietrzu. Kingsbridge staje na krawędzi. Tyrania staje się faktem.



WYDAWNICTWO
ALBATROS

Współczesna sztuka litewska w MOCAK-u



MATERIAŁY PRASOWE MOCAK

WYSTAWA prezentuje najważniejsze tendencje oraz postaci współczesnej sztuki litewskiej. Została zorganizowana we współpracy z Litewskim Narodowym Muzeum Sztuki w Wilnie i opiera się na zbiorach tej instytucji oraz kolekcjach prywatnych.

Motywy przewodnim ekspozycji wpisującej się w obchody 700-lecia Wilna jest paradoks, czyli zaprzeczenie logicznym argumentom. W sztuce często używa się go jako narzędzia rzucającego wyzwanie przekonaniom i oczekiwaniom publiczności. Cel: sprowokowanie odbiorców do przyjrzenia się sytuacjom, które wydają się niekwestionowalne.

Litewska sztuka współczesna z upodobaniem porusza się w tym kręgu. Przede wszystkim dlatego, że pokolenie współczesnych twórców wychowało się w komunistycznym porządku społecznym, ale samodzielnie zaczęło żyć i tworzyć w czasach niepodległości. Ten rozdział w naturalny sposób zostawił w nich ślad w postaci poczucia paradoksu, rzeczywistość stała się nieznośnie intensywna, nieokiełznana i trudna do pojęcia rozumem.

Wystawa – obejmująca m.in. instalacje, wideo, rzeźby (na zdj. Juozas Laivys, Nuclear plant in Seda, 2011, Courtesy of the LNMA) – ukazuje jedynie wycinek sztuki litewskiej ostatnich 30 lat. Nie jest to retrospektywa, lecz przegląd postaw wobec wspomnianego motywu. ©© MOCH

REKLAMA

 **Kraków**



MUZEUM
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
W KRAKOWIE
MOCAK
MUSEUM
OF CONTEMPORARY ART
IN KRAKOW

**UCZYŃ TO REALNYM.
CZYLI PODOBNYM
DO CZEGO?**
WSPÓŁCZESNA
SZTUKA
LITEWSKA

OD 27 PAŹDZIERNIKA 2023
W MOCAK-U

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

WSPÓŁORGANIZATOR:



PRZY WSPARCIU:



MECENAS MUZEUM



PARTNER MOCAK-U



PATRON GALERII RE



PATRONI MEDIALNI

RMF
CLASSIC

wyborcza.pl



EGLE BAKAUSKAITĖ, THE TRAP. EXPULSION FROM PARADISE, 1995.
ZDJEŃCIE DZIĘKI UPRIĘŻNOŚCI LITIEWSKIEGO NARODOWEGO MUZEUM SZTUKI

Retrospektywa Steichena w MUFO

**Prace jednego
z pierwszych fotografów
mody i reklamowych
– tej jesieni zobaczymy
w Krakowie.**

Swój pierwszy aparat Edward Steichen (1879-1973) kupił jako szesnastolatek – używał go, by ułatwić sobie rysowanie scen rodzajowych potrzebnych do pracy nad reklamami. Szybko zorientował się, jakie możliwości niesie nowe medium, i zaczął wykorzystywać je do utrwalania nastrojowych, romantycznych pejzaży. Podobny charakter miały prace malarskie Steichena z tego okresu – inspirację stano-

wili dla niego tacy artyści jak Whistler, Monet czy Watts.

W 1900 r. wyjechał do Paryża – po drodze zatrzymując się w Nowym Jorku, gdzie spotkał się z Alfredem Stieglitzem, który miał w nadchodzących latach pełnić rolę jego mentora. W Europie nie szukał formalnej edukacji, ale spotykał się z artystami. Wielu z nich – m.in. Rodina, Maeterlincka czy Muchę – sportretował na zdjęciach, tworząc starannie przemyślane kompozycje inspirowane stylem modeli. W 1902 r. powrócił do USA i przez cztery lata prowadził w Nowym Jorku studio fotograficzne. W przeciwieństwie do większości atelier zajmujących się fotografią portretową, przed wykonaniem portretu starał się poznać modela lub modelkę – dlatego też ograniczał się do fotografowania jednej osoby dziennie.

W czasie Wielkiej Wojny zaciągnął się do armii, gdzie od 1917 r. zajmował się fotografią lotniczą i wprowadzeniem wspólnych standardów dot. dokumentacji fotograficznej państw ententy. Za tę pracę został przez rząd francuski wyróżniony Legią Honorową. W czasie

II wojny światowej stworzył i prowadził dla marynarki wojennej jednostkę fotograficzną, która zajmowała się m.in. dokumentacją wojny na Pacyfiku.

Przełomowy dla Steichena okazał się rok 1923, kiedy rozpoczął współpracę z magazynami „Vogue” oraz „Vanity Fair”, stając się jednym z najbardziej cenionych fotografów modywych swojej epoki. W 1946 r. objął stanowisko kierownika Działu Fotografii w nowojorskim Museum of Modern Art.

Jednym z największych osiągnięć artysty z tego okresu było przygotowanie wystawy „Rodzina człowiecza” – wizualnego eseju o równości i różnorodności ludzi, złożonego z ponad 500 zdjęć autorstwa 273 fotografek i fotografów. Wystawę po raz pierwszy zaprezentowano publiczności w 1955 r. W latach 1959-60 pokazywano ją także w Polsce.

Ostatnie lata życia spędził na farmie w Connecticut. Głównym tematem jego fotografii w tym okresie stało się drzewo świdosiwa, które dokumentował w różnych porach roku i warunkach atmosferycznych.

©© MOCH

REKLAMA


Kraków


14.10.2023–28.1.2024

Wybrane fotografie
z kolekcji MNAHA
w Luksemburgu

EDWARD STEICHEN 1879–1973

MuFo Rakowicka
ul. Rakowicka 22A
mufo.krakow.pl



Edward Steichen, Modelist Claire Coulier oraz Avir Newcomb przy Patle Alai 1200 w sulkach od Lanvin i Chanel, 1931. Zbiory MNAHA w Luksemburgu. Copyright © 2023 The Estate of Edward Steichen / Art and Rights Society (ARS), New York





MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA



„Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć”, fotografia promocyjna spektaklu, Teatr im. Słowackiego w Krakowie, reż. Marcin Liber

BARTEK BARCZYK / TEATR SŁOWACKIEGO

Jesień wyborów

DARIUSZ KOŚIŃSKI

Mimo wielu niesprzyjających okoliczności, polskie sceny rozpoczynają nowy sezon. Zapowiada się naprawdę ciekawa jesień.

W nadchodzących tygodniach wielu z nas zaangażują okółowyborcze popisy. Ich prostakiemu spektaklowi teatr przeciwstawia się już samym swym istnieniem, ale też radykalnie odmiennym sposobem działania. Wciąż mamy wokół siebie ludzi, którzy zamiast okładać się po głowach, wolą spojrzeć na siebie i świat z szerszej perspektywy.

Niestety politycy mają wpływ na życie teatru – i to w najdosłowniejszy sposób.

W efekcie ludzie sceny muszą tracić czas i siły na protesty (jak w Krakowie) lub poszukiwanie źródeł finansowania swojej pracy (jak właśnie dzieje się w Legnicy, gdzie Teatr Modrzejewskiej, pozbawiony przez lokalnych „polityków” znacznej części budżetu, rozpoczął zbiórkę pieniędzy na produkcję zapowiadanej na styczeń 2024 r. premiery „Dziejów grzechu” według powieści Żeromskiego w reżyserii Darii Kopiec; szczegóły zbiórki na stronie Teatru). Nadal jednak robią swoje i zapowiadają jesień pełną wydarzeń.

NADCHODZĄCY SEZON stać będzie pod znakiem artystek, które konsekwentnie umacniają teatr jako narzędzie oporu przeciwko patriarchy i dyktaturze poprzez wytwarzanie i wypróbowywanie alternatywnych form współistnienia. Wobec reakcyjnego powrotu machiwalistycznych narracji okółowyborczy jest to działanie niezbędne, ocalające przed wejściem w maszynę rywalizacji, która ostatecznie mogłaby zmienić nas wszystkich w przegranych i przegranych zgotować nam los.

Już 29 września w **Teatrze Powszechnym w Warszawie** odbędzie się premiera „Matek. Pieśni na czas wojny” – chórowego spektaklu Marty Górnickiej, realizowanego z zespołem ukraińskich, polskich i białoruskich kobiet. Kobiety chór zmierzy się z wojennymi świadectwami matek i dzieci, by przeciwstawić się niosącemu cierpienie i śmierć okrzykom wojennym. Z kolei 6 listopada Monika Strzępka w **warszawskim Dramatycznym** pokaże dawno oczekiwaną sceniczną adaptację „Heks” Agnieszki Szpili. Obie premiery rodzą nadzieję, że tym razem w teatrze coś stanie się naprawdę.

Plany na najbliższe miesiące sugerują też, że teatr bardzo serio traktuje pozornie przypadkowe połączenie walki o prawa kobiet i o wolność Ukrainy i Białorusi. Jako przykład niech posłuży zapowiadana przez **Teatr Polski w Bydgoszczy** „Buka” Leny Laguszonkowej w reż. Olhi Turutii-Prasolovej (premiery w listopadzie 2023 r.) – feministyczne przedstawienie, w którym ukraińsko-białorusko-polski zespół poszukiwać ma sposobów na uznanie sprawczości doświadczenia kobiecego, także tego, które uważane jest za obciachowe i bezowocne.

Do solidarności i wspólnoty doświadczeń kobiet Europy Środkowej nawiąże rumuńska reżyserka Gianina Carbunariu, która w grudniu wystawi w **szczyńskim Współczesnym** „Opowieści babć szepcane córkom przez matki”, przypominając okres 1966-1989, kiedy w Rumunii obowiązywał całkowity zakaz aborcji.

Wcześniej, bo już 20 października, na scenie **TR Warszawa** młoda niemiecka reżyserka Emma Hütt zainscenizuje XV-wieczną „Księgę o Mieście Pań” Krystyny de Pizan, tę samą, która zainspirowała kiedyś Federica Felliniego. Tym razem zamiast męskich fantazji na scenie

powołane ma zostać prawdziwe „Miasto kobiet” – Warszawa.

Jednym z głównych tematów przedstawień kobiecości (niekoniecznie realizowanych przez osoby kobiece) jest napięcie między niepowtarzalnym ciałem jednostki a normami wytwarzanymi kulturowo dla większości i przez nią akceptowanymi. Na 21 września **Teatr Powszechny w Warszawie** zapowiada podejmującą go premierę adaptacji świetnie znanej z kina powieści Petera Hedgesa „Co gryzie Gilberta Grape’a”, którą wyreżyseruje młoda twórczyni Karolina Kowalczyk.

Z cielesnością ściśle związane jest pragnienie i doświadczenie erotyczne. W jego ciemniejsze strony spojrzą twórcy nowej wersji „Carmen” (**Teatr Nowy w Łodzi**, prem. 17 września w ramach Festiwalu Łódź Czterech Kultur). Adaptacja Anny Obszańskiej (także reżyseria) i Błażeja Biegasiewicza podejmuje temat sprowadzania osoby ludzkiej do kategorii ciała-objektu. Komplikacje związku dojrzalej kobiety z „Młodym mężczyzną”, bo

taki tytuł nosi najnowsza książka ubiegłorocznej noblistki Annie Ernaux, odsłoni **Wrocławski Teatr Współczesny** (prem. 16 września). Reżyseruje Katarzyna Kalwat, która w ubiegłym sezonie zachwyciła adaptacjami Joyce’a i Pereca (wciaż do zobaczenia we Wrocławiu i Krakowie!).

Wreszcie z czułością na nienormalny związek spojrzeć chce Karolina Szczypek, pracująca nad reżyserią własnej adaptacji powieści Olgi Górskiej „Nie wszyscy pójdziemy do raju” (**Teatr Żeromskiego w Kielcach**, prem. 23 września).

ROZGŁOS, a nawet prawdziwie niezwykły sukces, jaki odnosiły w sezonie ubiegłym przedstawienia odwołujące się do niedawnej historii (na czele z „1989”), przyczynił się zapewne do tego, że wiele nadchodzących premier lokować się będzie w tym kręgu. O inspirację sukcesem krakowskim podejrzewać by można Artura Pałygę i Roberta Talarczyka, którzy przygotowują musical „Rebelia! Kor-

fanty” (prem. 9 listopada) – gdyby nie to, że **Teatr Śląski w Katowicach** postacią Wojciecha Korfatego zajmuje się od dawna, a i oryginalne spektakle muzyczne tworzy nie od dziś.

Zupełnie inaczej brzmieć będzie zapewne poświęcony historii najnowszej alternatywy spektakl, który w **Łódzkim Teatrze Nowym** przygotowuje Agnieszka Jakimiak. Pod roboczym tytułem „Rave’y, których nie przeżyłam” kryje się wyprawa w świat łódzkiej kultury klubowej przełomu tysiącleci (prem. 17 listopada).

Do bohaterów najnowszej historii sięgają też oczywiście w Krakowie, gdzie **Łaźnia Nowa** organizuje spotkania z Anną Walentynowicz graną przez Agnieszkę Przepiórską (prem. 1 września), a **Teatr Słowackiego** (prem. 29 września) wpuści na swoją scenę Andrzeja Leppera w przedstawieniu Marcina Libera. Z kolei Julia Holewińska (tekst) i Wojciech Faruga (reżyseria) oddadzą głos rumuńskiej parze dyktatorów w spektaklu „Ostatnie dni

REKLAMA

R20 charytatywna
aukcja sztuki
W refugees
welcome **23**

artystki
i artyści
na rzecz
uchodźczyń
i uchodźców

Muzeum Sztuki
Nowoczesnej
w Warszawie
Wybrzeże Kościuszkowskie 22

FUNDACJA
OCALENIE

TPM
sztuki
nowoczesnej
w Warszawie

MUZEUM
sztuki
nowoczesnej
w Warszawie

M

WYSTAWA
29.09–10.12.2023

AUKCJA
5.11.2023



instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy



Mecenas Muzeum i Kolekcji



Partner prawny Muzeum



Współpraca



Współpraca medialna





Ewelina Paszke-Lowitzsch i Dominik Smaruj w spektaklu „Młody mężczyzna”,
Wrocławski Teatr Współczesny, reż. Katarzyna Kalwat



Marek Bula i Barbara Dembińska w spektaklu „Carmen”,
Teatr Nowy w Łodzi, reż. Anna Obszańska

→ Eleny i Nicolae Ceaușescu” (premiera w październiku w ramach **bydgoskiego Festiwalu Prapremier**).

Z historią mającą współczesny rezonans zmierzy się **Teatr Szaniawskiego w Wałbrzychu**, przygotowując autorski projekt Seba Majewskiego „Nocny portier legitymacja” (prem. 1 grudnia), oparty m.in. na głośnym filmie Liliany Cavani. Podobnie uczyni scena w sąsiedniej **Legnicy**, zapowiadająca adaptację historycznego reportażu Franka Westermana „Czysta biała rasa” o... hodowli koni (reż. Romuald Wicza-Pokojski, prem. 9 grudnia).

Historia uczy krytycznego spojrzenia na tożsamości. Tak właśnie będziemy patrzeć na coraz bardziej problematyczną tożsamość, zarówno europejską (międzynarodowa produkcja „The Best European Show” w reż. Harisa Pašovicia na scenie **Teatru Kochanowskiego w Opolu**, prem. 13 października; adaptacja „Uległości” Michela Houellebecqa, **Teatr Śląski w Katowicach**, reż. Bartosz Szydłowski, prem. 20 października), jak i polską („Polak sprzedaje zmysły” wg reportażu Konrada Oprzędka w reżyserii Michała Buszewicza, **Teatr Szaniawskiego w Wałbrzychu**, prem. 6 października).

CHOĆ RÓŻNEGO RODZAJU WŁADZE nieustannie chcą zamknąć teatr jako przestrzeń myślenia (czynności trudnej i nieprzyjemnej), jemu wciąż udaje się otwierać na nowe. W nadchodzącym sezonie zapowiadają się np. otwarcia dwóch wybitnych i zasłużonych scen, które po wieloletnich remontach zyskają nowy wymiar. I tak **Teatr Wybrzeże w Gdańsku** 14 października otwiera swą główną siedzibę prawdziwym trzęsieniem ziemi, czyli premierą „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Jana Klaty. Spójrzcie na tytuł i autora, na nazwisko reżysera, miejsce i datę... Reszta jest milczeniem w oczekiwaniu.

Wiosną 2024 r. ma się z kolei zakończyć remont historycznego budynku **Teatru Żeromskiego w Kielcach**. Na inaugurację zapowiadana jest premiera „Baśni o węzowym sercu” Radka Raka w adaptacji Michała Kmiecika, cały sezon zaś ma odbywać się pod „żeromskim” hasłem Nowe Porębiany.

Szela i Przełęcki w miejscu, z którego startuje Prezes? To już prawie jak arcyarodowa alegoria.

Nowe bywają też dyrekcje. Zmiany teatralnej władzy w ostatnich latach bardzo często oznaczały raczej ponury koniec niż nowy początek (murem za Teatrem Słowackiego!), ale wciąż zdarza się odwrotnie. Tak może stać się w Olsztynie, gdzie kierownictwo **Teatru im. Jaracza** obejmuje Paweł Dobrowolski. Wszystkie szczegóły jego dykcji nie są jeszcze znane, ale pojawiły się już zapowiedzi premiery „Wesela” Wyspiańskiego w reż. Sławomira Narlocha, nowego projektu Anny Karasińskiej czy „Balladyny” w reż. Jarosława Kiliana.

Nowe otwarcie zapowiada też Anna Rochowska, która po głośnym proteście aktorów obejmuje po Grzegorzu Jarzynie dykcję **TR Warszawa**. Wśród zapowiedzi, poza „Miastem kobiet”, nowe przedstawienia Katarzyny Minkowskiej, Michała Borczucha i Michała Buszewicza. Szczegóły, wraz z koncepcją programową, mamy poznać na dniach.

W swój pierwszy pełny sezon wchodzi też nowe kierownictwo **Teatru Komedia w Warszawie**. Dyrektor naczelny Krzysztof Wiśniewski zapowiada m.in. premiery słynnej farsy Michaela Frayna „Czego nie widać” w reż. Piotra Cieplaka, który już kiedyś zamienił w arcydzieło „Słomkowy kapelusz” Labiche’a, oraz „Zemstę” Aleksandra Fredry, nad którą pracuje Michał Zadara, dając nadzieję na choćby częściowe odpokutowanie obecnego – pożałuj Boże – Roku Fredry.

NOWE SĄ TEŻ POKOLENIA przychodzące do teatru, a przyciągane takimi wydarzeniami jak adaptacja „Tajemniczego ogrodu” Frances Hodgson Burnett w reż. Justyny Sobczyk (**Teatr Zagłębia w Sosnowcu**, prem. 29 września) czy polska prapremiera „Czerwonego Kapturka” Joëla Pommerata (**Teatr Współczesny w Szczecinie**, prem. 23 września), którą – podobnie jak „Kopciuszka” tego samego autora wciąż granego w krakowskim Starym – wystawi Anna Smolar.

A skoro już tak o tym, co nowe, to 18 września **Teatr Nowy w Poznaniu** zaprosił na premierę „Snu nocy letniej” Shakespeare’a w reż. Jana Klaty. Czy to, że ten sezon otworzą aż dwie ważne premiery tego reżysera, oznacza, że rozpoczyna on właśnie nowy etap swojej obecności na polskich scenach? Okaze się.

Nie wiemy, co przyniesie najnowsza przyszłość i czy ten przewodnik po zapowiedziach będzie miał szansę się zrealizować. Nasza sytuacja przypomina to, co odczuwać mogą widzowie siedzący w teatrze przed zapuszczoną kurtyną, czekający z ciekawością i niepokojem na to, co się stanie. Nie wydaje się więc przypadkiem, że tę właśnie sytuację przyjął jako punkt wyjścia swojego najnowszego dramatu Zenon Fajfer, autor głośnego „Odlotu”. Jego „Uwolnienie” zostanie wystawione na Dużej Scenie **Wrocławskiego Teatru Współczesnego** 28 października (reż. Kuba Kowalski). Czy kurtyna się podniesie? Co zobaczymy, gdy to nastąpi? Co zrobimy, jeśli nie odsłoni się żadna obiecująca przyszłość? © DARIUSZ KOŚCIŃSKI

REKLAMA

M75
W

3.10.2023
–14.01.2024

Szklane życiorysy

Muzeum Narodowe
we Wrocławiu
pl. Powstańców
Warszawy 5

mnwr.pl

**POLSKIE
PROJEKTANTKI
SZKŁA**
(1945–2020)

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
Muzeum Narodowe we Wrocławiu
jest instytucją kultury prowadzoną
przez Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Patroni medialni

VOGUE

format

Pręsto

KULTURA

TVP3
WROCLAW

RADIO
WROCLAW

RADIO
WROCLAW

ram

www.wroclaw.pl

artinfo.pl

Idee i szpady

Aleksandra Herzyk, autorka komiksów:

W klasycznych powieściach historycznych razili mnie brak pełnowymiarowych postaci kobiecych. Nie chciałam rezygnować ze swojego ulubionego gatunku opowieści – wolałam go naprawić.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jakie książki czytała Pani będąc nastolatką?

ALEKSANDRA HERZYK: Zawsze lubiłam XIX-wieczne powieści historyczne Alexandre'a Dumasa czy Victora Hugo. Mój ojciec jest historykiem, więc miałam też pod ręką dużo innych książek o przeszłości, nie zawsze przeznaczonych dla dzieci. Poza tym mama przynosiła mi z biblioteki mnóstwo innych rzeczy do czytania, w tym klasyki takie jak „Wakacje z duchami” czy Jeźycjadę Musierowicz. Pamiętam, że szczególnie duże wrażenie zrobiła na mnie Edith Nesbit, chyba moja ulubiona autorka z tamtych czasów. Zawsze ciągnęło mnie w stronę literatury przygodowej, wątki obyczajowe mnie nudziły.

Brakowało czegoś w tamtych lekturach?

Powieści XIX-wieczne były bardzo wciągające, ale razili mnie w nich brak pełnowymiarowych postaci kobiecych. Jeżeli się już pojawiały, to zawsze w roli podrzędnej, na przykład jako nagroda dla głównego bohatera za jego heroizm i odwagę. A jeżeli miały jakąś podmiotowość, prawie zawsze oznaczało to, że są złe.

To była jedna z przyczyn, dla których stworzyła Pani postać Franciszki Barre?

Miedzy innymi tak, ale też nie chciałam rezygnować ze swojego ulubionego gatunku opowieści – wolałam go naprawić, wprowadzając do tej historycznej scenografii postać silnej i niezależnej kobiety. To wynika również z szacunku wobec współczesnych czytelniczek i czytelników, mających swoje oczekiwania, chcących zobaczyć w literaturze takie postaci, z którymi mogliby się utożsamiać. Albo i nie – najważniejsze jest jednak dla mnie, żeby postaci takie jak Franciszka nie były nijakie. I żeby miały rozterki oraz problemy zrozumiałe dla współczesnych nastolatków. Bo najgorzej, gdy bohater jest dwuwymiarowy i wszystko po nim spływa.

Pisanie dla młodzieży i pisanie dla dorosłych czymś się między sobą różni?



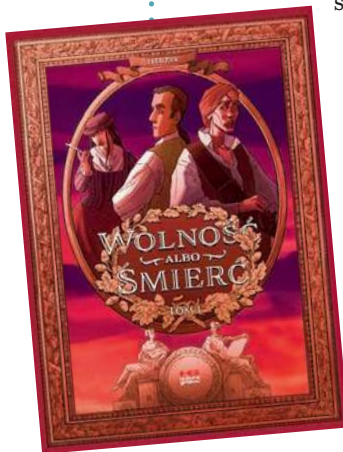
Akurat w przypadku „Wolności albo śmierci” trudno wskazać wyraźną granicę. Wiem, że mój komiks przypadł do gustu osobom w różnym wieku. Dolna granica to 12 lat, ale górnej nie ma. Niemniej młodszy ludzie są o tyle wdzięczniejszymi czytelnikami, że mocniej przeżywają fabułę, co jest oczywiście wyzwaniem dla piszącego, ale też sprawia dużo radości. Zwłaszcza jeżeli temat jest poważny i chce się powiedzieć coś ważnego o świecie. Czytelników i czytelniczki, niezależnie od wieku, zawsze należy traktować z szacunkiem i nie zakładać z góry, że czegoś nie zrozumieją.

Bała Pani sama, czym interesuje się dziś młodzież?

Kierowałam się przede wszystkim własnym doświadczeniem i intuicją. Gdy myślę o swoich czytelnikach, nie myślę o nich jako o dzieciach. Pracując nad swoim komiksem, chciałam stworzyć coś, co sama z chęcią bym przeczytała. Taka strategia wydaje mi się uczciwa, ale też chyba nie umiałabym inaczej.

Nie bała się Pani, że krwawa rewolucja francuska będzie za ciężkim tematem?

W systemie edukacji przemoc, i to dużo bardziej wyszukaną i okrutną, obecna jest od najmłodszych lat, choćby za sprawą lekcji religii i lektury Biblii, więc nie sądzę, żeby „Wolność albo śmierć” mogła kogośkolwiek w tej kwestii zszokować. Owszem, pojawia się tam nieco krwi, ale to przecież krew narysowana, do tego pojawiająca się w określonym kontekście historycznym.



ALEKSANDRA HERZYK – ilustratorka i autorka komiksów. Absolwentka krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Współpracowała m.in. z Amnesty International, Kampanią Przeciw Homofobii, Krytyką Polityczną, Magazynem Kontakt i TVN24. Autorka powieści graficznej „Wolność albo śmierć”.

Powyżej:

Aleksandra Herzyk – autoportret.

Po prawej:

strona 168 z „Wolności albo śmierci”.

Koniec XVIII wieku to wdzięczna epoka dla komiksu?

Bardzo podoba mi się ówczesna moda, z tym że raczej męska. Lubię epokę oświecenia, zawsze wywodziłam z niej część swojej tożsamości. Dziś patrzę na wiele rzeczy bardziej krytycznie, ale wciąż uważam, że to kluczowy moment w dziejach naszej cywilizacji. Właśnie skończyłam pisać pracę magisterską o prawie karnym czasów rewolucji francuskiej. Sporo naczytałam się o skomplikowanych zmianach społecznych, jakie wtedy zachodziły w Europie. Szczególnie ciekawy wydaje mi się paradoks, że wiele reform, które wyrastały z ducha humanitaryzmu, wprowadzane były często w tak niehumanitarny sposób.

Pani komiks to także lekcja polityki czy może raczej szerzej – polityczności?

Rewolucja francuska ze swoim bardzo szerokim wachlarzem postaw i idei wciąż pozostaje jednym z najważniejszych punktów odniesienia dla współczesności, z niej wyrasta wiele dzisiejszych problemów politycznych. Zależało mi, aby wprowadzić moje czytelniczki i czytelników w ten skomplikowany świat myśli i poglądów. Pokazać im uniwersalny wymiar niektórych pytań czy dylematów, z jakimi ludzie – często ich rówieśnicy – musieli mierzyć się przeszło dwa wieki temu. Być może nie każdy wyłapie wszystkie nawiązania do tego, co dzieje się tu i teraz, ale podstawowe mechanizmy kształtujące nowoczesną scenę polityczną są czytelne, a przynajmniej bardzo mi zależało, żeby były. Pytania filozoficzne i etyczne, z jakimi mierzy się Franciszka Barre, są jak najbardziej aktualne, bo też intelektualna wrażliwość ludzi w tym wieku kształtuje się podobnie.

Z jednej strony powieść płaszcza i szpady, z drugiej historiozoficzny esej?

Raczej komiks o ideach – pokazanych tak, aby było to ciekawe i zrozumiałe dla ludzi w każdym wieku.

Kiedy powinna zacząć się edukacja polityczna?

Jak najszybciej. Oczywiście pewne treści należy dostosowywać do wieku odbiorców, ale rozeznanie w tym, jakie siły i idee kształtują naszą rzeczywistość, jest potrzebne już na bardzo wczesnych etapach dojrzewania społecznego. ©

Rozmawiał Michał Sowiński



Konkurs Literacka Podróż Hestii

wyróżnia autorów i autorki klasycznych form: powieści, powieści graficznych i opowiadań – napisanych z myślą o młodych czytelnikach i czytelniczkach (10-15 lat). Wybieramy tytuły, które mają szansę pozostać na długo w kanonie literatury dziecięco-młodzieżowej, a laureaci Nagrody Literacka Podróż Hestii otrzymują 50 tysięcy złotych.

W tym roku Nagrodę otrzymała
Aleksandra Herzyk,
pozostali nominowani to:

- Andrzej Marek Grabowski,
ilustracje: Joanna Rusinek,
BIURO DZIECI ZNALEZIONYCH,
Wydawnictwo Literatura, Łódź 2022
- Zygmunt Miłoszewski,
ilustracje: Piotr Sokołowski,
HYDROPOLIS, TOM I: UCIEKAJ,
W.A.B., Warszawa 2022
- Marcin Szczygieski,
ANTOSIA W BEZKRESIE, Instytut
Wydawniczy Latarnik, Warszawa 2022
- Ilona Wiśniewska,
ilustracje: Mariusz Andryszczyk,
PRZYJACIEL PÓŁNOCY,
Agora, Warszawa 2022

„Książka, którą nagrodziliśmy w tym roku, to właśnie komiks, który w dodatku – o zgrozo – jest niejako pierwszym sezonem bardzo emocjonującego serialu kostiumowego. Komiks tak zrobiony, że czytając go – sami obsadzamy w nim wyobrażonych aktorów, sami dopisujemy dialogi, bo komiks pozostawia nam – między kłatkami – mnóstwo przestrzeni do zapełnienia. Ba, zachęca nas do tego. A także do poszerzania swojej wiedzy historycznej, od której w szkole wiało nudą. Zostajemy uwiedzeni do oglądania jego pozornie niestawiającą oporu, doskonałą, profesjonalną grafiką, atrakcyjną formą, ale zarazem uwiedzeni do czytania. To jest książka, która zachęca do czytania, i to nie tylko do czytania jej samej. Gratulujemy i czekamy na kolejne sezony tego serialu!” – mówił Michał Rusinek, członek kapituły konkursu Literacka Podróż Hestii, prezes Fundacji Wisławy Szymborskiej, podczas uroczystej gali 15 września.

Korczak rodzinnie

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Korczaka zobaczymy różne odmiany teatru rodzinnego oraz rodzinne performanse.

Wśród polskich przedstawień – nowe odczytania klasycznych pozycji repertuarowych, m.in. spektakl „Dzieci z Bullerbyn” w reż. Agnieszki Glińskiej oraz „Piotruś Pan” Anny Ilczuk. W programie także adaptacje popularnej literatury dla dzieci

i młodzieży: „Paszty do boju!” Magdaleny Miklasz i „Włosy mamy” Tomasa Maślakowskiego. Ciekawie zapowiadają się interaktywne „Trolle” w reż. Justyny Sobczyk z Centrum Sztuki Włączającej / Teatru 21, a także „Wyspa Jądlonomia” na podstawie książki Marty Dymek w reż. Macieja Podstawnego.

SILNĄ CZĘŚCIĄ tegorocznego Festiwalu są propozycje nawiązujące do nurtu tańca i nowej choreografii. W warszawskich teatrach zobaczymy: spektakl czerpiący inspirację ze splotu dzikości przyrody i człowieka „InstynkTY” w reż. Alicji Morawskiej-Rubczak z Teatru Polskiego Tańca, najnowszą produkcję niezależnego kolektywu Holobiont „Mój ogon i ja” oraz rodzinny eksperyment choreograficzny Anny Wańtuch i performujących rodzin „Rośnie i rośnie, i...” z Centrum Sztuki Dziecka. Po spektaklach pedagoga teatru Dorota Ogrodzka poprowadzi cykl spotkań Klub Dobrej Rozmowy z elementami warsztatów pedagogiczno-teatralnych.

PONADTO W PROGRAMIE tegorocznego festiwalu: ilustratorka i graficzka Zosia Frankowska poprowadzi warsztaty rysownicze dla rodzin „Stary/Malutki” w siedzibie Muzeum Karykatury – organizatora trwającej do 29 października wystawy „Butenko dla dużych i małych”. Wystawa „Gwiazdne Dzieci” w Teatrze Gułiwer stworzona została z kolei w procesie działań warsztatowych wraz z grupą osób neuro różnorodnych w konsultacji z dziećmi i osobami dorosłymi w spektrum autyzmu.

W RAMACH FESTIWALU odbędzie się także finał projektu „STARTGIRLS 2” – warsztatów teatralnych skierowanych do nastoletnich dziewczyn, pochodzących z Ukrainy, Białorusi i Polski, zaproszonych przez performerkę i pedagogkę teatru – Svatlanę Haidalionak.

Międzynarodowa odsłona Festiwalu w tym roku poświęcona jest Czechom, ale nie zabraknie także niespodzianek ze Szwecji...

© MOCH

REKLAMA

NBSURD NIE CZYTAM

7 X 23



Główny organizator



Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Patronat honorowy



Współorganizatorzy



Mecenas akcji



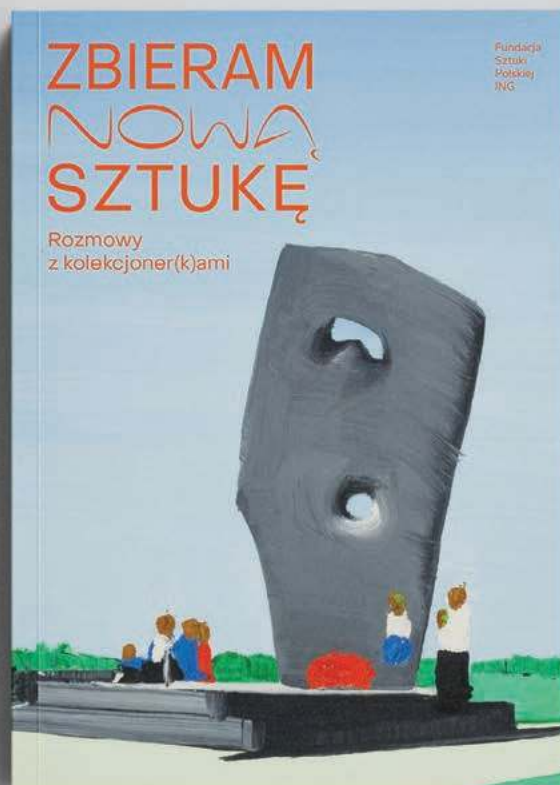
REKLAMA

Kolekcjonerki i kolekcjonerzy – bohaterki i bohaterowie niniejszej książki – wciąż traktowani są w Polsce jako zjawisko niezwykle, odległe i niepojęte. (...) Kim są ci ludzie? Bogaci, biedni, prawnicy, handlarze bronią czy intelektualistki? Kiedy czytamy zamieszczone na kolejnych stronach rozmowy, jedno staje się jasne – ta historia może przydarzyć się każdemu. Bo tak jak nowa sztuka, tak i jej kolekcjonowanie to opowieść o nas samych.

Poprzez ich opowieści zaś sztuka współczesna ujawnia jeszcze jeden wymiar – osobisty. W jakimś sensie (prosimy nie powtarzać!) kolekcjoner, tworząc swój zbiór, wpłatając wń własne powody, przygody i kontekst innych prac w kolekcji, staje się współautorem, daje sztuce nową przestrzeń.

– ze wstępu Łukasza Gorczycy

PREMIERA
30.09.2023





CORAZ DALEJ

ILONA WIŚNIEWSKA, REPORTERKA:

Rozgwieżdżone niebo, minus trzydzieści stopni. Ciemność zaczynała doskwierać, coś zaciskało się na głowie.

Wysłam przed dom, patrzyłam na zamrożnięte morze. Zaczęłam mówić. Nigdy tak siebie nie słyszałam.

ANNA GOC: Na początku idziesz na cmentarz i wysypisko śmieci. Do miejsc, gdzie coś się kończy. Dlaczego?

ILONA WIŚNIEWSKA: Dowiaduję się tam czegoś o ludziach, których przyjechałam poznać. Na początku zawsze staram się być niewidzialna, a w tych miejscach nie trzeba od razu inicjować rozmów, można złapać oddech przed miesiącami wytężonego przyglądania się i słuchania. Spacerując po cmentarzu w Qaanaaq zobaczyłam na przykład dziecięce łóżeczko obłożone maskotkami. Potem dowiedziałam się, że to grób Athiny, córki Juaanny, mojej gospodyni.

Grenlandzkie groby są udekorowane sztucznymi kwiatami – zwykle niebieskimi i różowymi. Na białych krzyżach wiszą zdjęcia zmarłych, czasem po prostu wydrukowane na kartce. Widać, ilu umiera młodych. Jest cicho, udaje się wsłuchać w przestrzeń.

Na wysypiskach śmieci, w bezdrzewnym krajobrazie wmarzają w ziemię tony plastikowych śmieci, sprzęty AGD, martwe psy, worki z odchodami z toalet. To jest dobry start, rozbieg do wejścia w społeczność, nadanie ram późniejszej opowieści.

Swoją książkę „Migot” dedykujesz Kaddunie, z którym przygotowywałaś się do wyjazdu i który towarzyszył Ci w podróży. Na miejscu pomagał w rozmowach, choć niektóre z nich odbywały się właściwie bez słów.

W czasie pierwszej podróży na Grenlandię mówiłam już płynnie po norwesku, rozumiałam pisany duński. Jadąc dalej na północ wiedziałam, że będzie trudniej. Niewiele osób →

ILONA WIŚNIEWSKA – reporterka, fotografka. Jej ostatnia książka „Migot. Z krańca Grenlandii” znalazła się w finale Literackiej Nagrody Nike. Laureatkę lub laureata poznamy 1 października.

BIRGER AMUNDSEN

→ znało tam duński, bo polarni Inuici, czyli Inughuici, używają dialektu grenlandzkiego, który nie ma wersji pisanej. W tym języku zupełnie inaczej wyraża się myśli, opisuje przyrodę, wiedziałam, że nie będę się w stanie go nauczyć.

Kadduna bywa tam od lat i ma swój notes, w którym zapisuje fonetycznie zasłyszane słowa. Przed wylotem wysłał mi swój słownik, ale i tak niewiele z niego rozumiałam, bo były tam głównie zwroty związane z polowaniem – jak wyciągnąć fokę spod lodu, jakich narzędzi użyć, by ją oskórować, jak uszyć buty z niedźwiedzia. Praktyczny język, tak jak praktyczni są Inughuici.

Gdy język nie ma wersji pisanej, może nie być też historii opowiedzianej przez społeczność, która go używa. Brakowało Ci takich materiałów?

Brakowało mi listów, dokumentów czy pamiętników, których autorami byłby rdzenni mieszkańcy, bo jestem przyzwyczajona do korzystania z takich źródeł. A tu ich nie było, historie są w rozmowach, relacjach przodków, w niedostępnym dla mnie języku. Kulturę i światopogląd Inughuitów opisali przyjeźdźni i w swoich tekstach jasno dawali do zrozumienia, że czują się lepsi. Nawet współczesne historie o rdzennych mieszkańcach Grenlandii są często pisane z pozycji człowieka, który myśli, że wie lepiej; a Inughuitów musi czegoś nauczyć. Dlatego w małych społecznościach na północy Grenlandii stosunek do przyjeźdźnych jest często negatywny, bo wizyty kogoś z zewnątrz zazwyczaj nie przynoszą niczego dobrego.

Jak się przebić przez podział: rdzenni – przyjeźdźni?

Nie czułam się lepsza od tych, którzy przyjechali przede mną, ale często się za nich wstydziłam, bo słyszałam, że płacili za wywiady albo przeinaczali historie pod własne tezy. Wiedząc to, od samego początku starałam się wyjaśnić moją motywację. Na spotkania przynosiłam własną książkę „Lud”, na okładce której jest zdjęcie Gerta, chłopca z północy Grenlandii, czyli stąd. Poznałam go w domu dziecka, gdzie pracowałam jako wolontariuszka w 2017 roku. W książce jest sporo zdjęć moich rozmówców. Inughuici nie mogli jej przeczytać, ale mogli przewer-

Wiedziałałam, że gdy będę pytała o problemy społeczne, wszyscy będą odpowiadali, że ich nie ma. W radiu Juaanna wspomniała o przemocy domowej. Jej dom obrzucono kamieniami.

Interes grupy przedkłada się nad dobro jednostki.

tować i znaleźć swoich znajomych. Jednak i tak większość reagowała na mnie uprzejmą obojętnością.

Przeżywałaś to?

Nie brałam tego do siebie, bo wiedziałam, że to miejsce doskonale beze mnie funkcjonuje, nikt na mnie nie czekał i niczego nie oczekuje, więc ten brak zainteresowania był w pewien sposób wyzwalający. Co ciekawe, kiedy już poznałam kolejnych Inughuitów, widziałam, jak zaczynali się o mnie troszczyć. Podchodzili, żeby zapiąć mi kurtkę pod samą brodę. Kiedy protestowałam, że jest ciepło, mówili, że tylko tak mi się wydaje.

Miałaś uprzednie wyobrażenie o północy Grenlandii?

Tak, dzięki Kaddunie, który opowiadał mi o niej na długo przed wyjazdem. Zawsze mówił z szacunkiem i podziwem o Inughuitach. Przełał na mnie to podejście.

Co było bardzo znaczące, sami Inughuici też nas nigdy nie oceniali. Przychodzili do nas na wspólny posiłek, jedli suszone warzywa, pomidory w puszcze i kasze, które przywieźliśmy z Kadduną w kontenerze. I niekoniecznie prosili o dokładkę, ale przyjmowali to, jacy jesteśmy. My robiliśmy to samo – chodziliśmy do nich na surową wątrobę morsa, choć ja od trzydziestu lat nie jem mięsa.

Wiedziałałam, że to objaw szacunku, gdy ktoś mnie zaprasza do domu, sadza na podłodze, wręcza nóż i częstuje upolowanym mięsem.

Spędziłam wśród Inughuitów trzy miesiące i wiedziałam, że moim sprzymie-

rzeńcem jest czas i pora roku, kiedy ludzie są głównie w domach. Niektóre pytania mogłam zadawać przez wiele dni. Gdy Juaanna opowiada mi, że przeprowadziła się z „dziewczynkami”, nie dopytuję od razu o liczbę mnogą w tym słowie, mimo że w jej domu mieszka tylko jedno dziecko.

Wiedziałaś, że straciła córkę?

O tym, że Athinę pogryzły psy i nie udało się wezwać pomocy na czas, opowiedział mi wcześniej Kadduna. Moja rozmowa z Juaanną toczyła się tygodniami. Nie mogłabym zapytać o tak ważne rzeczy w czasie jednej rozmowy. Gdybym miała umówione tylko jedno spotkanie, wolałabym tego pytania nie zadać.

Podobnie było z mamą Gerta, jednego z bohaterów Twojej książki „Lud”, w której opisujesz swoją pracę w domu dziecka.

Spotkałam się z mamą Gerta na dłużej tylko raz. Jedyne, co nas łączyło, to żałoba po jej synu. Jedyne wspólne słowo, które znałyśmy, to jego imię. Przy pomocy Juaanny starałam się jej opowiedzieć o mojej znajomości z Gertem. Szybko jednak zauważyłam, że te słowa nie miały żadnego znaczenia, bo i tak najwięcej wydarzyło się między nami pozajęzykowo. Patrzyłyśmy sobie w oczy. Miała w nich smutek, o którym trudno zapamiętać.

Na tym zresztą często polegała komunikacja z Inughuitami – było mało słów, ale dużo patrzenia sobie w oczy, śmiechu, gestów. Jeśli jednak widziałam, że ktoś jest nastawiony do mnie negatywnie, starałam się podchodzić bardzo ostrożnie. Nie naciskałam. Wiedziałam, że w tej społeczności wydarzyło się już dużo złego. Mojej książce nie ubędzie, jeśli nie opowiem jakiejś historii, ale ja będę się czuła niezręcznie drążąc.

Zastanawiałam się, czy pójść do matki Gerta jeszcze raz. Ale o co właściwie mogłabym ją zapytać? Miałam poczucie, że dokładałam jej cierpienia swoją obecnością. Ona wiedziała, że przyjeżdżam na Północ ze względu na jej syna, i że o nim pamiętam. Podziękowała mi, że napisałam o nim książkę. To wystarczy.

Napisałaś też, że chciałaś zobaczyć, za czym Gert tak tęsknił.

I czy ktoś tęsknił za nim. Gert pochodził z północnej Grenlandii. Gdy trafił do domu dziecka oddalonego od domu, bardzo tęsknił. Popęlił samobójstwo w lutym. Zimą trudno dostać się na Północ. Czułam jednak, że jest coś niedomkniętego w tej historii. Nie mogłam się z nim pożegnać. Podróż do Qaanaaq i Siorapaluk sporo mi wyjaśniła, ale i tak nie do końca wiadomo, dlaczego Gert zdecydował się na taki krok.

W „Migocie” obserwujemy też Ciebie, jak w czasie rozmowy z jednym z bohaterów skubiesz pod stołem kciuk.

Tak reaguję na stres, a tego było sporo, bo byłam w miejscu zupełnie innym od znanych mi wcześniej, nie rozumiałam języka, było okrutnie zimno i widziałam, że to jest cholernie trudne reporterstwo zadanie. W takich sytuacjach zawsze skubię kciuk, bo to jedyny znany obszar – własne ciało. Zresztą im dłużej mieszkam na Północy, tym bardziej doceniam ciało i sygnały, które mi wysyła.

Zbierając materiały do kolejnych książek jedziesz coraz dalej, gdzie jest coraz trudniej. Te etapy były chyba jednak konieczne?

Na północ Grenlandii nie pojechałabym wprost z Polski. W Arktyce mieszkam od 14 lat, dzięki temu, gdy znalazłam się w Qaanaaq i Siorapaluk, moje ciało reagowało na pewne rzeczy spokojniej, mogłam skupić się na wejściu w społeczność.

Bałam się kiedyś zimna, ale odkąd wiem, że nawet jeśli zmarznę, nic mi się nie stanie, reaguję inaczej. Potrzebowałam czasu, żeby się tego nauczyć.

Na Spitsbergenie spędziłam pięć lat i tam uczyłam się życia w ciemności. Jeśli przez cztery miesiące jest ciągle ciemno, musisz oswoić mrok, nie możesz się go bać. Z jednego takiego ciemnego dnia w Siorapaluk, kiedy Kadduna poszedł polować na foki, mam nagranie, którego długo bałam się odsłuchać. Była trzynasta, rozgwieżdżone niebo, minus trzydzieści stopni. Ciemność już zaczynała doskwierać, w taki sposób, że nie można się było na niczym skupić, spać, coś jakby zaciskało się na głowie. Wysłam przed dom, patrzyłam na zamrożone morze. Pod nogami biegały szczeniaki. Zaczęłam mówić do siebie. Nagrywałam, co widzę,

Moje książki są o ludziach dalekiej Północy, o szacunku do przyrody, zachwycie światłem, zgodzie na samotność i nauce milczenia.



■ **BIAŁE** napisałam po trzech latach spędzonych na Spitsbergenie w małej, wielokulturowej społeczności zrównanej zimą.

Pisałam o swoich przyjaciółtach, opowiadałam tę wyspę trochę też samej sobie. By uporządkować przestrzeń i słowa, ćwiczyć się w ograniczeniu zdziwień i przymiotników. To stamtąd też wylatywałam latem na północ Norwegii, by się trochę ogrzać.



■ Podczas wielu podróży po Finnmarku poznałam historie, które potem wybrzmiały w **HEN**.

Są to głównie głosy starych Norwegów, tradycyjny śpiew Saamów i wzburzone morze. „Hen” to też najbliższa mi książka, bo od lat sama mieszkam w północnej Norwegii i chcę się tu cicho zestarzeć.



■ Rdzenni mieszkańcy Norwegii zawiedli mnie do Inuitów, rdzennych Grenlandii, gdzie wszystko było trzy razy większe niż na Spitsbergenie, a ja dzięki

temu byłam jeszcze mniejsza. Nigdy nie słyszałam tak rozległej ciszy jak tam na zamrożonym morzu. **LUD** jest o tej ciszy, w której jest więcej treści niż w niejednej rozmowie.



■ Jeden z milczących bohaterów tego reportażu bardzo tęsknił za północą Grenlandii, skąd pochodził, kiedy więc popełnił samobójstwo,

wiedziałam, że muszę sprawdzić, za czym tak tęsknił i czy ktoś tęskni za nim. Z tej potrzeby wziął się **MIGOT**, moja najtrudniejsza reportersko książka o polarnych Inuitach, znikającym świecie i ciągłym wątpliwości, które towarzyszy reporterowi chcącemu o tym uczciwie opowiedzieć. © ILONA WIŚNIEWSKA

co czuję, dźwięki skomlających psów. Myślałam, że to nagranie wykorzystam w książce, ale nie znalazłam na nie miejsca. I ten mój głos, nigdy go takiego wcześniej nie słyszałam.

Prowadziłaś dziennik?

Tak, ale zapisywałam fakty. Nie notuję tego, co przeżywam. Nie mam potrzeby do tego wracać. Pewnych rzeczy wolę nie zapisywać, żeby ich nie pamiętać.

Czy były rzeczy, których nie opisałaś, bo wiedziałaś, że codzienność mieszkańców północnej Grenlandii jest na tyle inna, że w Polsce może być niezrozumiała?

W Polsce nie ukazuje się zbyt wiele artykułów o północnej Grenlandii. Inaczej jest w Skandynawii. Teksty opowiadają głównie o problemach mieszkańców – przemocy domowej, samobójstwach, alkoholizmie. Te problemy rzeczywiście tam są.

Wydało mi się, że najłatwiej byłoby pójść w tę narrację – że jest źle, a będzie jeszcze gorzej. Wolałam jednak zobaczyć, jak ci ludzie starają się przetrwać. Pokazać, w jakich żyją warunkach i jaką mają umiejętność dostosowywania się. Opisuję scenę, gdy do kiosku Juanny przychodzi chłopiec w dziurawych butach. Ogrzewa się i wybiega. Nie idę jednak za nim, tylko zostaję z Juanną, która opowiada mi, dlaczego chłopiec nie chce wrócić do domu i co oni, jako społeczność, mogą dla takich dzieci zrobić.

A gdybyś jednak o to pytała?

Juanna i Kadduna uprzedzili mnie, że gdy będę pytała o problemy społeczne, wszyscy będą odpowiadali, że ich nie ma. W audycji radiowej Juanna wspomniała o przemocy domowej, mówiła, że brakuje specjalistycznej pomocy. Jej dom obrzucono kamieniami. Ludzie wołali za nią, że jest złą pastorką. Tam się często przedkłada interes grupy nad dobro jednostki.

Bałaś się, że straciłaś dystans?

Ze historii z Północy opowiadasz już z tamtej perspektywy?

Nie, ale po trzech miesiącach wśród Inughuitów poczułam, że gdybym została tam jeszcze miesiąc, to – nie wiem z jakim skutkiem – ale pewnie zaczęłabym się uczyć strzelać, by polować. Mój organizm zaczął dawać mi sygnały, że muszę →

→ przetrwać. Pamiętam tamtą myśl. Bardzo chciałam już wyjechać, bo czułam, że tam nie przynależę.

Piszesz, że jako reporterka tylko nadajesz ramy opowieści. Czy właśnie dlatego co jakiś czas dajesz czytelnikowi znać, że możesz się mylić?

„Migot” jest też książką o zwątpieniu. Pisanie jest o zwątpieniu, zwłaszcza gdy piszesz o miejscach, które poznajesz w krótkim czasie i są bardzo różne od tych, które znasz. Dlatego muszę co jakiś czas przypominać czytelnikowi, że mogę się mylić.

To jest też moje prawo. Tyle że nie daję go sobie po to, żeby oceniać poznana społeczność. Mogę spróbować coś opowiedzieć, ale staram się mówić ustami bohaterów. Być przezroczysta, jeśli chodzi o opinię, ale nie jeśli chodzi o refleksję i wątpliwości natury warsztatowej. Kadduna opowiadał mi sporo o tym, jak na północy Grenlandii traktuje się zwierzęta. Wiedziałam, że nie mogę unikać opisu polowań, bo to jest codzienność. Zrezygnowałam ze szczegółów, bo nie chciałam epatować okrucieństwem. Polowanie, zabijanie – nie są ładne. Czy to w polskiej rzeźni, czy na grenlandzkim morzu.

Właścicielowi pogryzionego psa przynosisz antybiotyk, bo jedyne, co on sam może zrobić, to przemyć zwierzęciu łapę wodą z mydłem – tylko takie środki ma w domu.

Psy w północnej Grenlandii nie mają żadnej pomocy weterynaryjnej, ale ludziom też brakuje pomocy medycznej. Zabija się psy, wynika to jednak z wielopokoleniowego sposobu przetrwania – nie można utrzymywać tych, które się na nic nie przydadzą i których nie ma czym wykarmić. Ludzie i psy jedzą to samo mięso.

Mogłabym wiele rzeczy źle zrozumieć, gdyby nie to, że przygotował mnie na to Kadduna. Dzięki temu może udaje się uchwycić ciąg przyczyn i skutków: dlaczego łowca dobija fokę? Bo strzelił jej w głowę, ale zamiast zabić od razu, ranił. Gdy podpłynęliśmy, jeszcze żyła. Dlatego wziął drag i ją dobił.

Jest scena w „Migocie”, gdy łowcy wypływają na morze, a Ty

obserwujesz ich pewność siebie. Jak oceniają pogodę, odczytują przyrodę. Pewność jednak znika, gdy schodzą na ląd. Wraca wstyd. Dlaczego?

Starsi Inughuici podkreślali, że byli wychowywani w kulturze chrześcijańskiej, zapatrzonej w europejskość. Wyjeżdżali do Danii, która kilka dekad temu była krajem monokulturowym, więc byli widoczni, piętnowani za inność. Gdy wracali do siebie, nie czuli się ani Duńczykami, ani Grenlandczykami. Ich tożsamość się rozmywała.

Rdzenni mieszkańcy Północy, zwłaszcza młodzi, odzyskują teraz dumę. Wiedzą, że kultura jest ich kapitałem, który ma ogromną wartość. Są obywatelami świata. Dlaczego mieliby czuć się gorsi od innych? Coraz więcej młodych tatuuje twarze w tradycyjne grenlandzkie wzory. Pokazują, że są dumni ze swojego pochodzenia i że czują się silni.

Piszesz, że zwierzęta szybciej niż ludzie zauważają zmiany przyrody. Czy „Migot” jest opowieścią o końcu?

Mieszkańcy Siorapaluk wielokrotnie mówili, że życie w ich wsi może stać się wkrótce niemożliwe. Kadduna, który jeździ tam od lat i obserwuje, jak zmniejsza się populacja, raczej nie ma nadziei. Mimo to staram się nie patrzeć na te miejsca jak na opowieść o końcu. Mieszkańcy północnej Grenlandii wiedzą, że nie mają wpływu na to, jak zmieniają się warunki ich życia, jak się zmienia przyroda. Wiedzą też, że nie mogą zmienić systemu. Od zawsze ktoś decydował za nich, nie pytając ich o zdanie.

To co mogą?

Widzą, że morze zamarza później niż zwykle, co oznacza, że mogą później wyjechać psami na lód. Zmodyfikować to, jak polują. Okres przejściowy, kiedy już nie można wypływać łodziami, a jeszcze nie można jeździć psami, jest najtrudniejszy, bo nie mają wtedy dostępu do świeżego jedzenia. Ciągłe próbują się dostosować. Nie narzekają, że zmienia się klimat, tylko zastanawiają się, jak wykorzystać wiedzę, którą zgromadzili przez lata, by przetrwać.

© Rozmawiała ANNA GOC

Mieszać, ciągle mieszać

JAN BŁASZCZAK

Twórczość Lonniego Holleya ma silny autobiograficzny rys. Niezależnie od tego, czy maluje, rzeźbi czy pisze piosenki. Swoje poruszające historie za każdym razem składa jednak z innych elementów. Nawet na dnie potrafi zatańczyć.

PODCZAS ROZMOWY GŁOS ŁAMIE MU się dwa razy. Po raz pierwszy, kiedy wspomina babcię, która dorabiała, kopiąc groby w ich rodzinnym Birmingham w stanie Alabama. Pewnego dnia, w 1963 r., musiała pojechać na cmentarz i wykopać doły dla czterech dziewczynek, które zginęły w kościele baptystów w zamachu bombowym przeprowadzonym przez Ku Klux Klan.

Zanim emocje przejęły nad nim kontrolę, Lonnie Holley zdążył mi jeszcze powiedzieć, że jego babcia prowadziła nieustające targi między życiem i śmiercią. Być może miał na myśli jedynie miejsce pracy starszej kobiety, ale wydaje mi się, że w ten sposób odwoływał się do ekstremalnie trudnej sytuacji swojej rodziny. Urodzony w 1950 r. Holley był jednym z dwadzieściorga siedmiorga dzieci. Biorąc pod uwagę, że jego wujek miał „zaledwie” dziesiątkę potomstwa, babcia podejmowała się różnych dorywczych prac, by wspomóc niemal czterdzieścioro wnucząt. Ze zmiennym szczęściem.

Kiedy kopała groby Denise McNair, Carole Robertson, Addie Mae Collins i Cynthia Wesley, mogła się zastanawiać, czy na jakimś innym cmentarzu Alabamy ktoś nie kopie właśnie dołu dla jej wnuka. W końcu przepadł bez śladu dobrych dziewięć lat wcześniej. A takie historie nie kończą się raczej szczęśliwie. A jednak



DAVID RACCUGLIA / MATERIAŁY PRASOWE BLUM&POE

Lonnie Holley w swojej pracowni

dwa lata później Lonnie Holley wrócił na łono rodziny. Miał piętnaście lat i jedenaście lat w piekle. Do domu wracał z okrutnej krainy.

Holley został zabrany matce w wieku czterech lat, a potem sprzedany dalej za butelkę whiskey. Kobieta, która go kupiła, była mocno schorowana. Kiedy zmarła trzy lata później, chłopiec stał przy jej łóżku i nie rozumiał, co się właściwie stało. Swoją teorię miał natomiast jej mąż, który oskarżył siedmioletka o zabójstwo żony i pobił go niemal do nieprzytomności. Nic dziwnego, że chłopiec uciekał. Inaczej niż w filmach, nigdy nie kończyło się to jednak dobrze. Wręcz przeciwnie. Za pierwszym razem wpadł pod koła samochodu i cudem opuścił szpital o własnych siłach. Gdy został złapany po kolejnej ucieczce, mężczyzna nie chciał mieć już z nim nic wspólnego, więc odesłał go do Mount Meigs.

– Oficjalnie to była szkoła, Alabama Industrial School for Negro Children, ale nikt nie traktował nas tam jak uczniów, byliśmy niewolnikami – mówi „Tygodnikowi” Lonnie Holley.

„Mount Meigs” to również tytuł jednej z piosenek, które trafiły na tegoroczny album Holleya, zatytułowany „Oh Me Oh My”. Być może to jego sposób na radzenie sobie z długą listą traum – zamienianie ich w piosenki, rzeźby, instalacje.

Jego sztuka to ciągle dłubanie w tragedii. A przynajmniej od tego się zaczęło. Kilkanaście lat później, czyli jeden pożar dalej.

Strumienie, kanały, rzeczulki

W 1979 r. ogień zajął dom siostry Holleya. W pożarze zginęła dwójka jej najmłodszych dzieci. Zrozpaczony Holley nie wiedział, co ze sobą zrobić. Może to bezsilność, a może olśnienie skierowały jego myśli na porzucone bloki piaskowca, które znalazł w okolicy. Holley, który już wówczas stawiał pierwsze kroki jako twórca instalacji i rzeźbiarz amator, przetransportował je na swoje podwórko i wyrzeźbił w nich nagrobki dla dwójki dzieci. Piaskowca było jednak znacznie więcej. Wyrzeźbił więc również figurki, które zabrał na pogrzeb.

Materiału wciąż było bardzo dużo, więc pracował dalej, a wokół jego domu rozrastała się kolekcja rzeźb i płaskorzeźb. Od czasu pogrzebu miejscowi przyglądali się im z większą powagą. Jakby rodzinna tragedia dodała im głębi. Sąsiedzi widzieli w nim już nie tylko ekscentrycznego zbieracza śmieci. Kogo widzieli? Tego nawet sam Holley jeszcze nie wiedział.

– Wałęsałem się po okolicy – wspomina. – Schodziłem do rowów, brodziłem w strumieniach, kanałach i rzeczulkach. Przeczesałem śmietniki,

resztki i wysypiska. Przyglądałem się wszystkim odnalezionym przedmiotom i długo o nich myślałem. Nie tylko o tym, co mogę z nich zrobić, ale też o tym, czym one były, co dla kogoś znaczyły. Zbierałem rzeczy, które ludzie uważali za brzydkie, i próbowałem pokazać je w taki sposób, aby dostrzegli w nich piękno. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co właściwie robię. Wiedziałem jedynie, że to jest niecodzienne, że inni tak nie robią.

Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie, Holley skierował swoje kroki w stronę Birmingham Museum of Art. Pokazał swoje prace dyrektorowi tej instytucji – Richardowi Murrayowi, na którym momentalnie zrobiły one wrażenie. Na tyle duże, że niedługo później dyrektor odwiedził podwórko Holleya i zrobił profesjonalne zdjęcia wszystkim znajdującym się tam eksponatom. Już wtedy było ich sto dwadzieścia pięć.

Szybko okazało się, że Murray nie był odosobniony w swojej fascynacji tymi pracami. Dwie z nich trafiły do Smithsonian American Art Museum, by już w 1981 r. wejść w skład ekspozycji „More Than Land Or Sky: Art from Appalachia”. Jak wspomina ich autor, wystawa podróżowała przez dwa i pół roku, odwiedzając 64 galerie sztuki. Wydaje się więc, że na pytanie: „kim jestem?”, Holley dostał dość jednoznaczną odpowiedź.

→ Zainteresowanie muzeów było też wyraźnym sygnałem dla prywatnych kolekcjonerów. Jednym z nich był William Arnett – założyciel fundacji Souls Grown Deep, której celem pozostaje dokumentacja i popularyzacja afroamerykańskiej sztuki tworzonej w tzw. pasie biblijnym. Nazwa tej organizacji to cytat z najsłynniejszego chyba wiersza Langstona Hughesa – „The Negro Speaks of Rivers”. Przywoływane w nim potężne rzeki: Eufrat, Nil, Kongo czy Missisipi miały napać dumą i przypominać czarnym czytelnikom o wielkiej historii, o tradycji, której są częścią. Jest coś przewrotnego w tym, że jeden z jej najsłynniejszych podopiecznych wyprowadził swoją sztukę z zaśmieconych strumieni, kanałów i rzeczułek.

Sztuka Holleya coraz częściej trafiała do branżowych opracowań i galeryjnych przestrzeni. Poświęcony mu dokument „Thumbs Up for Mother Universe” pokazuje zorganizowane wycieczki odwiedzające jego podwórkę wypełnione niezwykłymi rzezbami. W filmie wypowiadają się kuratorzy zwracający uwagę na to, że kolaż czy sampling to strategię, po które często sięgają czarni twórcy. Fakt, że Holley wygrzebuje te materiały ze śmietników, może być odczytywany na poziomie politycznym. Sam artysta wypowiada się w dokumencie w takim właśnie tonie, zwracając uwagę, że reprezentuje tradycję i kulturę, które w tej części świata zostały po prostu wyrzucone na śmietnik.

Muzyka jak gumbo

Choć karierę muzyczną rozpoczął dopiero po pięćdziesiątce, wydaje się, że przysłoniła już jego wcześniejsze dokonania. A przecież zaczęło się bardzo niezobowiązująco. Holley miał po prostu w zwyczaju śpiewać, nucić pod nosem, pracując nad swoimi rzezbami i instalacjami. Któregoś dnia usłyszał go Matt Arnett – syn kolekcjonera, pracujący w branży muzycznej. Tak jak niespełna 30 lat wcześniej Richard Murray, tak i on, nie bez zdziwienia, odkrył nagle, że ma do czynienia z wyjątkowym talentem. Być może te analogie są tym bardziej uzasadnione, że zdaniem artysty tak różne formy ekspresji są w istocie jednością.

– Nie można mówić o podobieństwach pomiędzy moją sztuką i muzyką, bo tu nie ma żadnej bariery – tłumaczy Holley. – Piosenki są po prostu próbą orkiestracji mojej sztuki. Zawsze powstają w po-



dobny sposób: myślę o swoich pracach, rozbijam je na części pierwsze i przekuwam w słowa. Przekuwam tak długo, aż mogę o tym śpiewać.

Ten proces ma w sobie coś z improwizacji. Zarówno na poziomie melodii, jak i słów wyśpiewywanych przez Holleya. Duża ich część powstaje w czasie rzeczywistym, co potrafi rozsadzić piosenkową formułę. Holley unika jednak terminu „improwizacja”. Ma na to inne określenie: – Po prostu wszystko, co mam w głowie, wszystkie te historie wrzucam do młynka i mielę je wprost do wielkiego gara z gumbo. A wiesz, w czym tkwi sekret tej zupy? Musisz ciągle mieszać. Możesz wrzucić do niego, co tylko chcesz, całą masę składników, ale gumbo musi być w ciągłym ruchu. W innym wypadku albo stężeje, albo się przypali. Trzeba mieszać, ciągle mieszać.

Módl się i obserwuj

Nie wiem, na ile ta uwaga sprawdza się w kuchni, ale na albumie „MITH” zadziałała wyśmienicie. Pierwsza płyta Holleya, która trafiła do szerszej dystrybucji, to wydawnictwo absolutnie znakomite. Fakt, zdarza się czasem, że artyści zyskują rozgłos ze względu na swój niezwykle życiorys, na historię, która sprawia, że kręcimy głową z niedowierzaniem i z przejęciem czekamy na szczęśliwy finał. Wówczas samo dzieło schodzi czasem na drugi plan. To nie jest ten przypadek.

„MITH” to album ze wszech miar rewelacyjny. Jest tu trochę bluesowej rzewności, rockowego ciężaru i jazzu zaha-

czonego z perspektywy przypominającej nagrania Gila Scotta-Herona z Brianem Jacksonem. Z tym że autor „Winter In America” nigdy nie pozwalał sobie na tak ekspresyjne szarże. Wielkomiejski świat jazzu, w którym się obracał, sprawiał, że Scott-Heron był w tym wszystkim trochę bardziej *cool*, chętniej zasłaniał się ironią lub wchodził w buty publicysty.

U Holleya natomiast wszystko jest na sto dziesięć procent. W tym jego gumbo wrze i wrze. Być może dlatego, że wychodzi od swoich doświadczeń. Skąd miałby mieć inne? Nie miał szans się uczyć, więc od dzieciństwa wiedział, że musi polegać na obserwacji. Świat poznawał, przyglądając się lokalnym targom czy sportowcom występującym na Rickwood Field: – Kiedy chodziłem z mamą i babcią do kościoła, kazały mi się rozglądać, przyglądać ludziom. Ich obserwowanie było równie ważne, co sama modlitwa.

„MITH” budują więc przede wszystkim emocje, a nie zgrabne puenty i piętrowe historie. Przy czym Holleyowi udaje się wyjść poza własną perspektywę. Jak w potężnym „I Snuck Off the Slave Ship”, gdzie chrapliwy głos artysty eksploduje w refrenach przy akompaniamencie złowrogich partii puzonu i perkusyjnej kawałkady. Ta monumentalna podróż od Eufratu Hughesa do zaśmieconego kanału Holleya trwa siedemnaście minut i trudno pojąć, jak niewytrenowanemu wokaliście udaje się utrzymać taką intensywność.

Media najwięcej uwagi poświęciły jednak utworowi „I Woke Up in a Fucked-Up America”. Ich uwagę przyciągnęły nie

tylko oskarżycielski tytuł, wspaniały teledysk i upiorna aura rozciągana przez nakładane na siebie elektroniczne pętle, marszowe bębny i pohukiwanie puzonu. Równie istotne było wspomnienie muru granicznego zapowiadającego wówczas przez prezydenta Trumpa. Za jego sprawą Holley został wciągnięty w bieżącą politykę.

– Ta piosenka ma kilka poziomów – tłumaczy. – Co z tego, że mamy milionerów, miliarderów, skoro w szkołach są głodne dzieci, a na ulicach mieszkają bezdomni. To, w jaki sposób traktujemy drugiego człowieka, jest dla mnie kluczowe. Jeśli politycy się tego nie nauczą, to po co w ogóle rodzić dzieci? Po co to kontynuować, skoro od strony technologii moglibyśmy już dzisiaj przekazać to wszystko robotom?

Lament i ekstaza

Lonnie Holley
– rzeźbiarz,
malarz,
wokalista
i twórca tekstów.
Za sprawą
swojej sztuki
ukazuje piękno
przedmiotów
używanych
za śmieci.
W pieśniach
porusza zaś
wątki auto-
biograficzne
związane z trau-
matycznym
dzieciństwem
na amerykań-
skim Południu.
8 paździer-
nika wystąpi
w Krakowie
na festiwalu
Unsound.

Do Krakowa, gdzie wystąpi 8 października na zakończeniu festiwalu Unsound, Lonnie Holley przyjedzie z płytą „Oh Me Oh My”. To album, który pokazuje, jak bardzo artysta zmienił się przez te kilka lat. Po pierwsze Holley i jego współpracownicy dużo śmiejeli eksplorują na nim tereny elektronicznej produkcji, zgodnie z dewizą, że w tym gumbo trzeba nieustannie mieszać. Druga sprawa to goście. Nazwiska twórców, którzy podjęli współpracę z Holleyem, pokazują, jaki status osiągnął już na tym polu.

Bo kogo tu nie ma?! Od gwiazdorów ze świata rockowej alternatywy: Michaela Stipe’a (R.E.M.) i Justina Vernona (Bon Iver), przez rapperkę i poetkę Moor Mother, aż po znakomity duet z Jeffem Parkerem – gitarzystą jazz-rockowego Tortoise. Można postawić zarzut, że taka liczba gości zmienia „Oh Me Oh My” w album dość eklektyczny, rozpięty pomiędzy podniosłym soulem, rockową balladą a futurystycznym funkiem z elementami hip-hopu. Tyle że w twórczości Holleya zawsze ważne było napięcie pomiędzy tym, co wrodzone, i tym, co nabyte, pomiędzy lamentem i ekstazą, polityką i rozrywką. W końcu „MITH” – wstrząsające świadectwo drogi przez piekielne kręgi Alabamy – kończy „Sometimes I Wanna Dance”. Prosta, skoczna piosenka o tym, że czasami człowiek po prostu nie może się powstrzymać i musi ruszyć w tan, nawet po dnie. Nie potrzebuje ani parkietu, ani zdolności. Żadnego partnera i żadnego powodu. Ta potrzeba, ta radość jest gdzieś głęboko w nas.

– Bo czy zdajesz sobie sprawę, jakim przywilejem jest życie? – pyta mnie Holley. I to jest ten drugi raz, kiedy łamię mu się głos.

© JAN BŁASZCZAK

Lektor: Powrót mistrza opowiadań



■ John Cheever,

WIZJA ŚWIATA. OPOWIEDANIA WYBRANE

W wyborze i z przedmową Juliana Barnes.

Przełożył Krzysztof Majer.

Wydawnictwo Czarne,

Wołowiec 2023, ss. 300.

W PRZEDMOWIE DO ANTOLOGII „26 WSPÓŁCZESNYCH OPOWIADEK AMERYKAŃSKICH” (rok 1963) Krzysztof Zarzecki tłumaczył się z nieobecności w niej dwóch pisarzy: Johna O’Hary i Johna Cheevera, którzy „nie uważali za stosowne odpowiedzieć na wielokrotnie ponawiane propozycje redakcji”. Dziesięć lat później w kolejnej antologii „32 opowiadań” Cheever jest już obecny, wcześniej zresztą pojawiły się u nas dwie jego książki. Polscy wydawcy wiedzieli, że opowiadanie jest gatunkiem szczególnie istotnym w literaturze amerykańskiej, stąd te antologie (a zaczęło się po Październiku ’56 od „18 opowiadań”). Radość, że znów się o tym pamięta – wspomnę tylko wspaniały tom opowiadań zebranych Flannery O’Connor. No i serię Czarne, w której przypomniano Carsona McCullera. A teraz wraca Cheever, zaprezentowany przez innego znakomitego pisarza.

Julian Barnes zaczyna od alternatywnych wersji biografii Amerykanina. Najpierw sucha faktografia. 1912 – przychodzi na świat w Quincy (Massachusetts). 1935 – pierwsze opowiadanie w „New Yorkerze”, z którym związał się na resztę życia. 1958 – National Book Award za „Kronikę Wapshotów”. 1964 – okładka „Time’a”. 1968 – ekranizacja opowiadania „Pływak” (w roli głównej Burt Lancaster). 1978 – edycja opowiadań zebranych, National Book Critics Circle Award i Pulitzer. 1982 – śmierć w podnowojorskim Ossining, gdzie mieszkał od ponad dwóch dekad. Dorzućmy jeszcze alkohol, seks i znaczące określenie „Czechow przedmieść”, jakim go obdarzono.

Ten Czechow podszyty jest Kafką, a spokojne, nudne życie suburbiów Wschodniego Wybrzeża przerywają zdarzenia czasem zgoła fantastyczne. Jak w „Olbrzymim radiu”, gdzie nowy, drogi i paskudny odbiornik zaczyna – zamiast muzyki – transmitować życie codzienne sąsiadów. W „Brygadzie i golfowej wdowie” historia pewnego romansu splata się z rywalizacją o... schron atomowy, ozdobiony (maskująco) czterema gipsowymi kaczkami, poidelkiem dla ptaków oraz trzema krasnalami; schronem interesuje się nawet pewien biskup. A w „Pływaku” Neddy Merrill postanawia... przepłynąć hrabstwo korzystając ze sznura basenów i nieświadomie daje się porwać strumieniowi czasu. Realizm miesza się w tej świetnej prozie z groteską i logiką snu. ©P



MATERIAŁY PRASOWE FPFF x2

Jacek Braciak jako Tadeusz „Kos” Kościuszko w nagrodzonym Złotymi Lwami filmie Pawła Maślony „Kos”, 2023 r.

Tęsknoty za wspólnotą

ANITA PIOTROWSKA

Miejmy nadzieję, że casus „Agnieszki Poland” ożywi w polskim kinie zarówno odwagę obywatelską, jak i artystyczną.

W SYTUACJI, KIEDY NA 48. FESTIWALU Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni nie pojawia się najżywiej obecnie diskutowany polski tytuł, mogło to być ledwie usłane czerwonymi dywanami „święto nieistotności”. Ale zakończony w sobotę Festiwal, konkretnie zaś obecni tam filmowcy, nie zapomnieli o Agnieszce Holland, dając temu wyraz i w trakcie imprezy, i na finałowej gali – transmitowanej przez TVP. Co więcej, mimo dotkliwego braku w programie „Zielonej granicy”, która w tym roku nie zdążyła przed zamknięciem selekcji i podobno ma być zgłoszona do programu konkursowego za rok, było co przeżywać i o czym dyskutować.

Złote Lwy w pełni zasłużenie skosił „Kos” Pawła Maślony – brawurowo podana i dziwnie znajoma fantazja o przednówku Insurekcji Kościuszkowskiej. W konkursie głównym pojawiło się jednak przynajmniej kilka filmów, które

niezależnie od kostiumu czy konwencji opowiadania sporo mówiły o nas dzisiaj. Nie zawsze z równym połosem i rzemieślniczą jakością, czuć wszelako, że wielu spośród rodzimych twórców myśli o swoim widzu poważnie. I nie tylko w kategoriach masowych powrotów do sal kinowych.

Samo gęste

„Kos” jest tu dobrym przykładem, bo reprezentuje w zasadzie kino rozrywkowe, aczkolwiek w autorskim wydaniu. Maślona zamiast ciężkiej historycznej kolubryny postawił na lekką acz dobrze naostrzoną broń białą, głównie o chłopskim rodowodzie (takie narzędzie, przeznaczone do prac polowych, odgrywa zresztą w filmie swoją rolę).

Oto wiosną 1794 r. w westernowej scenerii i dość kameralnych warunkach przypadkiem spotykają się przy jednym stole wyborne postacie: powrócony chył-

kiem z USA naczelnik antyrosyjskiego powstania (Jacek Braciak), jego czarnoskóry asystent (Jason Mitchell), pańsko-chłopski bękart (Bartosz Bielenia), sadystryczny moskalski rotmistrz (nagrodzony za rolę drugoplanową Robert Więckiewicz) i charakterna gospodyni wieczoru (Agnieszka Grochowska).

Jesteśmy w świecie zakonserwowanym pogardą i przemocą, gdzie wszystkim rządzi imperialny knut, bardzo nie liczne niewiasty mają głos (stąd „życie kobiety to nieustanny hazard”), pańszczyzna do złudzenia przypomina amerykańskie niewolnictwo, ale w powietrzu unosi się wiatr wielkiej zmiany. Jaki będzie tego finał, doskonale wiemy ze szkoły i daby się go streścić frazą „jeden tylko jeden cud...”.

Maślona, sięgając po wypróbowaną konwencję „Tarantino łamany Smarzowskim” (co czasem mu się zarzuca), nie stawia na czczą zabawę Historią, lecz inteligentnie dekonstruuje ją i wypełnia arcywłoskim wsadem. Z krwawej groteski wyławia bowiem „samo gęste”, czyli Polskę tragicznie i poniekąd genetycznie podzieloną. Dlatego przy tym filmie, ostentacyjnie mało widowiskowym acz imponującym realizacyjną sprawnością (nagroda za montaż dla Piotra Kmiecika i za charakteryzację dla Anety Brzozowskiej), beztrudnie śmiech co chwila zastęga widzowi na ustach. Zwłaszcza że opowie-



Kadr z filmu „Chłopi”, 2023 r.

dziana przez Maślone historia rozdartej wspólnoty powracała echem w zgola odmiennych festiwalowych tytułach, wyrosłych z mniej lub bardziej feudalnego podglebia i narodowego DNA.

Historie ludowe

W pierwszej scenie „Kosa” oglądamy srogie batożenie chłopca za to, że próbował zbiec od swojego pana. Uciekiniera gra Artur Paczesny z Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu, który za główną rolę w innym tegorocznym filmie, „Tyle co nic”, otrzymał w pełni zasłużoną statuetkę jury. Tym razem zagrał potomka dawnych chłopów – współczesnego rolnika z Warmii, który niczym samotny kowboj coraz bardziej odstaje od wiejskiej wspólnoty. Jarek Martyniuk (zbieżność nazwisk ze znanym wokalistą przypadkowa) próbuje zorganizować u księdza pomoc dla rodziny pogorzalców, wszczynając bunt przeciwko lokalnemu politykowi (Artur Steranko), który zdradził interesy ziomków, i stara się wyjaśnić tajemnicę śmierci swego kumpla, któremu wcześniej w niejasnych okolicznościach spłonął dom.

Tyle że ów zdawkowy opis w ogóle nie oddaje tego, że mamy do czynienia z prawdziwym odkryciem. Grzegorz Dębski, nagrodzony za debiut, scenariusz i oryginalność (Złoty Pazur) całkowicie zdemitologizował w swojej opowieści

polską wieś, dotąd nadmiernie przyczernianą bądź infantylnie koloryzowaną. Zrobił film wyzbyty miastowego paternalizmu, kręcony niejako od środka, wypełniony skomplikowanymi postaciami, również kobiecymi, i obsadzony nieopatrzonymi twarzami (jak Monika Kwiatkowska i nagrodzona za drugoplanową rolę Agnieszka Kwietniewska). Bez uproszczonych diagnoz i łatwych ocen pokazał wieś, jakiej większość z nas nie zna i jaka powoli się kończy, aspirując ku czemuś innemu niż codzienny znój, społeczna ciasnota i odgórna marginalizacja. Nawet bliska sercu ojcowizna może okazać się kłopotliwym balastem.

Nie przypadkiem tak istotną rolę odegrała w tym wieloznacznym filmie zwykła gnojówka. Półtora wieku wcześniej używając furmanki wypełnionej nawozem Reymontowska wieś dokonała samosądu na młodziutkiej Jagnie Borynowej i właśnie jej wątek DK Welchman i Hugh Welchman wyeksponowali w swojej adaptacji „Chłopów”. Przepuścili je przez dzisiejsze „historie ludowe”, klimat #MeToo, świeże spojrzenie na etnografię wsi, ale przede wszystkim przez oryginalną technikę, stapiając film aktorski z malarską animacją, czego przedsmak mieliśmy już w „Twoim Vincencie” (2017). Efekty owej fuzji tym razem bywają różne, lecz przyznać trzeba, że chwilami wyglądają (i brzmią, między innymi

za sprawą muzyki L.U.C.-a) wręcz ekstatycznie, co zaowocowało Nagrodą Specjalną jury kierowanego przez Filipa Bajona. Więcej o tym filmie już wkrótce w „Tygodniku”.

Teczki, teczki, teczki

I tak jak nawiązywanie w polskim kinie do naszych chłopskich korzeni da się wytłumaczyć dokonującym się od kilku lat w literaturze, historiografii czy teatrze „zwrotem ludowym”, tak trudniej zrozumieć zupełnie inny motyw, jaki ujawnił się nieoczekiwanie w festiwalowych tytułach, a mianowicie zwrot „agenturalny”.

Na szesnaście konkursowych tytułów co najmniej cztery krążyły wokół peerelewskiej bezpieki. Być może po fali nostalgicznych „powrotów do tamtych dni” dopiero teraz przyszedł czas na poważniejsze rozrachunki, zwiastowane już dwa lata temu przez „Żeby nie było śladów” Jana P. Matuszyńskiego. Tym bardziej że ów trend, aczkolwiek wyraźnie spóźniony, dotyczy twórców różnych pokoleń. Równie dobrze może wyrastać z gęstniejącej atmosfery nieufności i poczucia zagrożenia, że w dzisiejszej sytuacji politycznej „stare wraca”, a już na pewno to, co nigdy nierozliczone czy wyparte.

Ale czasem chodzi po prostu o rozmawianie się w samej konwencji szpiegowskiego thrillera, jak w otwierającym festiwal filmie „Doppelgänger. Sobowtór”, →

→ nagrodzonym za reżyserię Jana Holoubka, zdjęcia Bartłomieja Kaczmarka, scenografię Marka Warszewskiego i kostiumy Weroniki Orlińskiej. Solidna robota nie idzie jednak w parze z psychologicznym bądź egzystencjalnym wyrafinowaniem, właściwym kinu z podgatunku neo-noir. Otrzymujemy przecież wielce inspirujący punkt wyjścia – kradzież i poszukiwanie tożsamości. Równolegle toczą się losy młodego agenta peerelowskich służb specjalnych, który pod przykrywką wku-pia się w łaski nieswojej rodziny i podejmuje pracę wywiadowczą w Strasburgu, oraz szarego inżyniera z Wybrzeża, który próbuje dociec, kim jest, a właściwie skąd pochodzi (w tej roli Tomasz Schuchardt, uhonorowany ex aequo z Więckiewiczem). W ich ojczyźnie toczy się właśnie wielka Historia, życie za żelazną kurtyną kusi sytą normalnością, lecz „sobowtór” grany przez Jakuba Gierszała coraz bardziej pogrąża się w swoim wielkim oszustwie i coraz mniej dobrowolnej samotności. Film zaś, skupiony na podwójnych kamuflażach, pułapkach i zwrotach akcji, gubi raz po raz swój najbardziej ekscytujący nerw. Zamiast „Życia na podsłuchu” czy mrocznej przypowieści o Cieniu, dostajemy ostentacyjnie antybondowską stylizację na późne lata siedemdziesiąte.

Coś z polityczno-psychologicznego dreszczowca miała w zamyśle także „Różyczka 2” Jana Kidawy-Błońskiego i również padają tam pytania o tożsamość, zmaconą odkryciem rodzinnej tajemnicy. Magdalena Boczarska tym razem wciela się w postać dzisiejszej europosłanki, którą prześladowa esbecka przeszłość jej matki, ukazana w pierwszej „Różyczce” z 2010 r. Kiedy straciwszy męża w zamachu terrorystycznym główna bohaterka nieopatrznie wygłasza antyislamski komentarz, czym zjednuje sobie znaczące poparcie i z prawej strony dostaje propozycję kandydowania w wyborach prezydenckich, pozostaje kwestią czasu, aż ktoś wreszcie wyciągnie kwity jej przodków. Szkoda tylko, że w tej perfekcyjnie skrojonej historii o postkomunistycznych trupach w szafie, dzisiejszych fobiach, postpolityce i postprawdzie, tak mało jest powietrza, o filmowym „mięsie” nie wspomniawszy. Są natomiast słodkości – w jednej z lepszych scen grany przez Janusza Gajosa prezes prawicowej partii częstuje swoją kandydatkę... kremówkami i nie był to w Gdyni jedyny



Lena Góra w filmie „Imago” (nagroda za pierwszoplanową rolę żeńską)



Artur Paczesny w filmie „Tyle co nic” (najlepsza rola męska)

szpiegowski tytuł, w którym ten symboliczny motyw cukierniczy się pojawił.

Nie mogło go zabraknąć w „Figurancie” Roberta Glińskiego, kolejnym nowym filmie z teczkami w tle. Podwójne życie staje się udziałem Bronisława Budnego (Mateusz Więclawek) – autentycznej postaci esbecka, który przez wiele lat nadgorliwie inwigilował Karola Wojtyłę. I równocześnie coraz bardziej się staczał, niszcząc po drodze także swoich bliskich. Największym atutem tego filmu jest niemal bezszwowe połączenie archiwalnych materiałów z czarno-białymi zdję-

ciami inscenizowanymi, przez co krakowskie ulice, nowohuckie demonstracje czy występy w Piwnicy pod Baranami wyglądają „jak żywe”. W ten sposób Gliński reanimuje czarno-biały czas, w którym zło miało jednoznaczną twarz uzbrojonego w aparat fotograficzny „figuranta”, podczas gdy Kościół stanowił (jeszcze) niekwestionowany autorytet moralny i duchowy. A z ciekawostek: w roli Ireny Kinaszewskiej, sekretarki „Tygodnika Powszechnego”, która była wykorzystana przez służby w prowokacji przeciwko przyszłemu papieżowi, po-

jawia się jej wnuczka, aktorka Paulina Kinaszewska.

Trudno jednak potraktować tego rodzaju filmy jako coś więcej niż nadrabianie zaległości w dokumentowaniu relacji państwowo-kościelnych z minionego ustroju i wcale nie tak jednowymiarowych, jakby wynikało z ekranu. Dlatego szczególnie anachronicznie, na dodatek bez jakiegokolwiek atrakcyjnej „stylówki”, wypada tutaj „Święty” Sebastiana Buttneho – jedna z największych pomyłek w gdyńskim konkursie. Tu też mamy autentyczną historię. Niedługo po stanie wojennym z katedry gnieźnieńskiej zostały skradzione relikwie świętego Wojciecha i odzyskanie ich miało być dla resortu siłowego pokazówką na użytek opinii publicznej. Ciągłe bowiem trwał zbiorowy wstrząs związany z zabójstwem księdza Popiełuszki. Grany przez Mateusza Kościukiewicza funkcjonariusz MO oddelegowany do przeprowadzenia śledztwa i odzyskania przedmiotów kultu stopniowo dostrzega ukryte za tym wszystkim macki bezpieki i w końcu swoje osobiste uwikłanie w jej intrygę. To połączenie dramatu politycznego z oldskulowym gatunkiem filmu milicyjnego mogło stworzyć wciągający czarny kryminał. Zabiła go zgrzebna robota i zarazem aspiracje do wielkiej tajemnicy, z pogranicza metafizyki i sensacji.

Razem

Te wszystkie obrazy, niezależnie czy wyrosłe z jakichś zbiorowych traum, czy z gatunkowych kalkulacji, składają się na dość przytłaczający Polaków portret własny. „Nie umiemy we wspólnotę” – mówił podczas przyjmowania nagrody reżyser „Kosa”. Lecz jakby na przekór wyzierającej z ekranu nieufności, tej „agenturalnej” i tej „chłopskiej”, szczególnie mocno zaznaczyły się w konkursie filmy jak najbardziej intymne: „Imago” Olgi Chajdas i „Lęk” Sławomira Fabickiego. Ten drugi, niestety, wyjechał z Gdyni bez żadnej statuetki, choć Magdalena Cielecka i Marta Nieradkiewicz są na ekranie niczym jeden żywy organizm. Grają współczesne siostry, które ruszają autem do Szwajcarii, by starsza mogła godnie zakończyć swoje cierpienie, aczkolwiek nie jest to film za czy przeciw eutanazji, ale radykalne studium bliskości. W formie Bergmanowskiego kina drogi, często zatrzymanego w pół zdania, w pół sceny,



Joanna Łapińska, dyrektorka artystyczna Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, wrzesień 2023 r.

bez zbędnych dopowiedzeń, udała się niezwykle szczerą i pełną niuansów rozmowa o tym, co najważniejsze. Na przykład poprzez dotyk, intensywną mowę ciała czy szorstki humor, który pomaga rozładować ciężar ostatecznych decyzji.

Dla odmiany, nagrodzone Srebrnymi Lwami „Imago” przynosi wibrującą dziką energią studium kobiecej wylinki. Uhonorowana za pierwszoplanową rolę żeńską intrygująca Lena Góra (znana choćby z „Roving Woman”) i także współscenarzystka tego filmu nawiązuje do burzliwej historii swojej matki, związanej w drugiej połowie lat osiemdziesiątych z punkową sceną Trójmiasta i dojrzewającej do życia na własnych zasadach. Wspólnota ma tutaj wymiary bardzo nieoczywiste, przybiera na przykład postać rodziny, którą łatwo byłoby nazwać patologiczną, jednakże twórczyni niczego nie definiują – również choroby psychicznej. Dają swojej bohaterce przestrzeń do szaleństwa i błędzenia, a jednocześnie jest to kino bardzo przemyślane w swojej „brudnej” zmysłowości i pięknie zbliżonym do fotografii Nan Goldin. I nabuzowane ówczesnymi brzmieniami alternatywnymi spod znaku Pancernych Rowerów i Apteki, przepisanych dzisiaj w ciekawy sposób przez Andrzeja Smolika (nagroda za muzykę).

Samopoczucie

Był to zatem festiwal całkiem zajmujący – wbrew rytualnym narzekaniom, brakowi kilku wyczekiwanych tytułów, obecności kilku chybionych i prawicowej histerii wokół „Zielonej granicy”. O lepsze sa-

mopoczucie widzów zadbała niezawodna pod tym względem Kinga Dębska w „Święcie ognia” według powieści Jakuba Małeckiego (nagrody aktorskie dla Kingi Preis za drugi plan i Pauliny Pytlak za debiut), a na innym biegunie Maciej Bochniak w zwariowanym „Freestyle’u” czy Adrian Apanel z debiutanckim „Horror Story” – jedynej w swoim rodzaju „czarnej komedii rekrutacyjnej”.

Nowa dyrektorka artystyczna Joanna Łapińska wykazała się dużą odwagą, przejmując gdyńskie stery w tak trudnych dla polskiego kina czasach, naznaczonych przez polityczną cenzurę, globalny kryzys ekonomiczny, zmianę nawyków odbiorczych i walkę rodzimych filmowców z platformami internetowymi o taniemy. W takiej atmosferze z trudem otwiera się szampana. Zwłaszcza że zbliżające się wybory mogą zmienić na jeszcze gorsze całą dotychczasową optykę.

Można za to postulować, żeby niezależnie od wszystkiego zaczęło zmieniać się, przynajmniej częściowo, nasze „spojrzenie wewnętrzne” – na kino historyczne (po zawiadacko-brutalnym, ale jakże mocarnym w swej wymowie „Kosie”), na adaptacje utworów literackich (patrz: „twórcza zdrada” dokonana na nobliście w nowych „Chłopach”) czy sposób opowiadania o emocjach (filmy Fabickiego i Chajdas). Nie mówiąc o poważniejszym spojrzeniu na klasy ludowe w znakomitym debiucie Dębowskiego.

Miejmy nadzieję, że tak jak w przypadku wyżej wymienionych tytułów, sprawna i zarazem poszukująca forma nie będzie ustępować istotnym treściom. Bo jeśli czegoś naprawdę dzisiaj brakuje naszemu kinu, niezależnie od kategorii wagowej i światopoglądowej, co widownia doskonale wyczuwa, to przede wszystkim szczerości. Na szczęście z kilkoma pięknymi wyjątkami. Holland pokazała, jak wielka jest w szczerości siła.

© ANITA PIOTROWSKA

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

OLGA

Drenda:

Forma istnienia białka



FELIETONIŚCI LUBIĄ SOBIE POŚMIESZKOWAĆ z perypetii użytkowników mowy potocznej, rzec by można, że to taki samograj. Tu jakieś niezgrabiaszostwo popełni się w reklamie, tam wyjdzie, że polityk niekoniecznie uważał na lekcji polskiego

albo, dla odmiany, popisał się snobizmem. Takie przypadki sypią się z billboardów i ekranów i za każdym razem wywołują wiele oburzenia pomieszanego z wesołością, dzięki czemu zawsze jest o czym porozmawiać. Sama z błędów się nie śmieję, ponieważ szewc bez butów chodzi – też czasami je popełniam, robię literówki, a w mowie bywam chwilami jak gumis Zami. Zwłaszcza kiedy ktoś za dużo przebywa w internecie, może zacząć używać własnego języka jakby wtórnie, w zapożyczeniu, czyli tak, jakby nauczył się go przez angielski. Kiedyś nie bez zdziwienia zauważyłam, że zdarza się to i mnie, i to na piśmie: otóż nie spostrzegłam, że zamiast utartej w polszczyźnie „równi pochyłej” zaczęłam używać wyrażenia „śliskie zboczne”, i dopóki ktoś przytomny nie zauważył, najzupełniej polską wersję „skasowałam w swej pamięci” (jak śpiewał niegdyś Krzysztof Cugowski). Zdarza się zresztą, że błąd jest pod jakimś względem ciekawszy i wyciąga na wierzch charakter. Mem z podpisem „niedziela wieczur i humor popsuty...” nie miałby w sobie nawet 10 procent tej zwichniętej rezygnacji, tego wyczuwalnego nosa na kwintę, gdyby w zapisie była litera „ó”.

Ciekawsza od błędów jest taka mowa, która bezwiednie wkrada się w codzienne praktyki. Ma pozór zupełnie naturalnej, poprawnej i właściwej, wydaje się aseptyczna, bezwonna, a jednak z daleka widać, że ujawnia jakieś intencje. Mowa potoczna najchętniej wchłania i imituje słowa i sformułowania typu zakłęcia: takie, które ujawniają ambicje użytkownika

Robocik
jak ty i ja.



OLGA DRENDA

albo obiecują wpływ na rzeczywistość. W czasach PRL działało się tak z frazami z języka urzędowego, które wszystko pompywały i wydłużały celem zwiększenia powagi – „w miesiącu kwietniu” czy „dzień dzisiejszy”, który darzę nieironiczną sympatią (chyba że względu na wyjątkowo dojmującą zbędność tej powtórkę; na dzień dzisiejszy posiadam – a nie po prostu mam! – troje kociąt). Swoje dołożył i język kaznodziejski ze swoim „ubogacaniem” i „pochylaniem się z troską”, wreszcie handel i reklama, pełne niekoniecznie fortunnych pożyczek z angielskiego, dedykowanych destynacji typu premium. To wszystko jednak zjawiska już dobrze rozpoznane i opisane przez bardziej czujnych i doświadczonych – tymczasem dziś naszą komunikację napędza, niczym napój funkcjonalny w nienaturalnym kolorze, język technologiczno-suplementacyjny.

To język świata *wellness*, poradników samorozwoju, „mindsetu” Doliny Krzemowej, szytych na miarę diet, a przede wszystkim – nieustannego rozliczania się przed sobą i innymi z tego, czy sprostaliśmy wyzwaniu „bycia codziennie lepszą wersją siebie”. Odnosi się do ludzkiego ciała i ducha, ale traktuje je jako system, którym należy prawidłowo zarządzać, troszkę jakby sterowało się aplikacją z bardziej skomplikowanym tamagotchi. Dlatego przejawia się w nim charakterystyczna troska fachowca: nie „jem czegoś”, tylko „dostarczam zbilansowanych składników odżywczych”, i do tego nie sobie, lecz „swojemu organizmowi”. Nie „idę poćwiczyć”, tylko „wykonuję trening” (nawet jeśli nie przygotowuję się do żadnych zawodów). Nie „idę na spacer”, lecz „inwestuję w aktywny odpoczynek, aby mieć więcej energii na co dzień”. Do tego „zastępuję złe nawyki dobrymi”, „pracuję nad emocjami”, i moje ulubione: „zarządzam sobą w czasie”.

Katalizatorem wnikanie takiego myślenia w naszą codzienność jest popularność wyjętych z kontekstu fraz popularnonaukowych. Od kiedy upowszechniła się znajomość nazw neuroprzekazników, wielu ludzi – jak mam wrażenie – nareszcie klasnęło z radości w dłonie, że „życie to forma istnienia białka”, i zamiast „jest mi przyjemnie”, mówią: „odczuwam przyływ endorfin”, a zamiast „polubić kogoś”, ujawniają, że „dzięki niemu zadziałała oksytocyna”. Najbardziej spektakularny przykład zasłyszałam kiedyś, gdy anonimowy człek, mówiąc o smutku związanym z rozstaniem, usłyszał od rozmówcy: „twoja reakcja jest naturalna, ponieważ ludzie wyewoluowali w grupach”, otrzymując tym samym dokument popnaukowego uprawomocnienia dla swoich uczuć.

Zastanawiająca jest ta konieczność dostarczania sobie wyższych racji towarzysząca zwyczajnym życiowym zdarzeniom jak jedzenie, sen lub bycie smutnym. Ale też w posługiwaniu się obłą mową o niskim współczynniku tarcia jest coś przyjemnego. Ma w sobie coś z łykania suplementów: zażywamy je, bo wierzymy, że będą działały, może bardziej dla samego pocucia przez chwilę nadziei i obietnicy, niż wierząc faktycznie. Ale też „nasze organizmy” to czasami jedyne, co realnie i trwale mamy. Stąd marzenie o tym, żeby nimi „zarządzać” – nareszcie coś okazuje się przewidywalne i w naszym zasięgu. Oczywiście, zazwyczaj nie za darmo. Ale to nic nie szkodzi.

©

PAWEŁ

Bravo: Zwodnicza słodycz



„W SZERSZYM SENSIE NASZYM BIZNESEM jest smak” – pisał już w latach 60. w wewnętrznym dokumencie szef komórki do spraw badań biochemicznych wielkiego koncernu tytoniowego Reynolds, omawiając perspektywy rozwoju w branży napojów i przekąsek. Nie minęło 20 lat i te zaślubiny syna Lucyfera z córką Belzebuba stały się giełdowym faktem, gdy tenże Reynolds, a także jego główny rywal Philip Morris przejęły na rynku amerykańskim wszystkie liczące się wielkie konglomeraty spożywcze, takie jak Kraft czy Nabisco (może ta druga nazwa niewiele wam mówi, ale ciastka Oreo kojarzycie z pewnością). Przejęły i twórczo wykorzystały swoje ogromne doświadczenia z papierosami, które – to już było w latach 80. zeszłego wieku jasne – przestaną być sensownym i perspektywicznym źródłem zysku. Marlboro Man pogalopował więc do spożywczaka.

W pierwszej dekadzie naszego stulecia te biznesowe fuzje uległy częściowo lub zupełnie rozwiązaniu, ale ślady w sferze naszej konsumpcji, tego, jak się nam proponuje żywność i jak się modeluje nasze apetyty, pozostały. Intuicyjnie to zawsze było dla mnie oczywiste – a potem dzięki pionierskim tekstom w „Tygodniku” zaczęło być też jasne w sposób mający naukowe podstawy – że słodkie wynalazki należałoby reglamentować tak samo jak tytoń, a nawet jeszcze ostrzej, bo papierosy nigdy jednak nie głośiły, że są „fit” i zawierają błonnik. Teraz ta intuicja zyskuje bardzo mocną podbudowę już nie tylko od strony fizjologii i psychologii, ale i historii biznesu. Tego lata w specjalistycznym czasopiśmie poświęconym terapii uzależnień opublikowano sprawozdanie z badań porównawczych nad artykułami spożywczymi wprowadzonymi przez firmy należące do koncernów tytoniowych. W ślad za tym dziennikarze śledczy zaczęli grzebać w dokumentacji wewnętrznej koncernów.

Z analiz statystycznych wyszło, że ciastka, przekąski i napoje z portfolio badanych firm miały z o wiele większym prawdopodobieństwem cechy „super-apetyczności”, czyli m.in. zawierały znacznie więcej sodu i cukru, by pobudzać ośrodki nagrody w mózgu. Z czytania notatek służbowych i zapisów prezentacji wyszło zaś, że całe podejście marketingowe, paradygmat myślenia: „zrobmy tak, żeby ludzie nie mogli się bez tego obejść”, było żywcem przeniesione z marketingu pa-

pierosów. Zarówno jeśli chodzi o intensywne badania nad fizjologią smaku i reakcjami organizmu tak, by proporcje substancji dawały maksimum szczęścia, jak i rozległe studia nad psychologią zakupowego impulsu i wizerunkiem marki. Teraz to dla nas banał, ale we wczesnych latach 90. to była innowacja wniesiona właśnie z rynku papierosów, by marka miała swoje „przedłużenia” dokładnie podregulowane pod potrzeby i aspiracje bardzo konkretnych grup odbiorców. Zwykły papieros marki X dla facetów, cienki dla kobiet, mentolowy dla czarnoskórych, w wersji light dla młodszych... i tak dalej. Okazało się, że krakersy w kształcie misia wcale nie muszą być tylko dla dzieci, wystarczy podłubać przy opakowaniu i stworzyć nieco inaczej nazwany wariant, żeby rozszerzyć pole rażenia o dorosłych. Albo zamiast w kółko sprzedawać ten sam pakiet lunchowy dla dzieci (mortadela, ser topiony, krakersy) i apelować w reklamach do wiecznie zajętych matek, wprowadzić tuzin odmian i skierować „wolnościowy” przekaz do samych dzieci: możecie być tym, kim zechcecie.

Słodka to chwila, gdy ktoś autorytatywnie potwierdzi nam coś, co się dotąd przeczuwało (zwłaszcza gdy jest to wiedza o grzechach i podłościach bliźnich). Ale to słodycz zwodnicza i pusta jak cukier z puszki coli, a ośrodek nagrody pozostanie dalej niespokojny. Cóż bowiem dalej zrobić z tą wiedzą? Znow się okazało, że głównym lewarem naszych decyzji o tym, co zjemy (zakładając, że nie jesteśmy w skrajnej nędzy czy na wojnie), są płochy trzepoty przyjemności, nie zaś życiowy interes ciała i ducha. A smak to towar moralnie i zdrowotnie podejrzany, skoro w naszych czasach najlepiej sobie z nim radziły sprzedawcy raka. ©P



Nie jestem pewnie sam w tym zachwycie nad gorącym wrześnie. Szczególnie łatwo zapomnieć o planetarnym wymiarze tej groźnej anomalii, kupując pomidory – jak mówiła mi pani Maryla Ziółkowa, krzaki już właściwie usychają, kończą swój cykl produkcyjny, a słońce nadal grzeje i daje pełnię smaku. Można więc jeszcze się pobawić pożegnalnie w pesto z Trapani. Jest to wzbogacona wersja farszu do bruschetty. Musimy sparzyć i obrać **tomat**, pokroić je na drobne kawałki i położyć na duże sito, lekko naciskając łyżką lub dłonią odcisnąć większość soku (wypijamy go!). Potem je **solimy** i czekamy jeszcze chwilę, aż puszczą więcej soku. W moździerzu lub mikserze rozcieramy **ząbek czosnku** (na 0,5 kg pomidorów) i **garść obranych migdałów**, potem dodajemy strużkę **oliwy** i **garść listków oregano**. Łączymy z pomidorami i dodajemy jeszcze trochę oliwy.

PDCPHOTOS / SHUTTERSTOCK

GRA W KOLORY

KASSIA ST CLAIR, HISTORYCZKA:

W ostatnich latach coraz bardziej interesują nas żywe, nasycone barwy. Jakbyśmy w trudnych czasach instynktownie szukali pocieszenia.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Często rozmawia Pani o kolorach?

KASSIA ST CLAIR: Mogłoby się wydawać, że wszyscy lubimy o nich mówić – każdy ma przecież swój ulubiony! Ale poza kilkoma pragmatycznymi sytuacjami – wybór farby na ściany w salonie czy dobieranie dodatków do sukienki – temat ten uchodzi raczej za błahy, banalny wręcz. Trochę jak rozmowa o pogodzie, tyle że bardziej dziecinna.

Z wiekiem mniej cieszymy się kolorami?

Coś w tym jest. Gdy przestajemy nosić w plecaku piórnik pełen kredek i flamastrów, zwracamy coraz mniejszą uwagę na otaczające nas barwy. A nie zawsze tak było.

Coś się zmieniło?

Paradoksalnie chodzi o to, że świat stał się... zbyt kolorowy. Wcześniej, gdy był bardziej monochromatyczny, kolory odbieraliśmy intensywniej, bo chyba też byliśmy ich po prostu spragnieni, szczególnie u nas, w pochmurnej i szarej Europie Północnej. Dziś dbanie o wizualne aspekty naszej rzeczywistości często oddajemy w ręce fachowców – grafików, projektantów, speców od reklamy. Od kolorów są profesjonalści.

Płeć ma tu coś do rzeczy?

Okolo 4,5 procent populacji – najczęściej z powodów genetycznych – ma do jakiegoś stopnia problem z rozpoznawaniem kolorów. I faktycznie częściej dotyczy to mężczyzn niż kobiet. Inna sprawa, że ignorancja w kwestii nazewnictwa kolorów stała się częścią pewnego modelu męskiej tożsamości. Tak jakby umiejętność rozróżnienia indygo od błękitu pruskiego nosła ze sobą jakieś poważne ryzyko jej rozmiękczenia.

Z pewnością zmienia sposób patrzenia na świat.





AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Oczywiście, bo kolory mają swoją bogatą i skomplikowaną historię, rzadko kiedy niewinną. Przez wieki, czasem wręcz tysiąclecia, obstrastały w najróżniejsze znaczenia i sensy. Dlatego też ten sam zestaw kolorów w zależności od kultury mógł być postrzegany zupełnie inaczej. Na przykład zieleń była niezwykle ważna w kulturze islamskiej, przez co w średniowiecznej Europie, prawdopodobnie na skutek wypraw krzyżowych, zaczęła być kojarzona z diabłem i demonicznymi praktykami. Albo zawrotna kariera niebieskiego. Rzymianie uważali go za kolor pospolity, do tego lubowali się w nim barbarzyńcy. Jednak za sprawą rosnącego w siłę kultu maryjnego stał się jednym z najważniejszych kolorów chrześcijańskiej Europy. Jak widać, przy okazji kolorów można rozmawiać właściwie o wszystkim – od historii wojskowości, przez kulinaria i botanikę, na zagadce początku wszechświata kończąc.

W książce „Sekrety kolorów” opowiada Pani kulturową historię kilkudziesięciu kolorów. Od którego się zaczęło? To ma być taki pokrętny sposób, żeby zapytać o Pani ulubiony...

Ultramaryna.

Ani chwili zawahania.

Bo jest nie tylko zjawiskowo piękna, ale też skupia w sobie wszystko to, co w historii kolorów najciekawsze. To najbardziej „maryjny” ze wszystkich odmian niebieskiego, dlatego też przez wieki był szczególnie pożądany. Wytwarzało się go z lapis-lazuli, czyli po łacinie „niebieskiego kamienia”, będącego w rzeczywistości mieszaną kilku minerałów. Przed XVIII wiekiem do Europy trafiał wyłącznie z jednego źródła – z kopalni Sar-e-Sang w górach afgańskich. Na wschodnie wybrzeże Morza Śródziemnego transportowano go jedwabnym szlakiem, a potem drogą morską do Wenecji. Już sama nazwa – *ultra* (poza) i *mare* (morze) – sugeruje, że jest to coś niezwykłego, pochodzącego z innego świata. Na jej punkcie obsesję mieli zarówno artyści, jak i ich mecenas, którzy często domagali się, żeby na zamówionym obrazie pojawiła się na odpowiednio dużej powierzchni, jednocześnie skrupulatnie rozliczając swoich protegowanych z pobranych zaliczek.

W ten sposób można było pochwalić się swoją zamożnością?

Ale też pobożnością. W późnym średniowieczu i wczesnej nowożytności nie było nic lepszego niż Maryja w płaszczu w kolorze ultramaryny. Użycie tego konkretnego pigmentu oznaczało dodatkową warstwę sensu, w oczywisty sposób czytelną dla ludzi w XV czy XVI wieku. Dlatego dla mnie historia kolorów – ich materialnego sposobu wytwarzania, a potem dystrybuowania wśród artystów – to nieodłączny element historii sztuki.

Dlaczego dziś inaczej postrzegamy kolory dawnych dzieł?

Mamy wiele fałszywych wyobrażeń na temat materialnej strony przeszłości. Na przykład przez wieki, głównie za sprawą XVI-wiecznego włoskiego architekta Andrei Palladia, powszechnie uważano, że klasyczne budowle greckie były białe. To założenie stało się fundamentem wielu późniejszych stylów, z klasycyzmem w jego wielu wariantach na czele. Jednak już w połowie XIX wieku badania archeologiczne pozwoliły ustalić, że Grecy →

Tradycyjne farbiarnie skór w Fezie. Maroko, luty 2019 r.

→ w architekturze, i nie tylko, uwielbiali jasne, żywe kolory. Było to dla wielu szokiem. Francuski rzeźbiarz Auguste Rodin miał nawet powiedzieć, że fakty mogą temu przeczyć, ale on głęboko w sercu wie, że greckie świątynie i amfiteatry musiały być białe.

Aż tak?

Proszę wyobrazić sobie Akropol pełen żywych odcieni czerwonego, niebieskiego czy żółtego. Czy to dalej ten sam Akropol, który przez tysiąclecia promieniował na całą europejską kulturę? Kolory odgrywają olbrzymią rolę w budowaniu tożsamości.

Pisze Pani, że obrazy dawnych mistrzów też kiedyś wyglądały inaczej.

Tak, i to te, które dziś uważamy za absolutnie kanoniczne dla europejskiego malarstwa. Wszystko znów sprowadza się do materialnego czynnika, czyli rodzajów i jakości używanych barwników. Gdy myślimy o obrazach dawnych nowożytnych mistrzów, mamy w głowie raczej ciemną, stonowaną paletę barw. W niektórych wypadkach taka była intencja twórców, czasem jednak to efekt działania czasu, bo na przykład użyty na danym obrazie lakier stawał się coraz bardziej brązowy, przez co „wysssał” część koloru. W zeszłym roku zakończyły się czteroletnie prace konserwatorskie „Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny” Tytjana. Gdy obraz został ponownie odsłonięty, wiele osób zareagowało podobnie jak Rodin, bo żywość kolorów kłóciła się z powszechnym wyobrażeniem tego arcydzieła. Kształtowane przez wieki kanony estetyczne sprawiają, że intensywne kolory czasem kłócą się nam z powagą i doniosłością dzieła.

Z Pani książki wynika, że na przestrzeni wieków pewne kolory stawały się niezwykle modne, inne wypadły z łask. Jakże barwy definiują nasze czasy?

Podczas pandemii zauważyłam gwałtownie rosnące zainteresowanie wieloma odcieniami żółtego i pomarańczowego, które wcześniej pojawiały się bardzo rzadko. To oczywiście typowy efekt mody, ale wydaje mi się też, że w tych trudnych czasach wielu z nas instynktownie szukało w nich pocieszenia. Co ciekawe, zainteresowanie żywymi, nasyconymi kolorami wciąż narasta.

Wszechobecność ekranów w naszym życiu ma tu znaczenie?

Z pewnością, bo dzięki nim mamy dostęp do barw, które normalnie nie występują w naturze – przynajmniej nie w takiej intensywności i podświetleniu. Z założenia mają one przyciągać naszą uwagę. Ta cyfrowa jasność i nasycenie w dużym stopniu określają naszą rzeczywistość dziś. Nawet jeżeli jakość wyświetlaczy bywa różna, efekt immersji jest podobny. Wielu moich znajomych, którzy co roku jeżdżą na ważną branżową imprezę

dla projektantów wnętrz, czyli Salone del Mobile w Mediolanie, zwróciło mi na to uwagę. Mówili, że już od jakiegoś czasu dominują tam jasne i żywe kolory, ale tegoroczna intensywność barw była już zupełnie szalona. Żywiolowa ekspresja i przyciąganie uwagi są dziś najważniejsze.

Czyli to nie jest dobry czas dla ciemniejszych, bardziej subtelnych kolorów?

Jeszcze parę lat temu, przed pandemią, popularne były odcienie ziemiste, szczególnie czerwieni i zieleni – barwy kojarzące się z naturą i ekologią. Światem kolorów od zawsze rządziły mody i trendy, niemniej w epoce cyfrowej dynamika zmian jest wyraźnie większa.

Jaki kolor jest teraz w niełasce?

Najtrudniej ma dziś chyba fiolet, który swoje największe triumfy święcił w XIX wieku, wtedy uważany był za niezwykle elegancki i gustowny. Dziś fioletowy garnitur będzie raczej kojarzył się z ekscentrykiem pokroju Willy'ego Wonki z „Charliego i fabryki czekolady”. Ale kto wie, może za 10 lat wszyscy będziemy znowu chodzić ubrani na fioletowo?

Kolory to także sprawa bardzo polityczna – widać to dobrze w czasie kampanii wyborczej, gdy stroje polityków, ale i same plakaty atakują nas zewsząd różnymi kolorami.

To osobne uniwersum, fascynujące dla badaczki kolorów. Na przykład w ostatnich wyborach w Australii pojawiła się nowa opcja polityczna – *teal independents*. W politycznym spektrum to centryści, ale żeby się wyróżnić, przyjęli nowy, mający odpowiadać ich przekonaniom kolor [ang. tłumaczy się najczęściej jako „morski” albo „cyraneczka” – red.]. Za ich sprawą w debacie publicznej zaczęto dyskutować zawzięcie właśnie o... kolorach – o tym, co ideologicznie oznaczać może to połączenie zielonego i niebieskiego. W polityce, zresztą jak wszędzie, o znaczeniu danego koloru decyduje niemalże wyłącznie kontekst kulturowo-historyczny. USA to świetny przykład. Prawie wszędzie na świecie czerwony kojarzony jest z lewicą, niebieski z konserwatystami, a tam jest odwrotnie. Co więcej, w przypadku Ameryki ten kod, choć wydaje się niemalże odwieczny, nie ma więcej niż 20-30 lat, wcześniej panowała tam kolorystyczna dowolność.

A partie Zielonych?

W ostatnich dekadach zielen okazała się na tyle atrakcyjna politycznie, że przestała być wyłącznie kolorem ekologów. Choćby w australijskiej polityce mamy już kilka jej odcieni, a każdy odnosi się do innej opcji światopoglądowej. Te stopniowe zmiany znaczenia poszczególnych barw najlepiej widać w wielopartyjnych systemach politycznych. Tam walka na kolory jest szczególnie zawzięta, bo paleta jest siłą rzeczy ograniczona. Z tego powodu niektórzy decydują się na dwukolorowość, co już zupełnie przypomina realia drużyn piłkarskich.

Historia kolorów to także historia sporów o prawa autorskie.

Dziś, podobnie jak kilka wieków temu, działają firmy, które wymyślają i patentują nowe kolory. Na przykład przy uniwersytecie w Oregonie działa laboratorium Masa Subramaniana, które kilka lat temu stworzyło nowy odcień niebieskiego, teraz pracując nad nową czerwienią.

Potrzebujemy nowej czerwieni?

Jest w tym olbrzymi potencjał komercyjny. Wiele powszechnie używanych dziś barwników nie daje do końca zadowalających efektów. Na przykład czerwień serca w popularnych naklejkach z serii „I ♥ NY” niestety szybko blaknie. Albo Ferrari, które też ma problem ze swoją emblematyczną czerwienią – aby ją utrzymać, konieczne są drogie lakiery, które i tak trzeba nakładać wciąż na nowo. Jeżeli komuś uda się stworzyć inny, bardziej odporny na działanie słońca i powietrza barwnik, sporo na tym zarobi. Jest też duże zapotrzebowanie na nowe, wyjątkowe kolory, które wielkie korporacje będą potem mogły wykorzystywać jako część swojego brandu.

Idea posiadania na własność jakiegoś koloru jest problematyczna.

I trudna w egzekwowaniu. Przekonanie, że kolory należą do wszystkich, jest naturalne i powszechne. Do tego prawie każdy ma dostęp do zaawansowanych programów graficznych, gdzie, nawet przypadkiem, można wygenerować niemalże dowolny zestaw barw. Z drugiej strony stworzenie niektórych kolorów czasem wymaga drogich i innowacyjnych technologii. Tak było z substancją Vantablack, która powstała w National Physical Laboratory w Wielkiej Brytanii. To jeden z najciemniejszych znanych człowiekowi materiałów, który absorbuje 99,965 procent światła i ma bardzo szerokie zastosowanie w przemyśle i nauce. Ale, jak się szybko okazało, także w sztuce. W 2016 roku, po kilku latach eksperymentów z tą materią, brytyjski artysta Anish Kapoor zawarł umowę z producentem Vantablack, dzięki czemu otrzymał wyłączne prawo do korzystania z niej. Wzbudziło to olbrzymie kontrowersje w środowisku artystycznym.

Czemu Vantablack stała się tak pożądaną przez artystów substancją?

Jako że pochłania niemalże całkowicie padające na nią światło, nasz mózg ma problem z jej percepcją – materia w tym kolorze wydaje się nie mieć faktury, sprawia wręcz wrażenie dwuwymiarowej. Taka czarna dziura dla naszych zmysłów.

Przy rozmowie o kolorach nie można pominąć poezji. Dlaczego morze u Homera jest „ciemne jak wino”? To pytanie od wieków powraca w dyskusjach wśród antropologów i historyków sztuki.

Każdy język nieco inaczej nazywa poszczególny składowe rzeczywistości – w tym kolory. Trudno powiedzieć, ile właściwie istnieje kolorów. Aby język działał efektywnie, musi w jakiś sposób zawęzić ich ilość, pogrupować je. W większości dzisiejszych języków istnieje kilkanaście kolorystycznych grup, ale nie ma tu reguły, więc różnice potrafią być olbrzymie. Najwi-

KASSIA ST CLAIR jest brytyjską dziennikarką i historyczką, autorką książki „Sekrety kolorów” (2017, polskie wydanie w przekładzie Andrzeja Wojtasika ukazało się właśnie nakładem Wydawnictwa Buchmann) oraz „The Golden Thread: How Fabric Changed History” (2018).



MATERIAŁY PRASOWE

doczniej, jak w przypadku greki, czasem wystarczało ich mniej. W przeszłości badacze faktycznie podejrzewali, że z Grekami musiało być coś nie w porządku, skoro morze i wino, ale też woły miały dla nich ten sam kolor.

Co więc było nie w porządku z Grekami?

W rzeczywistości chodziło o to, że w kwestii nazywania kolorów języki ewoluowały powoli i każdy na swój sposób. Co ciekawe, da się na przestrzeni wieków zaobserwować też delikatne przesunięcia w samym znaczeniu danego określenia koloru. I żeby sprawę jeszcze bardziej skomplikować – używanie abstrakcyjnego określenia barwy nie zawsze było popularne, często mówiło się o kolorach niemalże wyłącznie w kontekście konkretnych rzeczy – na przykład malinowy to kolor, jaki mają maliny.

Im więcej nazw danego koloru w naszym języku, tym lepiej go postrzegamy?

Neurolingwistom udało się zaobserwować niewielkie różnice tego typu, na przykład podczas badania użytkowników języka rosyjskiego, gdzie powszechne jest rozróżnienie na jasny i ciemny niebieski [chodzi o słowa „gołuboj” i „sinnij” – odpowiadające z grubsza polskim „błękitny” i „granatowy” – przyp. red. za Andrzejem Wojtasikiem, tłumaczem książki „Sekrety kolorów”], w porównaniu z użytkownikami języka angielskiego, gdzie powszechnie używa się tylko jednego słowa, czyli „blue”.

Da się rozwijać te umiejętności?

Nasze mózgi są bardzo plastyczne. Jeżeli ktoś dużo pracuje z kolorami, choćby graficy czy artyści, z pewnością jest w stanie wyćwiczyć się w lepszym rozróżnianiu i określaniu kolorów, na przykład poprzez kody systemu RGB. Niemniej to techniczna umiejętność, podobnie jak określanie „na oko”, ile to 250 gramów mąki. Nie można zapominać, że kolory są czymś więcej niż tylko sumą swoich fizycznych czy chemicznych właściwości. Gdy mówimy o kolorach, mówimy też o emocjach – i to przy pomocy historycznie uwarunkowanych kodów kulturowych. Dlatego właśnie można rozmawiać o nich bez końca.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Oblicza kampanii*



PROFIL, KSZTAŁT I WYRAZ KAMPANII wyborczych zmieniały się i zmieniają, zgodnie z oczekiwaniami mas. Opinia przeciwna, oparta na powszechnej wierze w dobro i mądrość zbiorowości ludzkiej, jest taka, że niewinne a ufne masy są ma-

mione przez zwyrodniałców łaknących władzy, że – jak powiada klasyk – ciemnemu ludowi da się wcisnąć absolutnie wszystko, zwłaszcza podczas kampanii wyborczych, więc się mu wciska. Wystarczy umieć kłamać. Gwałtownie się sprzeciwiamy takim niesprawiedliwym i wyższościowym ocenom naszego społeczeństwa. Nasze zdanie jest odmienne: lud sam sobie wciska polityków o wymarzonych parametrach umysłowych i moralnych, i tej tezy nie da się obalić bez półlitrowki. A więc: polscy politycy, ci których znamy, których niebawem poznamy, których lubimy bądź nie lubimy, są produktem naturalnym. Są eko i bio, bez konserwantów i polepszaczy. Są idealnym odwzorowaniem wyobrażeń i marzeń narodu na temat wolności, sprawiedliwości, moralności, fizyczności, kultury, fachowości i sprawczości. Są także wynikiem myślenia o zabawie. Weźmy dla przykładu posła z Opola Janusza Kowalskiego. Znanego polityka partii Prawo i Sprawiedliwość. Z jego aktywnością fizyczną, umysłową i oralną może się zapoznać każdy. Każdy chętny.

Otóż stawiamy tu tezę, że to nie Janusz Kowalski nam „się zaproponował”, nie on się wymyślił, nie on wykoncypował swą stylistykę i artykulację, ową niepodrabialną specyficzność. Nie on, lecz myśmy to uczynili. Myśmy sobie zaproponowali, bośmy spośród innych Kowalskich wybrali akurat Janusza z Opola i żeśmy go pracowicie uformowali na podobieństwo swoje. Wynikło to z naszych – jak tu ponuro sie-

dzimy – najskrytszych pragnień i potrzeb. Rozrywkowych. Bo polityka stała się niemal mimochodem i na całego – a jest to spostrzeżenie ogniste i bliskie geniuszu – czystą rozrywką. Jest po prostu jej gatunkiem. Jak cyrk, futbol, grzybobranie, striptiz czy zgaduj-zgadula. Ktoś teraz powie, że Janusz Kowalski jest przykładem podanym pod tezę i bardzo tendencyjnie. Nie jest. Janusz Kowalski jest absolutnie wzorcem, przewodnikiem i pionierem trendu, z którym zapoznamy się w nowym parlamencie polskim, na skalę dotychczas niewidzianą.

My tu sobie gadu-gadu, a przecież wypadałoby coś powiedzieć o obliczach kampanii. Konkretniej. Ktoś tu zawoła, żeby jednak porzucić rozrywkę i zająć się aferą wizową, żeby więcej pisać o grubych tzw. pieniążkach, które tak lubią brać ludzie obecnej władzy. To nas jednak nie kręci. Są to sprawy za mało rozrywkowe właśnie, zbyt ciężkie, zważywszy świetny nastrój, w którym dzięki polityce polskiej permanentnie w kraju naszym trwamy, by nie rzec – płasamy. A zatem coś kampanijnego, ale bez napinki. Było coś takiego?

Było. Znany i lubiany piosenkarz polski p. Ralph Kaminski zaśpiewał piosenkę, w której szczeka w te słowa: hau-hau, hau-hau-hau... i tak dalej, w ten deseń. Tak! W trakcie szalejącej kampanii wyborczej! Gdy trwa walka o czystą kulturę polską! Szczekanie przed wyborami polskimi musi mieć konsekwencje. Wielu wybitnych znawców kultury, w tym kultury polskiej, w tym oczywiście wspomniany tu poseł Janusz Kowalski z Opola, popadło z powodu szczekania p. Ralpha Kaminskiego w rozstrój i egzaltację. Oburzyło ich szczekanie na wizji i na scenie, w obecności wymagającego widza polskiego. Występ został nazwany w przeintelektualizowanych mediach prawicy polskiej absolutnym skandalem. Nasze przekonanie jest takie: gdyby Ralph Kaminski miał czucie polityki polskiej i prawdziwej kultury, toby miauczał. Dostałby za to i dotację od ministra P. Głińskiego i jakąś wizę od ministra P. Wawrzyka, order p. A. Dudy, J. Kowalski by się rozkleił, minister P. Czarnek wpisałby piosenkę do kanonu lektur szkolnych, a J. Kaczyński posyłałby p. Rafałowi kwiatki. Miau-miau, miau-miau-miau – o to chodzi. Niestety – jak słyszemy – wciąż szczeka. Przecież wystarczy zmienić refren, by zostać cenionym twórcą kultury polskiej. To naprawdę proste, zważywszy, jak wielu twórców już pięknie miauczy. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

POLIN

**Muzeum
Historii
Żydów
Polskich**

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

WYSTAWA CZASOWA

Wystawa
w ramach
programu „Nie
bądź obojętny.
80. rocznica
powstania
w getcie
warszawskim”

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

**Losy żydowskich cywilów
podczas powstania
w getcie warszawskim**

polin.pl

18.04.2023-08.01.2024

ORGANIZATOR	WSPÓŁORGANIZATORZY	PATRONI HONOROWY
	   	
WYSTAWA POWSTAŁA DĘKNI WSPARCIE		
	 	
Przy wsparciu Konferencji na temat Żydów w Niemczech (Conference on Jewish Matters in Germany) i Sponsoringu przez Fundację „Pamięć” i Obojętności i „Pamięć”		
Wspierana przez Fundację Warszawskiej Gettojakości		
 		
Program dofinansowany przez Fundację Krowczyńskiego i Fundację Krowczyńskiego		
 		
PARTNERZY		
	 	
PARTNERZY MEDIALNI		
 	 	
 	 	

Muzyczny Sylwester w Lizbonie

Podczas naszego pobytu w Lizbonie zobaczymy jej najważniejsze dzielnice tj. Belém, Alfama i Baixa. Skosztujemy słynnych ciasteczek Pasteis de Belém i posłuchamy chwytającej za serce muzyki fado. Kolację sylwestrową zjemy w restauracji z muzyką fado.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lizbony. Dz. 2 Zwiedzanie Lizbony autokarem. Dzielnice Belém, Alfama, Baixa. Po południu czas wolny. Dz. 3 Wycieczka do Sintry (dodatkowo płatna) lub czas wolny w Lizbonie. Wieczorem kolacja sylwestrowa. Dz. 4 Spacer po Lizbonie z polskim pilotem. Wieczorem opcjonalnie koncert noworoczny (dodatkowo płatny). Dz. 5 Czas do własnej dyspozycji lub wycieczka fakultatywna do Sesimbra, Azetão i Setúbal. Dz. 6 Przelot do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2023

5.998,-

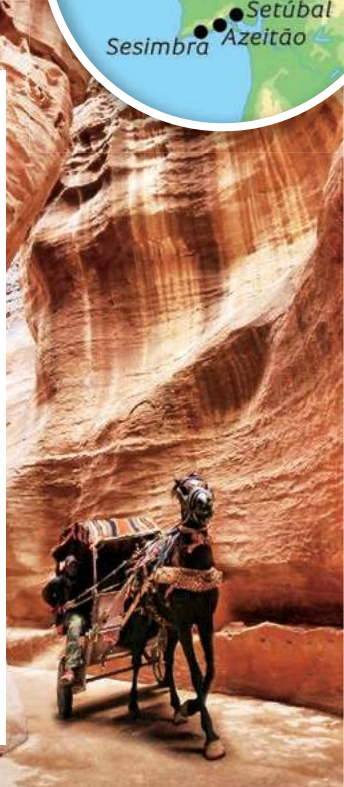


Izrael z Jordanią w 8 dni

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Tel Awiwu. Dz. 2 Jezioro Galilejskie. Kafarnaum. Kibuc Shaar Hagolan. Nazaret. Dz. 3 Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. Przejazd do Jordanii. Jerash – „rzymskie miasto”. Dz. 4 Petra wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Amman. Dz. 5 Przejazd przez most Allenby do Izraela. Jerycho - Góra Kuszenia. Dz. 6 Jerozolima – Brama Jaffy, „Ściana płaczu”, Wzgórze Świątynne, Droga krzyżowa – Via Dolorosa, Bazylika Grobu Świętego, Wieczernik. Dz. 7 Betlejem – Kościół Narodzenia Pańskiego. Kąpiel w Morzu Martwym. Masada. Dz. 8 Wylot z Tel Awiwu do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 25/01, 14/03 2024

od 9.498,-



Indie - Klejnot Imperium

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do New Delhi. Dz. 2 Przyjazd do New Delhi. Brama Indii (India Gate) oraz zwiedzanie Starego Delhi. Dz. 3 New Delhi – Jaipur. Pałac Miejski (City Palace). Dz. 4 Jaipur. Pałac Wiatrów i Fort Amber. Dz. 5 Ranthambore. Rezerwat Tygrysów. Dz. 6 Ranthambore. Safari w godzinach porannych i popołudniowych. Dz. 7 Ranthambore – Agra. Opuszczone miasto (Miasto Duchów) Fatehpur Sikri. Dz. 8 Agra. Fort i Tadž Mahal. Dz. 9 Agra – New Delhi. Dzień wolny w New Delhi. Dz. 10 Wylot z New Delhi. Powrót do Warszawy lub przedłużenie pobytu.

10 dni | Wyloty z Warszawy 04/02, 10/03 2024

7.998,-



UWAGA!
Zmiana adresu biura

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: TP7

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.